ORĘDZIE ORBÁNA: BROŃMY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KULTURY

„KORONA KRÓLÓW"
SERIAL, KTÓRY SIĘ OGLĄDA!

SIECI

# SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 2 (267) 2018
8–14 stycznia 2018
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

WITOLD GADOWSKI:

# ŻADNYCH SZTUCZEK Z IMIGRACJĄ!

ZNANY REPORTER WOJENNY, W MOCNYM WYWIADZIE ODSŁANIA KULISY WIELKIEJ MANIPULACJI. PRZESTRZEGA, ŻE TZW. KORYTARZE HUMANITARNE TO PUŁAPKA. „JEŚLI ULEGNIEMY TEJ PRESJI, URZĄDZIMY SOBIE PIEKŁO" – MÓWI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

RED IS BAD

# WYPRZEDAŻ

KOLEKCJI 2017

DO -50%

TRWA DO 14.01.2018

OBOWIĄZUJE RÓWNIEŻ NA WWW.SYMBOWEAR.COM

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEPY STACJONARNE
**Warszawa:** Jagiellońska 69
**Kraków:** Szewska 25

www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
22 290 66 55

RED IS BAD™

eprasa.pl 9e6501059c

# Przeciw nienawiści

Bardzo gorzkie słowa padły na pogrzebie śp. Henryka Ciocha, szanowanego profesora prawa, sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Profesor doświadczył potwornego ataku ze strony mediów III RP. Mówiła o tym niedawno prezes TK, sędzia Julia Przyłębska. Teraz we wzruszającym pożegnaniu przyjaciela i współpracownika ten zalew nienawiści podsumował senator Grzegorz Bierecki. Oto fragment: „Henryk Cioch oddał życie w służbie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wykonując obowiązki, narażał się na bojkot, ostracyzm, zerwanie stosunków towarzyskich, narażał się na śmierć cywilną. Ci, którzy chcieli mu ją zadać, posługiwali się oszczerstwem i szyderstwem – by odebrać mu szacunek, zniszczyć jego godność ludzką. Państwo musi chronić ludzi, którzy mu służą. Złe słowa ranią, złe słowa zabijają".

To prawda. Po dwóch latach dobrej zmiany służący jej obywatele nadal bezkarnie są lżeni, skazywani wyrokami wielkich koncernów prywatnych na niezasłużone cierpienie.

Wciąż niemieckie i parówkowe media wydawane dla Polaków mogą napisać każde właściwie kłamstwo o każdym z obozu dobrej zmiany i mają pewność bezkarności. Wciąż po sądach ciągani są i skazywani ci, którzy stawiają im opór. I niewiele zrobiono, by ten stan zmienić. Prof. Henryk Cioch był jedną z ofiar tej przerażającej machiny.

***Michał Karnowski***

# Dobry wybór

Wybór Budapesztu jako celu pierwszej podróży zagranicznej Mateusza Morawieckiego ma wagę symbolu. Pokazuje, że wśród priorytetów nowego premiera Grupa Wyszehradzka zajmuje bardzo ważne miejsce. Bo co prawda Polskę, Węgry, Czechy i Słowację sporo dzieli, ale – jak podkreśla premier – łączy znacznie więcej. Mamy podobną historię, podobny poziom rozwoju, lecz także poczucie, że dojrzeliśmy do partnerskich relacji z Zachodem.

Ważne, że ta współpraca nabiera konkretów. Powstają połączenia gazowe, Via Carpatia, pojawił się pomysł powołania wyszehradzkiego banku rozwoju. W przyszłym roku V4 będzie wspólnie walczyła o fundusze unijne, których na pewno będzie mniej, ale które wciąż są ważne.

W trakcie konferencji prasowej premierów nie pojawiła się kwestia weta Węgier wobec uruchomienia wobec Polski art 7. Szefowie rządów nie chcieli sugerować, że ta sprawa zdominowała rozmowy, bo tak nie było. Orbán po prostu potwierdził, nawet niepytany, swoje wcześniejsze, bardzo jednoznaczne deklaracje. Delegacji polskiej nie zależało, by budować fałszywe wrażenie desperackiego szukania ratunku u bratanków.

Nie byłoby źle, gdyby składanie pierwszej wizyty w Budapeszcie stało się zwyczajem premierów Polski. I odwrotnie – by premierzy Węgier z pierwszą podróżą, choćby po reelekcji, przyjeżdżali do Warszawy. Przyjaźń polsko-węgierska mimo wszystkich swoich ograniczeń jest cennym zasobem obu krajów. Dwóch to więcej niż jeden. To także więcej niż dwa.

***Jacek Karnowski***

Fot. Julita Szewczyk

37/0717/F



eprasa.pl 9e6501059c

# SIECI spis treści

**26** Na odejście Palikota
*Piotr Skwieciński*

**29** Chłopcy w złotych bransoletkach
*Krzysztof Feusette*

**70** Na podsłuchu. Techniki bezpieki
*Marcin Wikło*


## NA POCZĄTEK


6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **PRZEPUSTKA DO WOLNOŚCI**
Krzysztof Feusette

11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Paweł Korsun, Michał Korsun

12 **STATUS: DZIADKOSTWO!**
Jan Pietrzak

13 **ZMIERZCH MENTALNOŚCI NIEWOLNIKA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **POCHWALMY SIĘ WYSPIAŃSKIM**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński


## TEMAT TYGODNIA


20 **Z WITOLDEM GADOWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy


## KRAJ


26 **NA ODEJŚCIE PALIKOTA**
Piotr Skwieciński

29 **CHŁOPCY W ZŁOTYCH BRANSOLETKACH**
Krzysztof Feusette

32 **JAKA STRATEGIA NA UNIĘ?**
Konrad Kołodziejski

35 **HISTORIA PRZEKRĘTU WALTZÓW**
Marek Pyza, Marcin Wikło

38 **BEZ OPOZYCJI**
Stanisław Janecki

40 **Z DR. JAROSŁAWEM SZARKIEM**
rozmawia Marcin Wikło

46 **Z PROF. JAROSŁAWEM B. ĆWIKŁĄ**
rozmawia Ryszard Makowski


## SIECI KULTURY


49 **SŁAWOMIR ZAPAŁA: NIESIE NAS ROCK POLO**
Jolanta Gajda-Zadworna

51 **Z CEZARYM HARASIMOWICZEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

54 **TEATR: NIEPEWNOŚĆ I NADZIEJA**
Przemysław Skrzydelski

56 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

58 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski


## OPINIE


62 **MUSIMY BRONIĆ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KULTURY**
Orędzie Viktora Orbána

64 **WOLNOŚĆ I MEDYCYNA**
Bronisław Wildstein

67 **ELEGIE KRESOWE**
Wojciech Wencel

68 **ZWIĄZEK PRZYCZYNOWO-SKUTKOWY**
Wojciech Reszczyński

69 **PODRÓŻ TRZECH KRÓLI**
Dariusz Karłowicz


## HISTORIA


70 **NA PODSŁUCHU. TECHNIKI BEZPIEKI**
Marcin Wikło


## ŚWIAT


74 **SZYICKI PÓŁKSIĘŻYC**
Jan Rokita

76 **EPOKA KOBIET?**
Tadeusz Brzozowski

80 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską


## GOSPODARKA


82 **POLACY BIEDNI CZY BOGACI**
Ewa Wesołowska


## KUCHNIA


88 **MOJE SMAKI: RODZINKA.PL**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek


## NA KONIEC


90 **WSTRĘT KATA**
Piotr Skwieciński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **TWARDOCH NA PUSZCZY**
Wiktor Świetlik

93 **BUŁECZKI GOWINA**
Aleksander Nalaskowski

94 **MANIFEST WARIATA**
Robert Mazurek

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

98 **BILANS GODNOŚCI?**
Andrzej Zybertowicz


4/0118/F



eprasa.pl 9e6501059c

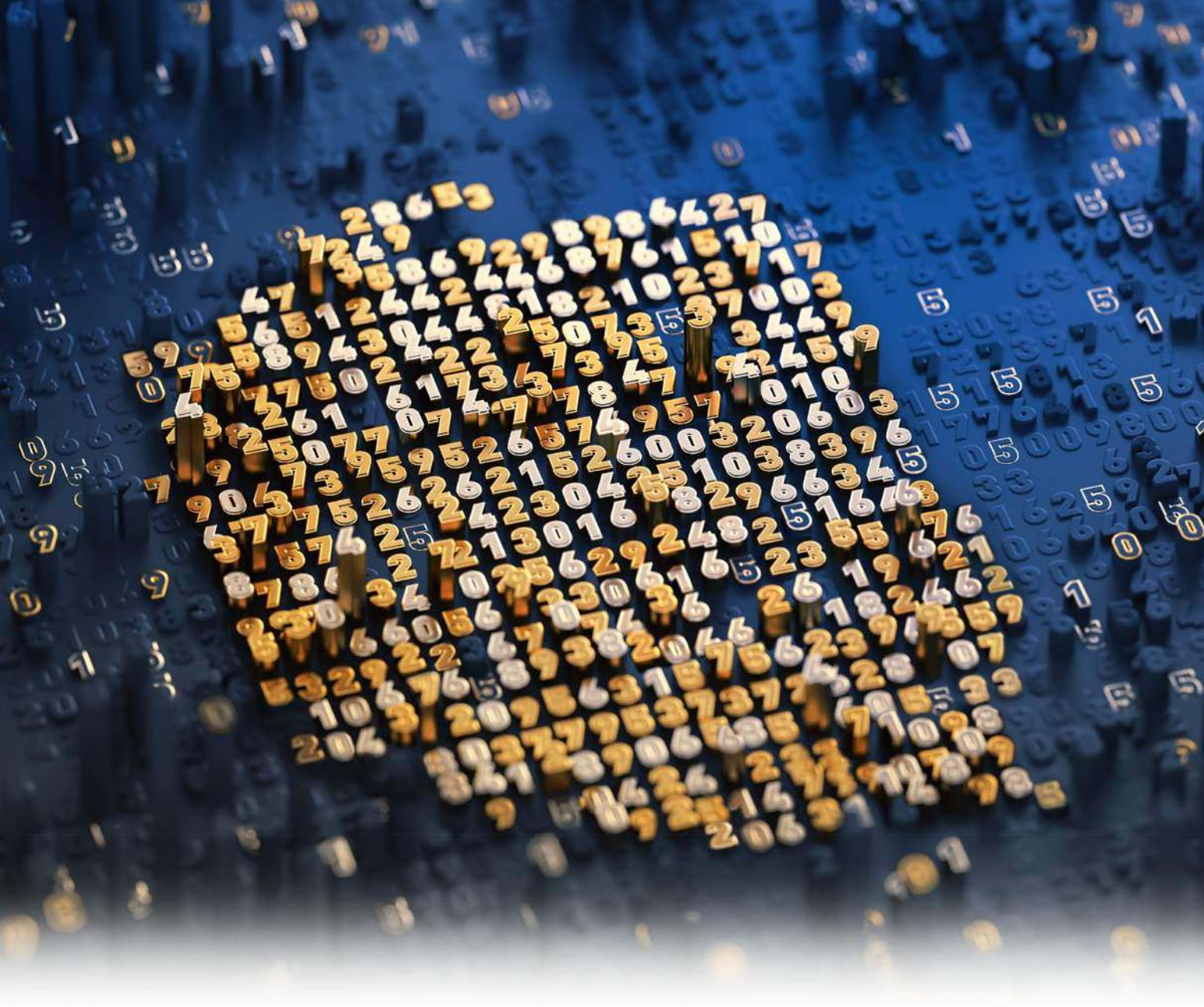

# NAJCENNIEJSZA SPÓŁKA W POLSCE

PKO Bank Polski to najwyżej wyceniana spółka notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie na koniec 2017 roku. Wartość rynkowa akcji banku wyniosła 55 mld złotych.*

PKO Bank Polski

Dziękujemy za zaufanie.

www.pkobp.pl

*Na podstawie notowań wartości rynkowej akcji PKO Banku Polskiego na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie z 30 grudnia 2017 roku.

eprasa.pl 9e6501059c

# Z życia koalicji

No niestety, nasz człowiek u melepetów od Gowina, czyli Jadźka Emilewicz, nie zostanie ministrem środowiska. Bo co prawda ona by chciała i ***Gowin*** bardzo by chciał, ale tak się złożyło, że Prezes nie bardzo by chciał i to wystarczy. I nie chodzi o Jadzię, ale o to, że nikt z gowinowców nie może wziąć resortu, który rozdaje tyle forsy i tyle posad. W sumie to słuszne, w końcu Gowin brzydzi się kapitalizmem politycznym.

Aha, w tej sytuacji najpewniej ministrem środowiska zostanie Heniu Kowalczyk. Nie żeby się na tym znał, ale jest ogólnie sympatyczny, pracowity jak Heniu Wujec i ma rozbrajający uśmiech nieśmiałego faceta z prowincji, który się zgubił na dworcu. To odpowiednie kwalifikacje.

Raźno przystąpił do zadań szef gabinetu politycznego premiera, szanowny pan minister Marek #Suski2020. Ponieważ radość z gabinetu, sekretarki i fury nie wyczerpuje jego zapału i chęci do pracy, to pierwszego dnia wysłał pisma do gabinetów politycznych ministerstw z pytaniem, czym się oni tam właściwie zajmują. Jak się dowie, co to za robota, to i u siebie wszystko wdroży. Zuch.

Garść ploteczek z TV Paździerz. Kura puszy się jak paw, gdyż pobił oglądalnością sylwestry TVN i Polsatu, bo miał Zenka Martyniuka i gościa od „Despacito". To jednak niejedyny powód do dumy. Otóż realne sukcesy osiąga Teatr Telewizji. Jeszcze w grudniu uroczysty pokaz spektakli o Piłsudskim urządzono w Belwederze. Na sali mnóstwo notabli, marszałek Sejmu i wszyscy święci. I wszyscy czekają, bo Jego Ekscelencja Kura jak zwykle się spóźnia. W końcu przyjechał, coś tam powiedział, postał i wyszedł po siedmiu minutach. No tak, w końcu Piłsudski nie śpiewał „Przez twe oczyyy zieloneee..."

I jakkolwiek Kura na dźwięk słowa teatr odbezpiecza rewolwer, to są w TVP tacy, którzy się Teatrem Telewizji chwalą. Na ten przykład osobisty kuzyn Kaczafiego Jan Maria Tomaszewski. I taka scenka rodzajowa. Tomaszewski, potrząsając grzywą, mówi: „No, to teatr już załatwiłem, czas wziąć się za rozrywkę". I wtedy blednie siedzący obok Marcin Wolski.

Biedny Wolski ma wkrótce stracić fotel szefa Dwójki, bo dyrektorów anten ma już nie być, ale mamy z Woronicza ciekawsze wieści. Otóż w TV Paździerz trwają prace nad filmem dokumentalnym o „Gazecie Wyborczej". Niezłe, nie? Aha, reżyserką ma być Anita Gargas, czyli coś jak Ewa Stankiewicz i Grzegorz Braun w jednym. Prosimy nie regulować odbiorników.

Ciekawe rzeczy dzieją się u Marcina Mastalerka. Dawny pisowski cudotwórca w kampanii prezydenckiej, który po niej popadł w straszliwą niełaskę u Kaczafiego, popracował trochę w Orlenie, po czym się zwolnił, bo i tak by go wylali. No i zaczął szukać pracy. Miał już nawet zaklepaną robotę członka zarządu Ekstraklasy, ale i tu dosięgło go długie ramię PiS, bo zagrożono, że jak zatrudnią Mastalerka, to z rządem będą mieli kosę. No i Masta został na lodzie. Czyli dobrze, prawda, PiS się cieszy? Ano zasadniczo dobrze, ale wtedy ktoś w PiS pokapował, że taki rozżalony Mastalerek pójdzie w tej sytuacji do kancelarii Dudy i tak poprowadzi prezydenta, że się PiS nie pozbiera i za Bronkiem zatęskni. Więc teraz obowiązuje hasło, żeby jednak Mastalerkowi pozwolić jakąś robotę znaleźć. Może zostać lekarzem rezydentem.

PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk



eprasa.pl 9e6501099

# Z życia opozycji

Rzecz niebywała! ***Janusz Palikot*** odszedł z polityki! To o tyle szokujące, że nikt oprócz Palikota nie wiedział, że on w tej polityce jeszcze jest. No ale odszedł, i to definitywnie. To bez wątpienia jedno z najmniej istotnych wydarzeń obecnej dekady.

Z tego, co pamiętamy, to partia Palikota nazywała się Twój Ruch, a członków tejże zwano ruchaczami. Ewentualnie – bardziej nowocześnie – ruchersami. Drugą oprócz Palikota twarzą (choć nie wiemy, czy to najlepsze określenie) była Anna Grodzka. O tym polityku transpłciowym słuch też jakoś zaginął, co dobitnie pokazuje, jak bardzo ksenofobicznym i zaściankowym krajem jest Polska.

Same złe wiadomości na początku roku. Nie dość, że Palikot odszedł, to Rychu Petru nie wszedł do zarządu Nowoczesnej.

Ogromne rozczarowanie. W dodatku ta decyzja personalna pokazuje, że Nowoczesna próbuje być partią na serio, a nie taką dla jaj, co osobiście nas dotyka. Stanowczo domagamy się powrotu ***Petru*** na eksponowane stanowiska! I to zaraz po Sześciu Królach!

Choć jest jeszcze szansa, że Nowoczesna zrobi zgrywę w postaci Rady Mędrców, do której zaprosi Petru. Jeśli tak się stanie i Rysiek zostanie Mędrcem, to odszczekamy wszystkie krytyczne słowa o Nowoczesnej i przyznamy jej tytuł najbardziej jajcarskiej partii w kraju. To jedyna konkurencja, w której Nowoczesna ma szansę wygrać.

A do zarządu, którym kieruje pani Lubnauer, weszła Kamila Gasiuk-Pihowicz z kilkoma innymi nieznanymi szerzej postaciami. Ktoś mógłby czynić z tego zarzut, ale nie my. W tej formacji każda osoba, która nie zdołała się jeszcze publicznie ośmieszyć, jest bezcenna.

***Gasiuk-Pihowicz*** chciałaby też zostać szefową klubu parlamentarnego Nowoczesnej, ale posłowie nie są nastawieni do jej kandydatury zbyt entuzjastycznie. Niewykluczone, że ten brak entuzjazmu wynika z opinii, jaką wyrobiła sobie Gasiuk-Pihowicz. We własnej partii jest ona postrzegana jako – jakby to powiedzieć... – kłótliwa baba. Ale to oczywiście bardzo męski i zupełnie nienowoczesny punkt widzenia.

Lech Wałęsa stanowczo opowiedział się za tym, żeby Kościół nie mieszał się do polityki. To dość zaskakujący postulat, jak na kogoś, kto przez większość życia uprawiał działalność polityczną z Matką Boską w klapie marynarki.

Pierwszy poważny sukces Grzegorza Schetyny, odkąd został szefem PO. Wrzucił na Twittera swoje zdjęcie z sylwestra 1986 r., na którym pije wódkę i jest nieogolony. Wzbudziło to wielkie zainteresowanie mediów oraz zwykłych zjadaczy chleba. Większe niż jakiekolwiek polityczne deklaracje Scheta. Polityczny strategia lidera PO na ten rok rysuje się sama: nie golić się.

Szef KOD Krzysztof Łoziński nie jest może tak odjazdowy jak jego poprzednik Mateusz Kijowski. Ale też potrafi dorzucić do pieca. Wyprodukował wielki atak na „polskiego chama". Fajne, ale my i tak tęsknimy za Alimenciarzem. Ciekawe, co dzieci kupiły mu na gwiazdkę?

TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x2



eprasa.pl 9e6501059c

# Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Przed nami ***kolejny finał WOŚP***. Za czasów III RP to miało nawet swój urok, w końcu był to odpowiednik pochodów pierwszomajowych Polski Ludowej. Każdy, kto chciał robić karierę albo tylko spokojnie żyć, musiał przyjść, pokłonić się i coś rzucić do puszki. To ostatnie było najmniej ważne. Teraz już nie ma tej urokliwej grozy i impreza coraz bardziej pachnie Wyścigiem Pokoju po 1989 r. Czyli śmierć rozłożona na raty.

***Michnik też traci polot.*** Teraz głosi, że skoro „Polacy dali sobie radę z dobrą zmianą Bieruta i Gomułki, dadzą sobie też radę z dobrą zmianą Kaczyńskiego". Siermiężne to, ale i jakoś optymistyczne. Obalanie Bieruta i Gomułki zajęło wszak Polakom ładnych kilka dekad. Kumplom Michnika trochę mniej, bo bardzo długo byli przy Bierucie i Gomułce, przeszkadzając Polakom.

***„Opór trwa!"*** – dodał Michnik, próbując zatrzeć fatalne wrażenie umierających protestów przeciwko władzy. Szczególnie walczą ponoć tzw. elity. Zapewne w ramach tej walki Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein przejechała się tramwajem i mówiła do niemieckiej kamery źle o Polsce. Widać było, że dawno nie jechała, bo twarde krzesełko bardzo jej dokuczało i ciągle się wierciła.

Ten film to może być ***żenada roku***. Widzimy, jak pani Róża wita się z niemiecką znajomą. „Nie jest lepiej?" – pada pytanie. „Nie, jest jeszcze gorzej" – odpowiada europosłanka Platformy. I prosi, by mimo wszystko niemieccy przyjaciele nie odwracali się od Polski. Tak, oni do władzy już nie wrócą. Kabarety śmieszą, ale wyborów nie wygrywają.

***Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein*** najczęściej występuje pod skróconym nazwiskiem. Ale będzie musiała się przyzwyczaić do pełnej wersji, bo dziś jest w dobrym prawicowym tonie wyrzucić pełną wersję bez żadnej przerwy czy zająknięcia. Najlepszy jest w tym pewien prezenter TVP, ale konkurencja depcze mu po piętach.

***Wszystko schodzi na psy.*** Podobno znana aktorka Barbara Kurdej-Szatan grzecznie poprowadziła sylwestra TVP w Zakopanem i nawet nie pisnęła ze sceny przeciwko rządom PiS. A jeszcze w sierpniu w opozycyjnym spocie pytała dramatycznie: „Naprawdę nie interesuje cię sprawa niezależności sądów?". Gdy TVP dostała 1 mld zł, coś pękło, coś się skończyło.

***Sylwester TVP*** był udany nie tylko dlatego, że konkurencja poległa, lecz również dlatego, że prezes Kurski świetnie się bawił. Czego telewizja nie tylko nie ukrywała, lecz wręcz eksponowała. Nas niestety nie zaproszono, ale dzięki temu nie przekroczyliśmy czytelnej bariery kulturowej i nie kiwaliśmy się w rytm disco polo. Zawsze coś.

W nowy rok weszliśmy z ***„Koroną królów"*** na ekranach. Całkiem zgrabne dzieło o Polsce Piastów, naprawdę nie ma wstydu, miło się ogląda, wręcz łatwo się uzależnić. Ale w mediach, nie tylko lewackich, fala tzw. hejtu od dawna niewidziana. Każdy zrobiłby lepiej, każdy jest ekspertem od pełnego średniowiecza. To jednak prawda, że Prus w „Lalce" opisał także nas.

***Premier Morawiecki pojechał na Węgry.*** Orbán przyjął go po królewsku, ściągnięto nawet kompanię konną, której szefom rządów zazwyczaj nie dają. Premierowi towarzyszył szef gabinetu Marek Suski. Dziennikarze zgodnie orzekli, że ministry mu nie służą. Stał z poważną miną i mądrze prawił. Żadnego grepsu, miny też już nie tak dwuznaczne. Tracimy coś naprawdę cennego.

***Rekonstrukcja*** ma być po święcie Trzech Króli, ale pół narodu mówi już „Sześciu Króli", tak mocno wpadka Petru wbiła się ludziom w pamięć. Petru mógł mieć jednak rację, bo ewangelie nie mówią, że mędrców było trzech, tylko że przynieśli trzy dary. Szkoda, że Petru nie bronił śmielej tej i innych wtop. Co prawda jego losu by to nie odwróciło, ale byłoby jeszcze zabawniej.

Tymczasem ***Petru oznajmił***: „Jestem przekonany, że tak długo, jak będę w partii, Nowoczesna nie skręci w ciemną uliczkę". Znów nie pomyślał, że akurat on nie jest ekspertem od prostych dróg czy choćby ścieżek. Ale zachęcamy do prostowania, nigdy nie jest za późno.

***A jaka będzie rekonstrukcja?*** „Dość głęboka". Wspomniany Marek Suski, zapytany o to już w Warszawie, odpowiedział: „To znaczy głęboka dla tych, co odejdą, i płytka dla tych, co zostaną". Prawdziwy Suski jednak nie umarł. To dobry prognostyk na nowy rok.

***Sygnalista***

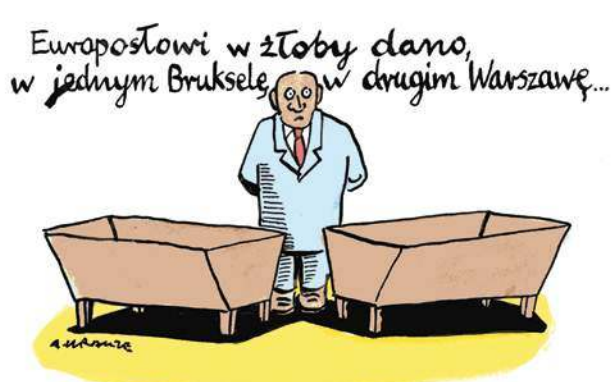


3/0717/F



eprasa.pl 9e6501059c

Świeć się

Akcję zasila Energa

# Zagłosuj na swoje miasto w świątecznym plebiscycie „Świeć się z Energą” i pomóż potrzebującym!

Pamiętaj – codziennie możesz oddać głos na stronie projektu:
**SwiecSie.pl**

Twój głos jest bardzo ważny – to od niego zależy, czy pomoc trafi właśnie do mieszkańców Twojego miasta!

Świąteczna atmosfera zawitała już do Twojej miejscowości? Sprawdź na SwiecSie.pl, czy bierze udział w plebiscycie na najpiękniej oświetlone miasto Polski. Zagłosuj i pomóż wygrać **sprzęt AGD dla najbardziej potrzebujących osób z Twojego miasta**. Mieszkańcom 16 najbardziej świątecznych miejscowości w kraju, Grupa Energa przekaże dobroczynną pomoc o łącznej wartości **200 000 zł**.

Pamiętaj, głosować możesz codziennie! Pierwszy etap zabawy trwa **od 13 grudnia 2017 r. do 2 stycznia 2018 r**.

Energa

epraisa.pl 9e65010b9c

# Przepustka do wolności

KRZYSZTOF FEUSETTE

Piszę te słowa pod osłoną nocy i pod łóżkiem. Dziś nie da się inaczej.

Kaczystowscy siepacze krążą po ulicach i tylko czekają, by zapakować do suki ostatnich wolnych ludzi. Reżim zagarnął wszystko: sklepy spożywcze i warsztaty usługowe, szkoły i zakłady pracy. Potem do zastraszonych ludzi posłał ankieterów. Są uzbrojeni po zęby, a kto chciałby wskazać partię inną niż rządząca, ginie bez wieści w odmętach Pałacu Kultury, przeniesionego na Nowogrodzką.

Odebrano nam komórki, smartfony, ajfony i telefony. Wyłączono internet, potem prąd i wodę, odcięto gaz i dostawy ekologicznej żywności. Za każde słowo krytyki pod adresem władzy zamykane są gazety i telewizje. Tak padły „Wyborcza", TVN, Zetka, RMF, na końcu Polsat. Redaktorzy „Newsweeka" w pokazowym procesie zostali skazani na opuszczenie terytorium RP w ciągu 24 godzin. Godzina policyjna, na ulicach czołgi z podobizną Antoniego Macierewicza, patrole rekonstruktorów historycznych w mundurach bliźniaczo podobnych do SS, łapanki – to nasza codzienność.

Ale walczymy. Tłuczemy głową w mur, nogami w barierki, rzucamy się pod samochody. Ruch oporu ma swoje komórki w niemal każdej miejscowości, drukujemy w drugim obiegu dzienniki Adama Michnika. Wspomnienia Tomasza Lisa z internowania w Klewkach biją rekordy popularności, choć krążą wieści, rozpuszczane zapewne przez dyktaturę, że wszystko to sobie Lis wymyślił, siedząc na Malediwach i sącząc drinki za euro. Kaczystowska propaganda omotała ludzkie serca i rozumy, zagłuszyła odruch buntu wobec łamania konstytucji, której w zasadzie już nie ma. Zastąpiły ją Dekrety Prezesa. Jak ten o wyższości kotów nad świniami i obowiązkowych składkach na Narodową Telewizję dla Zwierząt. Albo zakazujący redakcjom używania słowa „Tusk". A zakaz występów dla Krystyny Jandy oraz obu Stuhrów? Czy można się dziwić, że wybrali bułgarski cyrk objazdowy?

A jednak wciąż jest nas wielu. Pochodzimy z różnych środowisk. Skrzywdzeni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, kuźni wolnych mediów, wielkiego biznesu i dyplomacji. Żołnierze Wojciecha Jaruzelskiego, dzielni towarzysze broni w jego walce z tym potwornym, solidarnościowym bałaganem narażającym kraj na gigantyczne zadłużenie, które musiało skutkować upadkiem systemu. Przyjaciele Czesława Kiszczaka, spadkobiercy jego mebli rozsianych po całej Polsce, tfu, po całym pisowskim państwie. To z nich wywodzą się nasze bojówki obrzucające jajami rządowe limuzyny, to na nich mogliśmy oprzeć tworzenie komórek bardziej jednoznacznego oporu.

Pieniędzy z zagranicy wystarczy na wszystko. Nasz wódz powtarza, że dopóki chociaż jedna pisowska noga pozostanie na terytorium Unii Europejskiej, dopóty nie złoży broni. Jest Holendrem, ale kocha Polskę. Jego rysopisy podawane są w mediach narodowych co pół godziny. I znowu ludzie gadają, że pewnie wszystko pic na wodę i dawno go mają, a za Fransa robi ktoś podstawiony, jakiś aktor albo lalkarz.

Aktorzy protestują. Młody Stuhr wydający pisemko podziemne z gołymi faktami na rozkładówkach, w imieniu 150 proc. środowiska aktorskiego ogłosił, że więcej nie wystąpi w niczym. Zrobili z tego niezależny spot opozycji, który przełamywał prorządowe nastroje nawet u najstarszych górali. Cóż z tego, skoro nigdzie nie został pokazany – w żadnej telewizji (bo same rządowe), w żadnym radiu (bo obraz w radiu nie istnieje) ani w internecie, bo ten został sprowadzony do wewnętrznej sieci społecznościowej dla członków partii rządzącej. Jedynymi słowami prawdy, jakie do nas docierają, są przekazy ustne.

Ostatni reporterzy wolnych mediów, którzy muszą zmieniać miejsca zamieszkania kilka razy dziennie, informują o gazie na ulicach i wywózkach na dzikie tereny Puszczy Białowieskiej tysięcy piosenkarek, które nie potrafiły zanucić ani fragmentu z nowego hymnu. Tak zwanego Mazurka Brudzińskiego, bo to on jest autorem słów, melodii i oficjalnego wykonania na państwowych uroczystościach.

A jednak nie odpuścimy. Przyjdzie kiedyś dzień, gdy przejmiemy władzę z ich brudnych łapsk. Cofniemy każdą decyzję i rozporządzenie, choćbyśmy mieli wyrwać ludziom z gardeł całe 500+, które wydawali za PiS. Nie cofniemy się ani o krok, bo w kroku nic już nie będzie nas uwierać. Duda, Szydło, Morawiecki – pod sąd. Błaszczak – od razu za kratki. Ziobro i Macierewicz muszą zniknąć. Kaczyński – pokazowy proces na żywo z możliwością zadawania bólu za pomocą elektrowstrząsów. Mamy mało czasu. Jeśli natychmiast nie zaczniemy odbijać naszych dawnych terenów z rąk prawicowej hunty, przegramy wszystko!

Dlatego zmuszony jestem prosić pana doktora ordynatora o odejście od mojego łóżka oraz zwolnienie mnie z dzisiejszych zajęć terapii grupowej, ponieważ muszę się udać na marsz przeciw dyktaturze, jaki chcemy zorganizować na skwerku wspólnie z panem Bonapartem spod okna oraz panią Monroe z izolatki. Pragnę nadmienić, że czuję się zdecydowanie lepiej, a stany paranoi ustąpiły po wizycie przybyszów z Jowisza, podczas której wymieniliśmy się piżamami.

PS Niniejsze pismo wrzucam do toalety, bo kolega mówi, że wodą szybciej dojdzie. Proszę o kontakt za paprotką, tam dalsze instrukcje. Bez odbioru. Wolne sądy.



eprasa.pl 9e6501059c

KORSUN *chili* KORSUN

Do rysunków wykorzystano fot. Shutterstock

***Paweł Korsun***

Jak co roku, czas przyznać KACE, czyli nagrody za ból głowy, o który laureaci nie tylko przyprawili nas w 2017, lecz wyraźnie sami na niego cierpią albo na coś gorszego. And the KAC goes to...

Timmermans za całokształt twórczości, a raczej „trollości". Dostaje też statuetką gumowego zomowca za poparcie pałowania Katalończyków, którzy wzięli udział w referendum. Breżniew Roku, za pociąg na przesłuchanie w Warszawie, jedzie do Donalda „Alarm" Tuska. Bursztynowy Słowik frunie do jego syna za „Razem z ojcem wiedzieliśmy, że jest to lipa" i przyznanie, że państwo za rządów PO było lipą tak jak Amber Gold. Makaron 2017 zawija do Emmanuela Macrona za pretensje o to, że polscy pracownicy nie robią przerw na bagietki i wino. Plastikowy pingwin za wypominanie nam funduszy, na które się składamy, człapie do innego Macrona, czyli Hollande'a. A #UPA Roku maszeruje na Ukrainę, która w zamian za miliony polskich inwestycji i wiz blokuje ekshumacje prawdziwych bohaterów.

Pała z logiki dla wszystkich tych, którzy niemieckie obozy nazywają polskimi, bo geografia, ale już Niemców zastępują jakimiś ageograficznymi nazistami. Zwiędła (biała) róża za Nazwisko Roku: Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein. Gęba 2017 za wycieranie jej sobie „demokracją" dla tych, co nie pamiętają mediów 2007–2015. Schetyna dostaje „wielkie nic" za nic. „Przewalec" dla Waltzów. Gala 30 lutego. Nie zapraszamy.

TRENDY I OWĘDY

# Prawa widza

*Nadmiar propagandy odbiera każdemu medium wiarygodność*

***Ryszard Makowski***

Nie wszyscy zdążyli ochłonąć po emocjach telewizyjnej bitwy na sylwestry. Niektórych jeszcze trzęsie na dźwięk przeboju „Despacito". Efekt przedawkowania. Gdy zjemy kawałek tortu, mamy przyjemność, ale gdy ktoś w nas wciśnie cały tort, pojawiają się dolegliwości zdrowotne. Człowiek stykając się z jakimś medium, chce mieć gwarancję, że nie będzie brutalnie infekowany propagandą.

Dlaczego telewizja w wydaniu PRL była momentami niestrawna? Dybała na ludzkie umysły i to męczyło. Dlaczego na TVN wpłynęło w 2016 r. do KRRiT ok. 12 tysięcy skarg? Bo odbiorca nie zgadza się, by go traktować jak worek treningowy i okładać bzdurą bez ograniczeń. Niezbywalnym prawem widza jest możliwość osobistego wyciągnięcia wniosków.

Obecnie króluje stwierdzenie „Wystarczy nie kraść". W przełożeniu na świat mediów można to parafrazować „Wystarczy nie manipulować". Telewizja publiczna jest w trudnej sytuacji, bo musi brać udział w wojnie informacyjnej, mając na rynku mediów pakiet mniejszościowy. Od jej jakości w dużej mierze zależy powodzenie dobrej zmiany. Każdemu, kto wspiera obecne rządy, leży na sercu, by ta telewizja była na jak najwyższym poziomie.

Dlatego szkoda, że bardzo udany koncert „Sylwester marzeń" został potraktowany przez TVP jak element wojny. To wywołuje całkowicie zbędne napięcie. A chełpliwe rozgłaszanie nowinki o zbudowaniu marki narodowego sylwestra w Zakopanem... Chyba lepiej wtrząchnąć ten cały tort.



eprasa.pl 9e6501059c

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

# Status: dziadkostwo!

*Jan Pietrzak*

Tadzio ma siedem miesięcy i dwa ząbki, niewyspanych rodziców i zachwyconą babcię. Ma też dziadka. Wygodny to status rodzinny: dziadkostwo. Nie mylić z dziadostwem. Dziadek w zasadzie nie ma obowiązków, a ma wiele radości: że Tadzio już je łyżeczką, że ten katarek przeszedł, że tak zabawnie zrzuca wszystko na podłogę... Taki brzdąc to czysta, żywa radość na stare lata. Te minki, uśmiechy, radosne wrzaski... Seans z wnuczkiem lepiej robi psychice niż seans „Gwiezdnych wojen" w kinie.

Niewykluczone, że kiedy Tadzio będzie w moim wieku, świat będzie wyglądał tak jak na filmie. Rewolucja technologiczna pędzi w różne strony, a w ślad za nią ludzkie masy gnane stadnymi instynktami w kolizyjnych kierunkach. Coraz więcej zderzeń, stłuczek przy rosnącej bezradności przywódców politycznych. Po prawdzie o przyszłości świata decydują inżynierowie, a nie politycy. Sieci informatyczne oplatające nasz glob zaczynają żyć własnym życiem, stają się autonomicznym bytem, stymulując fakty społeczne, wzniecając emocje i napięcia.

Tadzia to na razie nie obchodzi, cieszy się choinką, zabawkami, słucha kolęd... Po raz pierwszy świętuje Boże Narodzenie. Każde narodzenie jest częścią bożego planu, w gruncie rzeczy jest jakimś cudem, powołaniem do istnienia. A jak to istnienie się toczy, w jakich warunkach, w dużym stopniu decydują pokolenia dziadków. Na naszym polskim podwórku mamy właśnie czas decyzji, czy będziemy narodem suwerennym, czy skolonizowanym. To jeden z momentów, jakie przesądzają, w którą stronę potoczy się przyszłość Tadzia i jego koleżków w pampersach.

Wiemy dobrze, że nasi dziadkowie 100, 80, 60, 40 lat temu, przelewali krew, tracili zdrowie i majątki, aby nam, ówczesnym wnukom, dać szansę. Liczyli na nas, że ten depozyt, któremu na imię Polska, kolejnym wnukom przekażemy w dobrym stanie. Sterani życiem, drodzy koledzy dziadkowie, musicie wiedzieć, że żadne smartfony, laptopy, tablety nas nie zastąpią. Mamy jeszcze dużo do zrobienia. Czuj duch! Najlepsze życzenia noworoczne dla wszystkich polskich pokoleń!

# Wszyscy mówią mi „Królu"

***Z aktorem Mateuszem Królem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna***

***Można by sądzić, że został pan obsadzony nie tylko po warunkach, lecz i po nazwisku...***

*Mateusz Król:* W dowodzie mam wpisane „Król", ale by zagrać Kazimierza Wielkiego – główną postać telenoweli „Korona królów", której emisję z początkiem 2018 r. rozpoczęła telewizyjna Jedynka – musiałem się wykazać nie tylko nazwiskiem.

***Czy ta rola okazała się bardziej przygodą czy wyzwaniem?***

Cały projekt jest niezwykły, ale dla mnie, człowieka związanego głównie z warszawskim Teatrem Współczesnym, „Korona..." to mocne doświadczenie. Musiałem od nowa się uczyć aktorskich reguł, gry do kamery.

***Także w plenerze. Na koniu. Z łukiem i szablą, które nie są jedynie rekwizytem ozdobnym?***

Ogromnie to cenię. Z jednej strony to dwór tworzy króla, z drugiej, na planie [bo wciąż trwają zdjęcia, na razie mowa jest o blisko 60 odcinkach – przyp. red.] wszyscy mi mówią „Królu". To miłe.

***Wielki – takim przydomkiem określili władcę poddani, a jakim był człowiekiem?***

Lubił trunki i kobiety, swoich obowiązków jednak nie zaniedbywał. Okazał się znakomitym „biznesmenem" – w końcu zostawił Polskę murowaną. Miał, jak się wydaje, wspaniałą intuicję, ale też słuchał ludzi, czerpał od nich, a nie tylko im nakazywał.

***Na ekranie poznajemy Kazimierza, gdy ma 15 lat. Co dalej?***

Teraz gram 23-latka, a za nami już 40 odcinków. Warto tu przypomnieć, że Kazimierz umarł, mając lat 60. Czy tyle osiągnie na ekranie? Nie wiem. Na razie dzięki niemu parę rzeczy robiłem po raz pierwszy: walczyłem mieczem, strzelałem z łuku do celu, kłusowałem z jastrzębiem na ramieniu i, choć od urodzenia jestem Królem, po raz pierwszy włożyłem koronę.

Fot. Podlewski/AKPA

epraasa.pr9e6501059c

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Zmierzch mentalności niewolnika

Uruchomienie art. 7 traktatu o UE przeciw Polsce przynieść nam może dużo dobrego. Potencjalnie negatywne konsekwencje tego działania nagłaśniane są zdecydowanie nadmiernie. I nie chodzi tylko o to, że doprowadzenie do końca tej procedury jawi się jako mało prawdopodobne, ale że nawet jej efekty nie wyglądają aż tak poważnie. Odebranie nam i tak niesłuchanego głosu nie wydaje się tragedią. Tzw. straty wizerunkowe nie są efektem decyzji KE, ale odwrotnie: działanie to możliwe było dopiero po dokładnym zdewastowaniu naszego wizerunku poprzez szeroko rozumianą opozycję, która uznała, że w ten sposób może doprowadzić do kryzysu w kraju i odzyskania władzy. Na tym polega oficjalnie przecież głoszona strategia „ulicy i zagranicy". Z drugiej jednak strony nie mogliśmy liczyć na bezstronność europejskiego establishmentu, w którego wszelkiego typu interesy – ideologiczne, ekonomiczne czy prestiżowe – uderzało zwycięstwo PiS. Przecież Polska miała być „nową" Europą, której racja bytu sprowadzać się miała do imitowania swojej dojrzałej partnerki, przyjęcia podrzędnej pozycji i odgrywania roli jej ekonomiczno-kulturowego zaplecza. Partia Kaczyńskiego sprzeciwiała się temu stanowi rzeczy.

Pomimo zmiany postaw, którą pokazały ostatnie wybory, z pewnym niepokojem obserwowałem reakcje Polaków na kolejne pouczenia i połajanki płynące z serca UE. Przez dekady wyrobiono w nas kompleks niższości wobec „Zachodu", który był efektem pragnienia, aby być takimi jak oni: bezpiecznymi, bogatymi, dobrze zorganizowanymi. Nastawienie to kultywowane było i wzmacniane przez cały okres trwania III RP przy użyciu wszystkich dostępnych jej środków.

Obserwując więc, że cenzurki z Zachodu nie wywołują specjalnego wrażenia na rodakach, zastanawiałem się, co stanie się, gdy dojdzie do decydującego starcia. Nastąpiło ono właśnie teraz.

Myślę o tym, oglądając w TVN24 BiS ciągnący się bez końca serial o tym, ile to dała nam Unia, przy którym blednie opis sukcesów rządu PiS serwowany przez TVP Info.

Opowieść o szczodrobliwości unijnej jest sfałszowana i antypedagogiczna. Niby cyferki w niej prawdziwe, ale... Fundusze strukturalne nie są bardzo znaczące w stosunku do budżetu naszego państwa. Uzyskiwanie ich wiąże się z wypełnianiem arbitralnych i niezwykle biurokratycznych wymogów Brukseli, w efekcie czego stworzony został swoisty przemysł nastawiony na wyciągnięcie unijnych dotacji. Powoduje to, że rozregulowany zostaje rynkowy mechanizm popytu i podaży, a firmy, które mogłyby działać efektywnie, zamiast na spełnienie konsumenckich oczekiwań nastawiają się na zaspokojenie urzędniczych wymogów. Wyrywanie pieniędzy unijnych często nie było w dalszym horyzoncie racjonalne, a wiele inwestycji, które dzięki temu powstały, jest nie tylko przepłaconych, lecz i pozbawionych perspektyw.

Radykalne przeszacowanie roli unijnej pomocy wyzwala w Polakach przeświadczenie, że sami nie jesteśmy w stanie nic osiągnąć i w całości zależymy od cudzego wsparcia. Wzmacnia to naszą mikromanię. A wprawdzie zakompleksionymi grupami łatwo rządzić, ale podejmować z nimi większych wyzwań nie sposób.

*Radykalne przeszacowanie roli unijnej pomocy wyzwala w Polakach przeświadczenie, że sami nie jesteśmy w stanie nic osiągnąć i w całości zależymy od cudzego wsparcia*

We wspomnianych programach, a także całej propagandzie III RP, pojawia się niezwykle infantylny, ale jednocześnie chwytliwy motyw. W Brukseli, Strasburgu (Berlinie, Paryżu) mają siedzieć nasi dobroczyńcy, którzy są od nas nieskończenie mądrzejsi i osiągnęli wyższy stopień człowieczeństwa, a więc i altruizmu. Chcą dla nas wyłącznie dobrze, a my, tzn. rząd PiS, kąsamy karmiącą nas rękę. To niewiarygodne, ale tzw. elity III RP rzeczywiście prezentują takie właśnie myślenie.

To, jak wygląda altruizm i stosunek do unijnych „wartości" owych rządców Europy, zaprezentował nam prezydent Macron podczas ostatniej podróży po krajach Europy Środkowo-Wschodniej, którym proponował za zmianę konwencji o pracownikach delegowanych (taki mały francuski geszefcik) prawo do nieprzyjmowania „uchodźców" i lekceważenie norm unijnych.

Wygląda jednak na to, że Polacy uodporniają się na serwowaną im propagandę. Jeśli nie ulegną szantażowi KE, jakim jest art. 7, będzie to wielkim sukcesem, w porównaniu z którym ewentualne koszty tego posunięcia nie będą miały znaczenia.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 9e6501059c

OGNIEM NA WPROST

# Ojciec, prać?!

Z życia uchodźców. Wydawałoby się, że po tysiącu spalonych aut, skopaniu policjantki oraz złamaniu nosa idącemu jej z pomocą kolegi podczas tegorocznego hucznego sylwestra w Paryżu, ustanowieniu pod Bramą Brandenburską w Berlinie specjalnej strefy bezpieczeństwa dla zagrożonych molestowaniem seksualnym kobiet nic już nie jest w stanie ze strony imigrantów nas zaskoczyć. A jednak. Mieszkanka „miasta wartego mszy" Christine S. opublikowała zdjęcie, na którym przybysze z Południa wylegują się w automatycznych pralkach całodobowej pralni samoobsługowej w XVII dzielnicy. „Widziałam coś takiego po raz pierwszy" – powiedziała kobieta dziennikowi „Le Parisien". W kwestii dość oryginalnego nowego koczowiska francuska opinia publiczna podzieliła się na „dobrych" i „złych". Ci pierwsi chcą przynieść imigrantom ciepłe ubrania, drudzy przeklinają plagę, która dotknęła kraj. Problem jednak polega na tym, że według prefekta policji ci małoletni potomkowie nomadów z Maroka, bo to oni zalegają w pralkach, odrzucają wszelką pomoc. Cokolwiek by tam o nich mówić, młode Marokanesy swój honor mają. Właścicielka zakładu jest załamana, bo obroty spadły czterokrotnie, a wzywani stróże prawa twierdzą, że nic nie mogą zrobić. Boso, ale w ostrogach.

Natomiast szwedzcy duchowni protestanccy są pouczani przez swoich hierarchów, żeby w stosunku do osoby Jezusa Chrystusa unikać terminów takich jak „Pan" i „On". Sformułowanie neutralne pod względem płci ma na celu uczynienie Kościoła „bardziej otwartym". Zalecenie używania zaimka „hen" (w szwedzkim stosuje się go, kiedy płeć danej osoby jest nieznana lub nieistotna) zostało zatwierdzone na corocznym jesiennym konwencie Kościoła w Uppsali. Nowy poradnik zastępuje poprzednią wersję z 1968 r. Zdaniem twórców tej politpoprawnej „reformy" płeć Chrystusa nie jest głównym aspektem jego tożsamości. Co innego Mahomet. Ten miał 13 żon, choć dwóch małżeństw ponoć nie skonsumował. Jestem ciekaw, jak szwedzcy autorzy poradnika dla wiernych wytłumaczą swój pomysł w Dniu Ostatecznym. Jestem pełen obaw. Może się skończyć nawet „płaczem i zgrzytaniem zębów".

Kontynuując wątek zbliżający nas do Absolutu, jest też dobra wiadomość. Pomnik św. Jana Pawła II pozostanie we francuskim Ploërmel. I to z krzyżem zwieńczającym dzieło. Po trwającym kilka miesięcy sporze, który francuska Rada Stanu wywołała swoją decyzją o usunięciu z monumentu Drzewa Zbawienia jako „ostentacyjnego symbolu religijnego" łamiącego „zasadę świeckości państwa", znaleziono rozwiązanie. Po protestach mieszkańców, oświadczeniach Polski i Węgier, które deklarowały, że chętnie przyjmą niechciany pomnik, postanowiono, iż przesunie się go kilkanaście metrów dalej, na teren stanowiący własność Kościoła katolickiego. Swoją drogą, nie można było tak od razu? Widać presja ma sens.

Z polityki wycofał się człowiek, którego działalność sprowadzała się do ciągłego udowadniania elektoratowi, że szatan istnieje. Początki jego kariery przypominały życiorys Józefa Wissarionowicza Stalina. Jeden zaczynał jako prymus seminarium duchownego w gruzińskim Tyflisie, drugi finansował i wspierał tygodnik „Ozon" wpisujący się w nurt nauki społecznej Kościoła. Potem obaj dokonali światopoglądowej wolty w lewą stronę. Jeden przystał do bolszewików, drugi stał się jakobinem z robespierre'owskim zacięciem. W ramach osiągnięć na tym polu drugi nasłał republikańskie hordy na modlące się staruszki pod krzyżem, permanentnie bluźnił Kościołowi, prawie klęczał przed schorowanym Jaruzelskim, by w końcu wylansować Annę Grodzką vel Bęgowskiego. Wątek pierwszego zamykamy, bo wszyscy wiedzą. Ostateczny kres karierze tego drugiego położyła wygrana partii Jarosława Kaczyńskiego, którego kilkakrotnie dotknął naprawdę do żywego swoimi opiniami. Teraz abdykował. Ale brody (protest przeciwko rządom PiS) nie zgolił. No nie wiem, panie Januszu, nie wiem...

Z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości szykuje się potężna defilada historyczna. 15 sierpnia 2018 r. w dzień Święta Wojska Polskiego wybiera się do stolicy 3 tys. rekonstruktorów i 500 koni. Zostaną podzieleni na sześć grup. Wczesne średniowiecze, średniowiecze, XVII, XVIII i XIX w. oraz XX w. na końcu. Czyli od wojów Chrobrego, poprzez rycerstwo, husarię, lisowczyków, kolorową armię Księstwa Warszawskiego, aż po szarą piechotę z Legionów i polsko-bolszewickich zmagań, po walecznych ułanów z 1939 r. Ostatni raz taki przegląd na ulicach Warszawy odbył się w 1966 r. z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. Defilada ta była jedną z nielicznych rzeczy, która w miarę udała się komunistom. Czas na powtórkę. Mam nadzieję, że w jeszcze lepszym stylu.

***Andrzej Rafał Potocki***

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 9e6501059c

# Pochwalmy się Wyspiańskim

*Marta Kaczyńska*

Do 2019 r. w Muzeum Narodowym w Krakowie można oglądać wystawę „Wyspiański". Licząca niemal 900 przedmiotów ekspozycja stanowi największą wystawę w historii Krakowa i najobszerniejszą monograficzną prezentację twórczości. W związku z obchodzoną w ubiegłym roku 110. rocznicą śmierci Stanisława Wyspiańskiego upubliczniono wykonane przez niego portrety, projekty witraży, kostiumów, scenografii, rysunki, a także koncepcje aranżacji wnętrz.

Stanisław Wyspiański nazywany „czwartym wieszczem" był artystą wszechstronnym. Jego pasją były i sztuki plastyczne, i dramatopisarstwo. To ostatnie pozostaje głęboko osadzone w naszej historii, przesiąknięte polskością i miejscami ponadczasowe, niezmiennie interesujące dla kolejnych pokoleń rodaków Wyspiańskiego. Niewątpliwie mniej zrozumiałe dla obcokrajowców. Geniusz twórczości plastycznej artysty – w swojej prostocie rewolucyjnej jak na okres, w którym tworzył – posiada walor nie tylko ponadczasowy, ale także ponadnarodowy, który z pewnością ma szansę zyskać popularność nie tylko w Polsce, lecz wart jest zainteresowania zagranicznych odbiorców. Pastelowe portrety rodzinne, a w szczególności doskonale odzwierciedlone wzruszające grymasy dziecięcych twarzy, mogą być wzorem dla współczesnych artystów; monumentalne postacie, a także powiększone do rozmiarów rodem z „Alicji w Krainie Czarów" rośliny dowodzą nowatorskiego podejścia Wyspiańskiego do prezentowania piękna przyrody. Przedstawione na krakowskiej wystawie aranżacje wnętrz, takie jak wystrój Domu Towarzystwa Lekarskiego, projekt dekoracji świetlicy Towarzystwa Przyjaciół, zainteresują i zainspirują niejednego konesera designu. Zrekonstruowany witraż „Apollo. System Kopernika" według autorów odtworzenia ma wartość równą „Damie z gronostajem" i wygląda bardzo współcześnie.

Bezdyskusyjny geniusz twórczości Stanisława Wyspiańskiego pozostaje jednak nie do końca wykorzystany. Może zmieni się to przy okazji wystawy, nie sposób jednak nie odnotować braku aktywności promotorów Wyspiańskiego w internecie, który – jak wiadomo – jest niezwykle znaczącym orężem popularyzacji kultury. W mediach społecznościowych próżno szukać profesjonalnie przygotowanego profilu poświęconego artyście. Widać zaledwie aktywność pojedynczych fascynatów, których oczywiście należy doceniać, ale aż się prosi, by któraś z państwowych instytucji kultury utworzyła poświęconą Wyspiańskiemu stronę o wysokim poziomie merytorycznym, przedstawiającą pełen wachlarz jego dokonań. Tak, by zwłaszcza młodym ludziom narodowy wieszcz nie kojarzył się wyłącznie ze szkolną lekturą, ale stał się interesującym człowiekiem, którego barwnym życiorysem i twórczością ciekawie się inspirować.

Skromne rozważania na temat uniwersalizmu dzieł Wyspiańskiego skłoniły mnie także do odwiedzenia portalu jednego z najbardziej popularnych na świecie wydawnictw albumów poświęconych sztuce. Zakładając, że wśród jego publikacji nie znajdę tomu poświęconego krakowskiemu artyście, postanowiłam poszukać choć jednego polskiego nazwiska. Bezskutecznie. Na długiej liście twórców z różnych stron świata, powszechnie znanych m.in. dzięki promocji za pośrednictwem prestiżowego wydawnictwa, nie zauważyłam Polaków (jeśli się mylę – tym lepiej). W dobie globalizacji, w tym przypadku oznaczającej niemal monopol jednego z wydawnictw na promocję sztuki, przy okazji 100-lecia odzyskania niepodległości, bezwzględnie warto byłoby się postarać, aby polska kultura ukazała się na kartach publikacji o międzynarodowym zasięgu. Pierwszym artystą mógłby być właśnie Wyspiański. Dlaczego polscy twórcy nie mają mieć szansy stać się jedną z ikon popkultury, podobnie jak Klimt, Schiele czy Modigliani?

REKLAMA

Marysia na pierwszy rzut oka wygląda jak zdrowe dziecko. Gdy miała 7 miesięcy z niewiadomych przyczyn nastąpił u niej regres rozwoju. Marysia w chwili obecnej ma zdiagnozowaną padaczkę lekooporną, opóźnienie psychoruchowe oraz autyzm. Wymaga intensywnej, wszechstronnej stymulacji rozwoju: rehabilitacji ruchowej, opieki neurologicznej, psychologicznej i logopedycznej. Nasza sytuacja finansowa nie pozwala samodzielnie pokryć kosztów leczenia, rehabilitacji oraz dalszej diagnostyki, dlatego gorąco prosimy Państwa o pomoc.

JAK MOŻESZ POMÓC?

Wpłacając ONLINE przez stronę:
www.dzieciom.pl/podopieczni/32438
lub
Wpłacając bezpośrednio na konto:
Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą"
Alior Bank S.A. 42 2490 0005 0000 4600 7549 3994
Tytułem: 32438 GAŃKO MARIA – darowizna na pomoc i ochronę zdrowia

Osoby fizyczne oraz spółki osobowe mogą odliczyć darowiznę od kwoty do opodatkowania do 6% dochodu (PIT), a osoby prawne do 10% dochodu (CIT).

DZIĘKUJEMY ZA POMOC! Rodzice Marysi
W razie pytań prosimy o kontakt: wsparciedlamarysi@gmail.com

5/0118/F



eprasa.pl 9e6501059c

*Zebrała* ***Dorota Łosiewicz***

# Bunt pod willą

**40** funkcjonariuszy policyjnej formacji Compagnies Républicaines de Sécurité, którzy 24 godziny na dobę ochraniają willę prezydenta Francji, domaga się lepszych warunków pracy. Policjanci skarżą się, że przez cały rok muszą strzec w fatalnych warunkach prywatnej rezydencji Emmanuela Macrona w kurorcie Le Touquet na północy Francji, choć prezydencka para prawie nigdy tam nie przyjeżdża. Policjanci domagają się dostępu do toalet i ogrzewanych budek strażniczych. Fala protestów policyjnych związkowców wybuchła po tym, jak prefekt zapowiedział ukaranie policjanta, który zamiast stać przed pustą willą, schronił się na pół godziny przed ulewą i wichurą w zaparkowanym tuż obok radiowozie. Najwyraźniej do pracy dla prezydenta Francji trzeba przyjść wysikanym i w ciepłych gaciach. Tego, widać, wymaga praworządność.

**450 mln zł**

tyle wyda w 2018 r. rząd na program Maluch+. To trzy razy więcej niż do tej pory.

**2,1 tys. zł**

tyle wynosi płaca minimalna od 1 stycznia 2018 r. To o 5 proc., czyli o 100 zł, więcej niż w roku ubiegłym.

**60 zł**

tyle od stycznia płacą kierowcy za przejazd 150-kilometrowym odcinkiem autostrady A2 na trasie Nowy Tomyśl–Konin. To nie tylko najdroższa droga w Polsce, lecz i jedna z droższych dróg w Europie.

## *„Wolność słowa”*

W ostatni dzień 2017 r. kolońska policja zamieściła na Twitterze życzenia noworoczne w kilku językach, w tym po arabsku. Na wpis odpowiedziała ostrym komentarzem polityk AfD Beatrix von Storch: „Co do diabła dzieje się w tym kraju? Dlaczego na oficjalnym koncie policji w Nadrenii Północnej-Westfalii zamieszczono tweet w języku arabskim? Uważacie, że w ten sposób uda wam się oswoić barbarzyńskie hordy muzułmanów dokonujące grupowych gwałtów?” – zapytała von Storch i szybko się przekonała, że wolność słowa w jej kraju to fikcja. Twitterowe konto polityk AfD zostało przejściowo zablokowane za „promowanie nienawiści”. Co więcej, von Storch grozi postępowanie za popełnienie czynu karalnego – „podsycanie do nienawiści”. Ale i na tym nie koniec. Prokuratura rozważa, czy nie wszcząć postępowania przeciwko szefowej klubu poselskiego AfD w Bundestagu. Alice Weidel stanęła bowiem w obronie wpisu Beatrix von Storch. Wolność słowa w Niemczech jest, jak widać, przereklamowana. Kiedy wkroczy Komisja Europejska?

## *Ucieczka z otwartego więzienia*

Z zakładu karnego Ploetzensee w Berlinie uciekło w Nowy Rok dwóch więźniów. Tydzień wcześniej z tego samego więzienia zbiegło czterech przestępców, których mimo pościgu do tej pory nie schwytano. Dyrektor placówki dowiedział się o zajściu z prasy. Obaj więźniowie, którzy zbiegli ostatni, odbywali karę w systemie otwartym – za dnia przebywali na wolności, a do celi wracali tylko na noc. Pewnie gdyby w celach było jacuzzi, toby nie zwiali. A tak jeszcze mogą zażądać odszkodowania za złe traktowanie...



eprasa.pl 9e6501059c

## Pozazdrościli 500+

Rząd Litwy od stycznia wprowadził comiesięczne świadczenia na dzieci na wzór polskiego programu 500+ w wysokości 30 euro. W lokalnych urzędach można składać wnioski na otrzymanie finansowego wsparcia. „Bierzemy przykład z Polski, gdzie program 500+ świetnie się sprawdza, i u nas również się sprawdzi" – oświadczył Tomas Tomilinas, wiceprzewodniczący rządzącej partii Litewski Związek Rolników i Zielonych (LVŽS). To jednak dopiero początek. Litewski rząd zapewnia, że do 2020 r. wysokość świadczeń wzrośnie do 100 euro na głowę. Na razie na wyższe wsparcie nie starczyło pieniędzy. Zabawne jest to, że niby PiS wszystkim w Europie przeszkadza, a jednak idą w jego ślady.

***Ja się nazywam Ryszard Petru, założyłem Nowoczesną i będę chciał mieć realny wpływ na polską politykę"*** **– powiedział były lider Nowoczesnej, gdy nie został nawet wiceprzewodniczącym „swojej" partii. Po prostu Petru. Ryszard Petru. I wszystko jasne.**

## Odszkodowanie za nieloty?

Francja chce, aby Polska zapłaciła za caracale, choć ich nie kupiła. Koncern Airbus Helicopters będzie dochodził rekompensaty finansowej od Polski w związku z nierozstrzygniętym postępowaniem na śmigłowce wielozadaniowe – poinformował „DGP". Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia do MON, kancelarii premiera i Ministerstwa Rozwoju trafiło pismo od francuskiego koncernu, w którym zarzucił on polskiemu rządowi prowadzenie „negocjacji bez woli zawarcia umowy" (tzw. negocjacji pozornych) i zapowiedział, że przekaże sprawę do rozstrzygnięcia „arbitrażowi międzynarodowemu". Airbus Helicopters najprawdopodobniej będzie się domagał „wypłaty poniesionych kosztów w związku z postępowaniem". Według „DGP" „chodzi m.in. o liczne prezentacje śmigłowców w Polsce, testy, a także samo przygotowanie dokumentacji", czyli „co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych". Wiele wskazuje na to, że koncern powalczy również o odzyskanie przynajmniej „części potencjalnych zysków". Czy my już nawet nie możemy nie kupić śmigłowców, żeby cała Europa się w to nie mieszała?! Może warto jednak spojrzeć na Francuzów przychylniejszym okiem? Za coś w końcu muszą serwisować te swoje nieloty.

Fot. Andrzej Wiktor; Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

# Stolica w Baranowie

***Dominik Zdort***

To będzie nasza Gdynia w sercu Polski. Nasza Gdynia zresztą też w sercu Europy" – tak premier Mateusz Morawiecki reklamował plan utworzenia Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie. Nowy port ma zacząć działać za 10 lat, w roku 2027, więc jest jeszcze trochę czasu na refleksję w sprawie szczegółów. Na przykład na zastanowienie się, czy nie lepiej byłoby, aby ta inwestycja powstała bliżej stolicy.

Nowa Gdynia byłaby wtedy jeszcze bardziej w centrum Polski. Z natury rzeczy to właśnie Warszawa rozwija się i będzie się rozwijać najszybciej, będzie też przyciągać najwięcej nowych mieszkańców. To w Warszawie wszystkie poważne firmy (także zagraniczne, inwestujące w Polsce) mają, jeśli nie swoje centrale, to biura, do których na parę dni w tygodniu przyjeżdżają pracownicy z innych miast. Po zbudowaniu nowego lotniska 60 km od centrum Warszawa na pewno będzie stolicą w znacznie mniejszym stopniu niż dotychczas. Zacznie się zmieniać w miasto bardziej prowincjonalne.

Budowanie Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie jawi mi się jak budowanie Gdyni z dala od morza. Na przykład w Bydgoszczy. Na upartego by się dało. Aby przedsięwzięcie było jeszcze potężniejsze, można było zaplanować także ogromny i głęboki kanał, którym pełnomorskie statki będą dopływać do bydgoskiego portu... Tylko po co, skoro port można było wybudować nad Bałtykiem? I tak zrobiono.

Jeżeli mam być szczery, to całą swoją nadzieję pokładam w najskuteczniejszych lobbystach, jakich mamy w Polsce, którzy – niezależnie od tego, kto rządzi – zawsze potrafią zadbać o swój interes, czyli w politykach. Posłowie i senatorowie mają prawo do bezpłatnych przelotów samolotami LOT na terenie całej Polski. Nie jest to jakiś specjalny przywilej, a na pewno bardzo ułatwia sprawowanie mandatu parlamentarzysty. Dziś poseł z Lublina leci do Warszawy (ok. 150 km) na lotnisko Chopina 50 minut. Po roku 2027 poseł z Lublina pewnie będzie lecieć ponad godzinę, w dodatku wyląduje w Baranowie, skąd do centrum stolicy jedzie się obecnie półtorej godziny.

I proszę mnie nie przekonywać, że z baranowskiego lotniska będzie do Domu Poselskiego przy Wiejskiej kursować jakiś superszybki hyperloop – nie uwierzę w to, dopóki nie uda się w końcu położyć szyn umożliwiających dojazd zwyczajnej podmiejskiej kolejki do terminalu w Modlinie.

*Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl*



eprasa.pl 9e6501059c

RZECZY POSPOLITE

# Trzynasty punkt

*Tomasz Łysiak*

Równo sto lat temu, 8 stycznia 1918 r., prezydent USA Woodrow Wilson wygłosił orędzie, którego sens i znaczenie w szczególny sposób odczuli Polacy. Oto bowiem sprawa niepodległości Polski została w nim wyrażona niezwykle jasno – mówił o niej trzynasty z czternastu punktów orędzia. „Należy stworzyć niezawisłe państwo polskie, które winno obejmować terytoria zamieszkane przez ludność niezaprzeczalnie polską, któremu należy zapewnić swobodny i bezpieczny dostęp do morza i którego niezawisłość polityczną i gospodarczą oraz integralność terytorialną należy zagwarantować paktem międzynarodowym" – oświadczył prezydent.

Całość wystąpienia składała się na spójną wizję powojennego świata i warunków utrzymania przyszłego pokoju. Wilson postulował m.in., by znieść tajny sposób dogadywania się pomiędzy państwami i zastąpić go jawną, oficjalną dyplomacją. Czwarty punkt mówił o wzajemnych gwarancjach bezpieczeństwa i ograniczeniu do minimum zbrojeń, inne odnosiły się do spraw dotyczących Rosji, Belgii, Włoch, Francji, Austro-Węgier i Turcji, zaś ostatni, czternasty, przewidywał powołanie specjalnej organizacji mającej na celu dbałość o międzynarodowe bezpieczeństwo. Wszystko wiązało się z głównym celem całego orędzia, którym był światowy pokój, a sprawa Polski miała być tego pokoju istotnym elementem.

Jak wielka była waga tego oświadczenia, dowodzić nie trzeba, ale należy silnie podkreślić niebywale ważną rolę, jaką – w uwzględnieniu sprawy naszego kraju w orędziu – odegrał nasz genialny pianista i kompozytor Ignacy Jan Paderewski. Dotarł najpierw do kręgu doradców prezydenta, a potem rozmawiał z samym Wilsonem. Współgrało to z zabiegami dyplomatycznymi Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Razem grała polska „orkiestra niepodległościowa". Zaczynał się znamienny rok w dziejach historii Rzeczypospolitej. Rok, którego stulecie ze wzruszeniem i dumą zaczynamy właśnie obchodzić. Pamiętamy o wielkich Polakach. I o orędziu amerykańskim – które stało się dla nas prawdziwą jutrzenką wolności.

# Stan wody

*Piotr Cywiński*

Polacy chcą...!". Czego chcą? To najlepiej wiedzą lider Platformy tzw. Obywatelskiej Grzegorz Schetyna, przewodnicząca (bo jak twierdzi zdetronizowany Ryszard Petru, „liderem się jest, przewodniczącą się bywa") Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer i rzadziej ostatnio widywany Włodzimierz Czarzasty, szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej w formie szczątkowej. Wszyscy oni jak jeden mąż i jedna żona z reguły zaczynają swe wypowiedzi właśnie od tych dwóch słów: „Polacy chcą...". Zmiany ponoć chcą, bo „zrujnowana demokracja", bo „państwo zawłaszczone przez PiS" itp. A lepiej będzie tylko wtedy, gdy władzę przejmą wyżej wymienieni.

Zaiste, to nasz polski fenomen: oto partie z sondażowej strefy stanów niskich, jak stan wody w komunikatach meteorologicznych z punktu pomiarowego we wsi Miedonia nad Odrą podczas suszy, czują się upoważnione do występowania w imieniu narodu, który w demokratycznych wyborach odesłał je do diabła. Głupi naród, należałoby dodać. Nie pojmuje, ile traci. Gdyby wsłuchał się w głosy opozycji, wiedziałby, że powszechną szczęśliwość zapewni mu np. okiełznanie Kościoła czy związki partnerskie, a tak w ogóle dogłębna europeizacja: od zastąpienia polskich złotych eurowalutą po relokację islamskich imigrantów. Jak unia, której jesteśmy członkiem, to unia, respektować i realizować, co każe Bruksela, wszak dobrze nam życzy. Jej „opcja atomowa" nie jest przecież wymierzona w polskie społeczeństwo, tylko w ten pisowski rząd omszałych narodowców, żeby nie powiedzieć faszystów.

A że osobno wyżej wymienionym trudno byłoby ich obalić, trzeba wespół w zespół, by żądz moc móc wzmóc: ulica, zagranica, lewica i seksapil – broń kobieca Nowoczesnej, od której poległ był Ryszard Petru. Z nowym rokiem, z nowym krokiem! Na pożegnanie starego nowa przewodnicząca .N z kropką z przodu zaćwierkała ciepło na Twitterze do Schetyny, Czarzastego i Kosiniaka-Kamysza z PSL na doczepkę, wzywając ich do utworzenia „koalicji". W kupie siła! Wprawdzie i wespół mają gorsze notowania od PiS, ale mniejsza z tym. „Szabla smętnie w pochwie drzemie, wspominając dawne plemię, trwoga, ludzie, wielka trwoga, trzeba nam wyznaczyć wroga, bo inaczej, panie, pany, same się powyrzynamy", jak śpiewał śp. Zbyszek Wodecki. Wszak ma się program i się wie, czego chcą Polacy...



eprasa.pl 9e6501059c

***Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji: redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03–903 Warszawa***

## Zbudujmy Nowe Miasto w miejscu Pałacu Stalina

*Na wezwanie pana Jana Pietrzaka chciałbym się przyłączyć do zwolenników wyrzucenia z Warszawy Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Pomysł zaczyna zataczać coraz szersze kręgi, również wśród rządzących. To dobrze wróży. Sam – już w latach 90. – pisałem w tej kwestii do ówczesnego „Życia Warszawy" (w rubryce „Głosy od czytelników"). Wszyscy, którzy obecnie wypowiadają się w tej sprawie, chcą zburzyć Pałac, łącznie z cotygodniowo konsekwentnym w tej sprawie redaktorem Wojciechem Wenclem. A ja wolałbym go nie burzyć, tylko rozebrać. Dlaczego mielibyśmy zmarnować te tony materiałów budowlanych użytych do jego budowy? Wapnie, piaskowce, granity, marmury? I cenne gatunki drewna zastosowane wewnątrz budynku? I całe mnóstwo innych materiałów, które mogłyby być użyteczne, choćby przy budowie nowego Nowego Miasta na miejscu PKiN?*

*Dzięki pozbyciu się tego „daru narodu radzieckiego"(?) dla narodu polskiego można byłoby odtworzyć dawne ulice: Chmielną, Sienną, Śliską, Wielką, Zielną, Złotą, Pańską itd. Część z nich mogłaby stać się śródmiejskimi deptakami, bez ruchu kołowego. Na tych prawie 30 ha wzdłuż odtworzonych ulic powstałoby city z prawdziwego zdarzenia, symbol nowoczesnej Warszawy, tak jak symbolem nowoczesnej Australii lata temu została Sydney Opera House. I tu swoje miejsce znalazłyby oczywiście wszystkie instytucje znajdujące się obecnie w Pałacu Kultury: kina, teatry, muzea itp. Nie zabrakłoby sklepów, restauracji, kawiarni, pubów, hoteli, siedzib firm, apartamentów, skwerów ani innych miejsc, w których mieszkańcy i turyści chętnie spędzaliby czas.*

*Takie Nowe Miasto przywróciłoby charakter Warszawie i ściągało turystów z całego świata, co przekładałoby się na miliony, jak nie miliardy złotych do kasy miasta i państwa. Każdy chciałby zobaczyć jak Polacy zbudowali Nowe Miasto tak, jak kiedyś odbudowali Stare!*

*A gdzieś w środku można by zbudować ku pamięci i przestrodze makietę Pałacu Kultury w odpowiedniej proporcji (np. 10 m wysokości), gdzie zorganizowano by Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 r.*

*I wychodząc naprzeciw marzeniom pana Jana: od strony wschodniej, od ul. Marszałkowskiej koniecznie musi się znaleźć Łuk Triumfalny, upamiętniający to nasze wielkie zwycięstwo nad bolszewikami, z aleją prowadzącą do muzeum. [...]*

*Potomni będą nam wdzięczni.*

*Z poważaniem,*
*Andrzej Jegliński*

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

**REDAKTOR NACZELNY:** JACEK KARNOWSKI
**ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

**AUTORZY:**
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, MARTA LEWANDOWSKA, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MAREK OLEKSICKI, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, BARTOSZ SZTYBOR, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, MARCIN WOLSKI, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

**DYREKTOR WYDAWNICZY:** MACIEJ WOŚKO
**PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA:** JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

**STUDIO GRAFICZNE:**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
**FOTOEDYCJA:**
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ŻELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
**WYDAWCA:** FRATRIA SP. Z O.O.
**PREZES:** ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

**PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:**
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL

**WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:**
**78 1750 1325 0000 0000 2103 8946**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

**PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:**
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH $7^{00}$ – $17^{00}$.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

**DRUK:** LSC COMMUNICATIONS EUROPE
**NAKŁAD:** 123 118 EGZ.

**DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:**
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
**BIURO REKLAMY:**
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
ANNA PUCHACZ – DYREKTOR DS. PROJEKTÓW SPECJALNYCH
TEL. 602 42 00 14, ANNA.PUCHACZ@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

**KOLPORTAŻ:** KOLPORTAZ@FRATRIA.PL



*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.*
*COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.*
*WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).*



**NA OKŁADCE:** ANDRZEJ WIKTOR, 360B/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK (2), MAT. PRAS. TVP





eprasa.pl 9e6501059c

# Żadnych sztuczek z imigracją!

Niekontrolowany napływ imigrantów z obcych kultur prowadzi do patologii. Także tzw. korytarze humanitarne to pułapka. Jeśli ulegniemy tej presji, urządzimy sobie piekło

***Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Witoldem Gadowskim, dziennikarzem śledczym, reporterem wojennym, znawcą problematyki krajów arabskich i terroryzmu***

***Czy jest już jasne, jaki był cel wpuszczenia do Europy w 2015 r. ponad miliona imigrantów z krajów muzułmańskich? To był przypadek, odruch humanitarny, precyzyjny plan?***

**Witold Gadowski:** Spory w tej sprawie trwają i będą trwały. Z jednej strony mamy ideologię łatwego optymizmu, która mówi, że arabska wiosna była wspaniałym zjawiskiem, jej wybuch oznaczał przebudzenie się społeczeństw arabskich. W tym ujęciu wielka migracja jest wynikiem paroksyzmów systemów autorytarnych Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Finałem jest zaś migracja, ubogacenie Europy przez ludzi różnych kultur, rozbicie ciasnych nacjonalizmów i tym samym otwarcie naszego kontynentu na nową przyszłość. Europa ma być konglomeratem różnych grup, w którym roztopią się dzisiejsze narody.

***Wszystkie narody. Czyli nie może być żadnych wysp, które odmówią przyjęcia imigrantów?***

Tak. W myśl tego spojrzenia społeczeństwa homogeniczne narodowo mogą zagrozić realizacji całej koncepcji przebudowy Europy. Są też niebezpieczne, bo zawsze istnieje ryzyko odrodzenia się nacjonalizmów, a nacjonalizm jest czymś absolutnie najgorszym. Tak wygląda ta wizja.



eprasa.pl 9e6501059c

***Kto jest jej autorem?***

Trudno wskazać konkretnych ludzi, choć na pewno można wymienić George'a Sorosa, znanego promotora i sponsora kultu społeczeństwa otwartego.

***Jakie jest drugie spojrzenie na falę migracyjną z roku 2015?***

Nazwałbym je zachowawczym. Mówi ono, że nie było czegoś takiego jak arabska wiosna. Wszystko było wynikiem działań służb specjalnych, głównie amerykańskich, francuskich, brytyjskich i także rosyjskich oraz zmieniających się interesów. Skończyło się na rozbiciu bariery ochronnej Europy. Upadł reżim Kaddafiego w Libii, a to on właśnie stanowił zaporę przed imigracją z Południa. Brama egipska także stanęła otworem. Do tego doszło rozbicie Iraku oraz załamanie się Syrii. Przejście przez państwa rządzone przez reżimy było trudne, one blokowały najważniejsze szlaki.

***Ale te reżimy były często bardzo brutalne.***

Jakie efekty pozytywne przyniosło ich rozbicie?

Mamy upadek państw. W Libii są trzy ośrodki władzy walczące z sobą, a poziom życia dramatycznie spadł w porównaniu z czasami Kaddafiego. Egipt pogrążył się w kryzysie i znów ma rządy wojskowe. W Syrii Asad krwawo wraca do władzy. Irak to dziś trzy terytoria, chaos.

***Nie ma państw, nie ma barier.***

Wędrówka ludów stała się możliwa. Potęguje ją jeszcze wojna, bo wśród ludzi zmierzających do Europy są także ofiary konfliktów zbrojnych. Ale większość ofiar wojny siedzi w obozach dla uchodźców i nie ma żadnych szans, by się stamtąd wyrwać. Efekt tego wszystkiego jest jasny: do Europy napływają ludzie o bardzo roszczeniowych postawach i nieprzychylnym spojrzeniu na kulturę europejską. Buduje to naturalny konflikt, który będzie narastał.

***Według raportu Pew Research Center w 2050 r. w Szwecji może być ponad 30 proc. muzułmanów. To już poziom, który pozwala po prostu przejąć władzę, także drogą demokratyczną.***

Ten scenariusz prognozował Michel Houellebecq w swojej książce „Uległość", opisując, jak partia muzułmańska przejmuje legalnie władzę we Francji. Myślę, że to realne. Szwecja to kraj ludnościowo niewielki, więc tam przemiany zachodzą szybciej. Mówiąc nieco z przekąsem, kalifat Malmö jest już faktem, wystarczy zapytać Szwedów, którzy stamtąd uciekają do Europy. Burmistrzem Londynu jest muzułmanin, co prawda prezentujący swój liberalizm, ale można to uznać za swego rodzaju etap przejściowy.

***W 2015 r. w brytyjskiej prasie zaprezentowano zdjęcie ze spotkania przedwyborczego kandydata Partii Pracy w muzułmańskiej dzielnicy Birmingham, które pokazuje salę podzieloną na pół: po jednej stronie siedzą mężczyźni, po drugiej kobiety. Muzułmański socjalizm w praktyce.***

To szerszy problem. Tak wyczulona na prawa kobiet lewica nie zwraca uwagi na to, jak traktowane są kobiety w społecznościach muzułmańskich w Europie. Bardzo często spotykam się z relacjami Polaków z Wielkiej Brytanii, którzy mówią, że najgorszym momentem ich pobytu w tym kraju była interwencja podczas kłótni domowej u muzułmańskich sąsiadów, w reakcji na odgłosy katowania kobiety. Nie zdołali zapobiec przemocy, napytali sobie biedy ze strony policji brytyjskiej, znaleźli się na celowniku urzędów socjalnych. To nimi zaczęto się interesować, to oni musieli zapłacić karę za naruszenie spokoju, do tego muzułmanie pozwali ich do sądu. Ostatecznie musieli się przenieść do innego miasta.

***Trudno w to uwierzyć.***

Te opowieści słyszę regularnie. Co ciekawe, tylko Polacy reagują, gdy widzą przemoc. Wiele to o nas mówi.

***Muzułmanie są pod większą ochroną państw europejskich niż Europejczycy.***

Pewna pani powiedziała w TVN, że jeśli przyjmujemy 7 tys. uchodźców, jeden wysadzi się w powietrze i zginie 10 Polaków, to i tak uratujemy życie 6 990 osób. Gdy to usłyszałem, zdałem sobie sprawę, że znam to myślenie. Gdy w czasie wywiadu z Isabelle Coutant-Peyre, obecną żoną znanego terrorysty Carlosa, stwierdziłem, że przecież jej mąż zabijał niewinnych ludzi, podkładał bomby w pociągu TGV, w restauracji, usłyszałem w odpowiedzi: „To ekonomia ludzkich istnień". Czyli jeśli chce się przeprowadzić rewolucję, to muszą być ofiary. Mówiła to wzięta adwokat z Paryża! Dziś podobne opinie wypowiadają publicznie różni ludzie w Polsce. W procesie reżyserii społecznej dopuszcza się ofiary w imię szczęścia całej reszty.

***Gdy sprzeciwiamy się masowej imigracji, słyszymy jednak: „Co mamy robić? Zawracać łodzie do Afryki, strzelać do szturmujących granice? Pan będzie strzelał?".***

Imigracja jest związana z nastrojami w Europie. Jeśli u nas panuje przychylne nastawienie, a nawet entuzjazm, to jest to sygnał odbierany na terenach, z których wychodzi emigracja. Ludzie biedni wiedzą, że są witani w Europie kwiatami, że dostają dżizję, czyli podatek od niewiernych...

***Chodzi o tzw. socjal?***

Tak. Europejczycy uważają, że w ten sposób okazują wielkoduszność i hojność uchodźcom i że należy im się wdzięczność. A nie będzie żadnej wdzięczności, bo przybysze uważają, że to Allah im daje, a „niewierne psy" jedynie się ociągają z wypłatą tego podatku od niewierności.

***Czyli entuzjazm Europejczyków, owe „refugees welcome" nakręciły imigrację?***

Oczywiście! To już jednak przeszłość. Moi niemieccy znajomi mieszkają na bogatej wyspie Sylt przy granicy z Danią.



eprasa.pl 9e6501059c

Na początku wszyscy chcieli pomagać sierotom z Syrii. Gdy jednak pojawiło się 200 przybyszów, gdy doszło do pierwszego od lat zabójstwa, gdy zaczęło się ganianie za kobietami jeżdżącymi konno w jednoznacznym celu, ludzie najpierw się przestraszyli. Dziś są przeciwni przyjmowaniu kogokolwiek. Ale i tak muszą zamykać domy i szyby w samochodach, czego wcześniej nie musieli czynić, bo życie było sielskie.

***Zmiana nastroju może pozwolić politykom na podjęcie zdecydowanej obrony granic.***

Nie ma już nastroju entuzjazmu, ale wciąż nie ma gotowości do obrony. Powoli Zachód akceptuje nowe reguły: kilkadziesiąt spalonych samochodów w Niemczech w noc sylwestrową, skatowana policjantka we Francji... Kierowcy jadący przez Calais do Wielkiej Brytanii wiedzą, że czeka ich ciężka przeprawa, że mogą zostać napadnięci przez śniadych ludzi, którzy stworzyli duże bandy przestępcze. Wszyscy wiedzą, że jest źle, ale nikt nie ma ochoty realnie działać. Inny przykład: w Berlinie widziałem demonstrację Arabów. Zabezpieczali ją policjanci, z których część była śniada i wyraźnie nie była zainteresowana tym, co się dzieje, a część miała warkoczyki na brodzie. Taka policja nie wzbudzi respektu.

***Gdy trzeba, w innych sferach Zachód wciąż potrafi działać zdecydowanie. Już widać, że następuje cicha, a czasem wręcz głośna, zmiana polityki imigracyjnej.***

Co zrobią politycy, jeśli pojawi się nowa wielka fala? Ustawią megafony i powiedzą: „Stop, dalej nie wolno wam iść?". To ich zatrzyma? Oczywiście nie. Skuteczna może być tylko siła fizyczna. Kto wyda rozkaz użycia siły? Włącznie z ostrą bronią? Nikt. Przybysze wiedzą, że coś takiego się nie zdarzy. Najwyżej zostaną na krótko zamknięci w więzieniach, które są pensjonatami w porównaniu z więzieniami w ich krajach.

***Orbán był jednak w stanie sięgnąć po pewien rodzaj przemocy. Zbudował podwójne ogrodzenie, wysłał policję.***

A Bułgarzy przymknęli oko na działania mafii. Zaczęły się pobicia, porwania, rabunki. I poszła fama, że przez Bułgarię nie należy chodzić, bo tam są źli ludzie. To wystarczyło. Orbán sięgnął po działania administracyjne, naraził się na ostracyzm. Czy my moglibyśmy zrobić coś podobnego, gdyby ruszył szlak przez Ukrainę? Nie sądzę. Nie mamy takiej siły. Musielibyśmy przerzucić oddziały wojskowe, np. pułk z Lublińca. Ale sił gotowych do użycia też nie mamy zbyt wiele. I jaki podniósłby się hałas w Europie, że wysyłamy wojsko do walki z kobietami i dziećmi.

***Naprawdę nie da się tej wędrówki ludów zatrzymać? Zachód radził sobie z większymi kryzysami.***

Trzeba patrzeć globalnie. Najbardziej na Bliskim Wschodzie nabroili Amerykanie, największą cenę płaci Europa. Do tego Turcja, Iran, tradycyjnie Izrael, Stany Zjednoczone i Rosja są zainteresowane osłabieniem Europy. Każda z tych sił ma swój interes. I każda ma argumenty. Turcy mają pistolet w postaci 3 mln uchodźców. Ale Rosjanie też mają pistolecik w postaci 100 tys. uchodźców, głównie Czeczenów. Kilkanaście tysięcy z nich to byli bojownicy z wojen czeczeńskich i dagestańskich pod pewną kontrolą rosyjskich służb. Przy pomocy tych ludzi Rosjanie mogą zdestabilizować sytuację u każdego ze swoich sąsiadów. Proszę sobie wyobrazić, że na Łotwę wejdzie 3 tys. Czeczenów przeszkolonych bojowo. Mamy dramat. I co robią władze? Proszą o pomoc Rosję, bo nikt inny im nie pomoże. I Rosjanie pomogą, ale nie za darmo. Do Polski tych ludzi Putin też może wepchnąć.

***Zachód jest więc sparaliżowany, ale jednak państwa naszego regionu solidarnie stawiają opór. Dlaczego właśnie te kraje – Polska, Węgry, nawet zateizowane Czechy – nie dały się nabrać? Czy to wynika z naszych doświadczeń historycznych?***

Mamy świeże doświadczenia okupacji. Jesteśmy w miarę jednorodnymi etnicznie krajami, choć na południe od nas to nieco bardziej skomplikowane. Podzielamy przekonanie, że nasze homogeniczne kultury są wartością, którą jeszcze się nie nacieszyliśmy. Dopiero budujemy swoje zręby państwowe, a już każe się nam otwierać na obcych. Są też przyczyny szczególne. Na przykład Polska jest silna religijnie, co sprawia, że interesujemy się losem chrześcijan na Bliskim Wschodzie i widzimy, jak bardzo są prześladowani. Te wspólnoty po prostu znikają. No i wreszcie każdy z krajów naszego regionu widzi, co się dzieje na Zachodzie, do jakich patologii prowadzi niekontrolowany napływ imigrantów z obcych kultur. Chcemy być mądrzy przed szkodą, zachowujemy się roztropnie. Nie chcemy napływu imigrantów na warunkach, które wszyscy trafnie odczytujemy jako fałszywe i sztuczne.

***Sprzeciw Prawa i Sprawiedliwości wobec przymusowej relokacji zdecydował o wyniku wyborów?***

Tak. Moim zdaniem 80 proc. ludzi w Polsce, głośno lub po cichu, jest przeciwko przyjmowaniu imigrantów. PiS wygrało dzięki temu, że twardo obiecało, iż nie przyjmie imigrantów na zasadach dyktowanych przez Europę. Dziś stawia się nas w narożniku, mówiąc, że nie chcemy pomagać ofiarom wojny. To nieprawda. Trzeba rozróżniać prawdziwą pomoc cierpiącym od realizacji utopijnej polityki. To, co proponuje Europa, to jest utopia. Polska powinna zaproponować własną szkołę pomagania ofiarom wojny. Mamy cenny dorobek Kościoła, polskie organizacje kościelne naprawdę są w czołówce tych, którzy niosą pomoc na miejscu.

***Rząd też znacznie zwiększył wydatki na ten cel.***

Jest Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej, teraz powołano ministra do tych spraw. Musimy pomagać na miejscu. I powiem też, że powinniśmy przyjmować uchodźców. Ale na naszych warunkach. Nie tych, których nam z rozdzielnika przysyła Unia Europejska. Możemy sobie wyobrazić, jaki jest ten mechanizm selekcji: w starej Unii zostają lekarze, inżynierowie, fachowcy, a reszta ma jechać do krajów mniej cenionych, w tym do Polski.



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Andrzej Wiktor (x2)

***Jakich uchodźców powinniśmy więc przyjmować?***

Mamy atut: rozeznanie Kościoła. Wiemy, gdzie są wspólnoty chrześcijańskie, ludzie, którzy naprawdę nie mają co ze sobą zrobić. W obozach dla uchodźców, a zwiedziłem ich trochę, są tacy ludzie. Ich powinniśmy przyjąć.

***Ilu?***

Ich nie będzie wielu, może ponad setka rodzin, może trochę więcej. Bo chrześcijanie nie chcą wyjeżdżać. Mają pełną świadomość, że gdy wyjadą, to już nie wrócą. My też powinniśmy robić wszystko, by nie wyjeżdżali. Ale niestety są tacy, którzy już nie mają dokąd wracać. Na przykład dlatego, że pojawiła się nienawiść i w razie powrotu zostaną zamordowani przez swoich sąsiadów. Jak na Bałkanach w czasie wojny.

***O jakich chrześcijan chodzi?***

To przeważnie Asyryjczycy, ludzie bardzo starej kultury, o mocnej diasporze światowej, świetnie radzący sobie w interesach. Oni byliby dla nas wręcz cenni. Powinniśmy stworzyć im warunki do życia w Polsce, ścieżki szkolenia zawodowego, znalezienia pracy. Oni na pewno nie będą żebrać, nie będą nikogo okradać. Wspólnoty chrześcijańskie na Bliskim Wschodzie to najbogatsze wspólnoty w całym regionie. Jeśli widzimy bogate domy, zadbane otoczenie, schludność, to wiadomo, że jest to enklawa chrześcijańska. Chrześcijanie bliskowschodni są pracowici, zapobiegliwi, dobrze wykształceni. Naprawdę nic nie stracimy.

***Ale słychać i inną propozycję: przyjmijmy te 7 tys. imigrantów z Unii, to się od nas odczepią, dadzą nam spokój. 7 tys. to przecież niewiele.***

Nie odczepią się. To byłaby zgoda na relację jak z małżeństwa alkoholika: pomaganie choremu tylko nakręca problem, on będzie pił jeszcze więcej.

***Uchylimy drzwi, to już ich nie zamkniemy?***

Tak, nie zamkniemy. Unia nie radzi sobie z problemem i nie będzie sobie radziła. Gdy więc raz rozładuje problem, wysyłając tych ludzi do nas, będzie to powtarzała, zmniejszając ciśnienie u siebie, dzieląc się niedolą.

***Jak to niedolą? Przecież to ma być ubogacenie.***

To jest niedola, to widać. Sylwestrowe informacje z Francji, Belgii, Niemczech brzmią jak wieści z frontu. Starcia, zamieszki, wandalizm, ofiary. To, że chory zarazi zdrowego, nie znaczy, iż go to uleczy.

***Sporo emocji wzbudziła wypowiedź Kornela Morawieckiego, który zaproponował przyjęcie owych 7 tys. Ostatecznie zarówno rzecznik premiera, jak i rzecznik PiS potwierdzili dotychczasowy sprzeciw partii rządzącej.***

Moim zdaniem naciski w tej sprawie wzrastają. Nieprzypadkowo wraca ta liczba: 7 tys. To pani kanclerz Merkel przewidziała dla nas tę kwotę i chce sprawę doprowadzić do końca. Polska ma się nie sprzeciwiać. Myślę, że wypowiedź Kornela Morawieckiego była balonem próbnym, który miał sprawdzić, co się stanie, jeśli złagodzimy retorykę i trochę zmienimy politykę. Ale nie da się być trochę w ciąży. Albo wpuszczamy, albo nie. Albo się godzimy na europejski mechanizm relokacji, albo szukamy swojej drogi niesienia pomocy.

***Nacisk na Polskę rośnie. Polacy jednak twardo uważają, że w tej sprawie nie można ustąpić.***



eprasa.pl 9e6501059c

Opinia publiczna jest przeciw. Istnieje jednak tyle środków socjotechnicznych, propagandowych, którymi można otumanić opinię publiczną, że mam obawy. Jeżeli politycy skapitulują i będą chcieli przyjąć uchodźców na podstawie patologicznego mechanizmu relokacji, zostanie to ubrane w bardzo emocjonalne tony. Będziemy świadkami kampanii szantażu moralnego osnutej wokół dzieci. Zobaczymy na ekranach okaleczone ofiary wojny... Kościół to poprze. Trudno będzie przeciwko temu oponować.

***A później będzie akcja łączenia rodzin.***

Na początku lat 90. moi koledzy z „Solidarności" zaczęli pomagać sierocińcowi w Beiuş w Rumunii, gdzie były naprawdę straszne warunki. Część dzieci ściągnięto do Polski. I to było piękne. Ale później zainteresowanie minęło, nikt nie zajął się wychowaniem tych chłopców. Aż doszło do brutalnego gwałtu na kąpielisku w Kryspinowie w Krakowie. Sprawcami okazali się młodzieńcy z Beiuş.

***Sprowadzanie ludzi z innego kraju, z innej cywilizacji to wielka odpowiedzialność.***

Potworna. Tam, na Bliskim Wschodzie, ci ludzie są pod nadzorem swojej społeczności, mają swoje rodziny, swoje zasady. My ich bierzemy, mija moda, mija zainteresowanie, część tych ludzi trafia w złe kręgi. Finał jest łatwy do przewidzenia.

***Zresztą jakich zachowań, np. w stosunku do kobiet, spodziewają się ci, którzy sprowadzają milion młodych mężczyzn bez rodzin?***

Z kultury, w której stosunek do kobiet jest bardzo restrykcyjny, w której za kobietę trzeba zapłacić jej ojcu, ci ludzie trafiają do krajów, w których wszystko jest na wyciągnięcie ręki. W Szwecji mają nawet bony do domów publicznych. Wiadomo, do czego to musi prowadzić.

***Jest też silna presja na tzw. korytarze humanitarne. Po leczeniu poszkodowani przez wojnę mają teoretycznie wrócić do swoich krajów.***

Nikt nie wraca. Gdy ktoś już dotrze do Europy, to tu zostanie. Będzie również bardzo silna presja, by ci ludzie już tu zostali. A później wspomniane łączenie rodzin. Jeśli nie mamy programów socjalizujących tych ludzi od dzieciństwa aż do dojrzałości, to w ogóle w to nie wchodźmy, bo to gwarantuje kłopoty. Oni się nie zintegrują. Nie dlatego, że są gorsi, ale dlatego, że są inni.

***Korytarze humanitarne są więc sztuczką, za pomocą której chce się ominąć sprzeciw społeczeństwa?***

Tak. Uważam, że to sztuczka, której celem jest zmiana języka. Ponieważ „przyjmowanie uchodźców" zostało już zdekonspirowane, wszyscy wiedzą, o co chodzi, to trzeba wprowadzić opinię publiczną w błąd, wysuwając na plan pierwszy właśnie „korytarze humanitarne", „ratowanie życia". A że to będą ludzie z Erytrei, Pakistanu? Cóż, tam też jest wojna, tam też życie ludzi jest zagrożone. Do tego nasze służby – ani socjalne, ani specjalne – nie mają żadnego rozeznania w sprawie uchodźców. Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy mają o niebo lepszą wiedzę, a i tak nie dają sobie rady. Już dziś w kilku polskich ośrodkach dla uchodźców dzieją się rzeczy niepokojące. Słyszymy, że Czeczeni wprowadzają swoje zasady, prawo szariatu, że terroryzują okolicznych mieszkańców, że w szkołach są zamieszki.

***Czyli intuicja wielu ludzi mówiąca „ani kroku wstecz" jest słuszna? Bo siły, które chcą wyważyć drzwi, są potężne.***

To słuszna intuicja. Żadnych sztuczek w tej sprawie! Lewica europejska jest pełna hipokryzji. Mówi nam: „Przyjmijcie uchodźców, a później czeka was już tylko happy end, bo będzie miłość, ubogacicie się, będą wzajemne inspiracje". To nieprawda, to jakaś bajka, idylla. Bo najpierw są kwiaty, transparenty, potem zasiłek, a za chwilę normalne, codzienne życie. Proszę sobie wyobrazić niewielką miejscowość w Polsce. Po sumie ludzie wychodzą z kościoła. Ulicą idzie rodzina uchodźcza i mężczyzna bije w twarz swoją kobietę przy dzieciach. W tym modelu kulturowym to jest przyjęte. Jaka będzie reakcja Polaków? Rzucą się na mężczyznę. Jaka będzie reakcja mediów? Polscy rasiści pobili biednego przybysza. Tamci urządzą odwet. Nasi też. Będzie piekło.

***Jak na Zachodzie w wielu miejscach, gdzie ostatecznie takie sytuacje kończą się wyprowadzką starych mieszkańców, czyli w zasadzie cichą czystką etniczną.***

Ale w mediach o tym nie usłyszycie. W Niemczech jest niemal oficjalna cenzura. Czasem policjanci nie wytrzymują i anonimowo wrzucają do sieci nagrania. Na jednym z takich nagrań widać było, jak śniady mężczyzna bije i kopie kobietę, która spada po schodach i łamie sobie rękę, a on odchodzi, popijając colę. Wybuchła afera, sprawcę ujęto. Gdyby nie to nagranie wypuszczone przez policjantów, nie byłoby żadnej reakcji państwa.

***Zaraz usłyszymy, że przemoc domowa zdarza się też wśród Polaków.***

Nikt nie ma monopolu na chamstwo. Ale dlaczego w Berlinie pojawiły się strefy bezpieczeństwa dla kobiet? Wcześniej tego nie było, a teraz to norma. Młodzi muzułmanie z niektórych kręgów mają taką rytualną zabawę, która polega na molestowaniu kobiet. Chcemy tego w Polsce? Ci ludzie mają inny styl życia, inne wartości. Jest też zjawisko, które można określić jako „gangsta islam". To są ludzie wyrwani spod kontroli lokalnych społeczności, posługujący się islamem jako zasłoną dla brudnych celów. Powstają gangi przestępcze, islamizują się także więzienia, z których wychodzą przestępcy nawróceni na islam. W polskich więzieniach to już też się zaczęło, znam członka gangu pruszkowskiego, który został muzułmaninem.

***Za ściąganiem imigrantów są głównie elity, ale cenę płacą klasy niższe. Getta lokowane są przecież na peryferiach, w biedniejszych dzielnicach.***

Które imigranci szybko przejmują. W duńskim mieście Aarhus jest dzielnica Brabrand, kiedyś schludna i nowo-



eprasa.pl 9e6501059c

czesna, pełna bloków w skandynawskim stylu. Dziś to jeden wielki slums, do którego mieszkańcy Aarhus nie zaglądają. W tym mieście wydawana jest też gazeta „Jyllands-Posten", która pierwsza zamieściła karykatury Mahometa. Jej redakcja do dziś, a minęło już 12 lat, otoczona jest zasiekami i stale strzeżona. Dziś już nikt nie wypowiada się przeciwko islamowi, bo każdy chce żyć. Anonimowych ofiar wojny religijnej, którą islamiści prowadzą, jest wiele.

***Te ofiary są mniej medialne niż uchodźcy.***

Hipokryzja Zachodu zbiera swoje żniwo. Zachód głosi, że wszyscy mają równe szanse, że wszyscy są równi. Tymczasem praktyka jest taka, że społeczności arabskie nie uczą się, nie rozwijają, nie robią karier, oczywiście w swojej masie, bo zawsze znajdą się jednostki wybitne. Pojawia się wykluczenie ekonomiczne, frustracja. I także pogarda większości, widoczna często w drobnych gestach, spojrzeniach, traktowaniu, w czymś, czego prawo nie złapie. I do tych kolebiących się po ulicach małych handlarzy narkotyków przychodzi polityczny islam, który im mówi: „Już nie jesteś sprzątaczem ulic, jesteś bojownikiem Allaha, daję ci godność". Do tego dochodzą pieniądze z Arabii Saudyjskiej – kraju, który jest głównym winowajcą radykalizacji środowisk arabskich w Europie.

***Środowiska muzułmańskie są też używane przez lewicę jako argument na rzecz rugowania chrześcijaństwa, które rzekomo prowokuje przybyszów.***

Nie tylko przez lewicę. Są trzy fazy: w pierwszej, gdy jest ich niewielu, przybysze są pokorni i grzeczni. W drugiej pojawiają się żądania. Wchodzą do samorządów, wymuszają mięso halal w szkołach, zamykanie pubów, zdejmowanie krzyży. A potem jest etap trzeci, gdy stają się siłą dominującą. Wówczas niewiernych obciąża się podatkiem albo skraca o głowę.

***Jak Polska powinna przekonywać do swojego stanowiska w sprawie imigracji?***

Przede wszystkim musimy mieć aktywną politykę zagraniczną, której moim zdaniem nam brakuje. A możemy podjąć wiele ciekawych działań. Na przykład zlecić renomowanym sondażowniom na Zachodzie przeprowadzenie badań na temat postawy społeczeństw włoskiego, hiszpańskiego, francuskiego, niemieckiego i skandynawskich wobec imigrantów, którzy są w ich krajach, i wobec polityki ich rządów w tej sprawie. Każdą rozmowę o mechanizmie relokacji powinniśmy rozpoczynać od przedstawienia takich wyników, zapewne bardzo ciekawych. Warto wydać nawet duże pieniądze na taki argument. Druga sprawa: powinniśmy doprowadzić do uznania Ukraińców przyjeżdżających z Donbasu, ze strefy wojny, jako uchodźców o takim samym statusie jak uchodźcy z Bliskiego Wschodu. Myślę, że w masie Ukraińców jest ze 100 tys. ludzi ze strefy walk. I trzecia sprawa to przyjęcie chrześcijan, których sami wskażemy i zaprosimy. Na pewno nie możemy stać w narożniku i czekać na ciosy. Musimy zadawać niewygodne pytania, udzielać odpowiedzi, działać.

***Papież Franciszek nie ustaje w swoich apelach, by przyjmować imigrantów.***

Papież Franciszek umył też nogi muzułmanom, wziął rodziny muzułmańskie z wyspy Lesbos. To są piękne chrześcijańskie gesty, ale takie gesty powinny być adresowane do tych, których mogą one ulepszyć. To jest tak jak z nadstawianiem drugiego policzka. Jeśli czynimy ten gest wobec głupca, to tylko go rozzuchwalamy, czyli czynimy zły uczynek. Możemy nadstawić drugi policzek wobec człowieka, który zrozumie, co my robimy. Gesty papieża Franciszka, przed którym chylę głowę, odbierane są przez świat muzułmański jako gesty poddaństwa Rzymu wobec proroka, świata islamskiego. To tylko napędza islam wojenny. Musimy się kierować racjonalnością, wiara katolicka nie jest wiarą bezrozumną.

> W masie Ukraińców obecnych w Polsce jest ze 100 tys. ludzi ze strefy walk w Donbasie. Europa musi dostrzec, że prawdziwych uchodźców przyjmujemy

***Jak należy pomagać na miejscu, na Bliskim Wschodzie?***

Problemem jest to, że wiele organizacji niosących pomoc to tak naprawdę biznes, który sam zjada nawet 30 proc. tego, czym dysponuje. To pierwsza fala uszczuplania pomocy. Druga fala widoczna jest na miejscu, gdzie wyspecjalizowane gangi kradną te pieniądze. Mniej niż 1/3 dociera do ludzi. Trzeba przyjąć inną filozofię działania.

***Jaką?***

Trzeba na miejscu znaleźć ludzi potrzebujących pomocy i do nich konkretnie kierować środki. Z komandorem rezerwy Bartkiem Rutkowskim i jego fundacją Orla Straż pomagamy starożytnemu chrześcijańskiemu miastu Karakosz w Iraku. Żyło tam 55 tys. ludzi, w 90 proc. chrześcijan. Zostali wypędzeni przez Państwo Islamskie, teraz wracają do zaminowanych ruin. Nie ma szkół, szpitali, sklepów. Ja pomagałem poprzez swój „Komentarz tygodnia" zbierać pieniądze. Udało się uzyskać 500 tys. zł. Te pieniądze idą na konkretne cele: odbudowaliśmy warsztat ślusarski, kupiliśmy wyposażenie warsztatu spawalniczego, maszyny do druku podręczników, daliśmy na start sklepiku. Teraz odbudowujemy przychodnię zdrowia, urządziliśmy dzieciom mikołaja. Pieniądze trafiają do konkretnych ludzi, których znamy. Co ważne, za te nasze 0,5 mln zł można tam zrobić naprawdę dużo. Teraz chcemy zrobić o tym film, aby pokazać, jak Polacy pomagają odbudować chrześcijańskie miasto. Na ten film też zbieramy pieniądze.

*Informacje na temat sposobu wsparcia tej produkcji oraz pomocy dla miasta Karakosz znajdują się na stronie: www.gadowskiwitold.pl*



eprasa.pl 9e6501059c

# Na odejście Palikota

PIOTR SKWIECIŃSKI

*To wcale nie fanatyk, tylko skończony cynik odegrał kluczową rolę w wyeskalowaniu polsko-polskiego konfliktu do rozmiarów niemal wojny domowej*

Kiedyś, całe eony lat temu, kiedy Janusz Palikot nie był jeszcze żadnym tam politykiem ani osobistym wrogiem Pana Boga, a nawet żadnym wydawcą tygodnika „Ozon", gdy po prostu był młodym miliarderem z pretensjami do bycia intelektualistą, w wywiadzie prasowym zapytano go, co czuje, kiedy zwalnia ludzi z pracy (jakaś taka fala przeszła wtedy przez należące do niego zakłady). Czy nie jest to dla niego nieprzyjemne?

Młody miliarder udzielił takiej mniej więcej odpowiedzi: jestem pewien, że wyrzucając z pracy tych (często starszych) ludzi, którzy gdzieś tam na głębokiej prowincji od uzyskania pełnoletniości aż dotąd zajmowali się tylko tym jednym i tylko to umieli, wyrządzam im dobro. Uwalniam ich bowiem od życiowej rutyny. Daję im jedyną w swoim rodzaju szansę odkrycia czegoś nowego, nauczenia się żeglugi po oceanach, z których istnienia w ogóle sobie sprawy nie zdawali. Przekonania się, że nie należy się bać zmiany, która przecież zawsze jest czymś dobrym.

Podnoszę ich więc w ten sposób na wyższy poziom.

Gdy to przeczytałem, pomyślałem z uznaniem: ostro jedzie. Naprawdę ostro. I znać w tym filozofa. Bo tylko filozofowie potrafią tak suwerennie budować swoje światy. A każdą próbę zwrócenia uwagi, że może nie pasują one do tego rzeczywistego, uznawać nie tylko za chamski nietakt, lecz wręcz za dowód na to, że zwracający po prostu jest od nich wielokrotnie głupszy.

Niestety nie pamiętam, czy wtedy, gdy czytałem ów wywiad, znałem już słynny cytat z gangstera Siary, który w takich sytuacjach mawiał: „Mają rozmach, sk....yny".

I tak oto Janusz Palikot nieświadomie znalazł sobie stosowne miejsce w świecie mojej wyobraźni. Potem był raz na wozie, raz pod wozem, ale tego miejsca nie opuścił już nigdy.

**1** Ten wywiad i tę filozoficzną cechę Palikota przypomniałem sobie parę lat potem. Kiedy późniejszy twórca partii politycznej z własnym nazwiskiem w nazwie (przed nim nikt w Polsce sobie na coś takiego nie pozwolił, ale cóż, wiadomo, że polskość jest skażona konserwatywną konwencjonalnością, uznajmy więc, że nie był to żaden przejaw manii wielkości, tylko rewolucyjna transgresja wiodąca do przekształcenia społeczeństwa) przez półtora roku wydawał tygodnik „Ozon".

Ów „Ozon" pamięta się obecnie jako walczący periodyk prawicowo-katolicki. I jeśli w okresie wielkości Palikota po lewicowo-liberalnej stronie sceny politycznej ktoś próbował nieśmiało jego wielkość zakwestionować, to podnosił właśnie ten epizod. Czasem wręcz z sugestią: czy to nie farbowany lis? Czy przypadkiem nie kieruje nim Opus Dei lub inne potwory z jakiegoś zamieszkałego przez czarnych bunkra? Czy to wszystko razem to nie jest diabelska intryga zakonspirowanej klerykalnej mafii?

Bezmierną, tak to grzecznie nazwijmy, naiwność tego rodzaju zaniepokojonych obserwatorów widać najlepiej, gdy przypomnimy sobie całą historię „Ozonu". Bo ten tygodnik istotnie w drugiej połowie swego krótkiego istnienia był wprawdzie mocno katolicki, ale w pierwszej – a Palikot był jego właścicielem cały czas – miał zupełnie inny charakter. Bardzo centrystyczny, raczej (choć bez przegięć) liberalny, afirmujący polską transformację, a wobec III RP krytyczny, ale w dość przyjaznej formule. Gdy czytelnicze fiasko tego modelu stało się ewidentne (co samo w sobie jest znamienne, bo był on stworzony w oparciu o bardzo rozbudowane badania rynkowe, „focusy" itd., przekonujące, że Polacy wprost marzą o takim periodyku – to najjaskrawszy znany mi przykład tego, że nie należy wierzyć analizom medioznawców), Palikot zmienił diametralnie i koncepcję, i redakcję. I wtedy dopiero przyszli do niej wojujący katolicy.

Którzy również rynkowego sukcesu nie odnieśli, ale to inna historia. Ważne, że przymierzający się wówczas do wejścia do wielkiej polityki miliarder zmienił diametralnie kierunek ideowego zaangażowania wydawanego przez siebie pisma. Rzeczywiście wierzył, że radykalny katolicyzm przyniesie mu pieniądze ze sprzedaży? Trudno w to uwierzyć.

Znacznie łatwiej w to, że na początku (mówimy o czasach tuż przed i tuż po wyborach 2005 r.), kiedy obie partie solidarnościowe (PO i PiS) wydawały się skazane na wspólny, trwały rząd, którego ideową formułą musiałby być jakiś rodzaj konserwatyzmu, posiadanie tego rodzaju periodyku mogłoby się przekładać na wzrost politycznej pozycji jego właściciela. A gdy POPiS ostatecznie przeniósł się do krainy niezrealizowanych, alternatywnych rzeczywistości, a elity III RP z rozmachem związały się z pierwszym członem tego skrótu, taka kalkulacja stała się nieaktualna.

Więc Janusz Palikot wyciągnął z tego wnioski. W szybkim tempie poczuł i zrozumiał, że wrogiem polskiej nowoczesności jest przede wszystkim Kościół. Bo przedtem śladów tego rodzaju refleksji u niego doprawdy trudno odnaleźć.

**2** Wymodelował więc własny nowy image konsekwentnie. A szukając w swoim nowym obozie, który, jak miał nadzieję, ukoronuje jego drogę życiową zasłużonym diademem, jakiejś służącej temu niszy, zwrócił uwagę na – mniejszościowe, ale istniejące – pokłady polskiej jaskiniowej antyreligijności, maskującej się pod pozorem antyklerykalizmu.

Było to dla niego ważne odkrycie; musiał przecież czymś się odróżnić od ówczesnego platformerskiego mainstreamu i jakoś zmyć szkodliwą, katolsko-ozonową łatkę. Czemu nie miałby osiągnąć obu tych celów jak najszybciej i w sposób zapierający

Fot. Julita Szewczyk



eprasa.pl 9e6501059c

dech radykalizmem? Przecież, jak zauważył kilka lat później Leszek Miller, „gdyby badania socjologiczne wykazały na przykład, że drogą do kariery politycznej może być agitowanie Polaków do buddyzmu, następnego dnia Palikot wjechałby do Sejmu na słoniu".

Więc pojechał ostro, jak to miał w zwyczaju. W szybkim czasie stał się niezbędnym narzędziem Platformy. Bo w odróżnieniu od Tuska i jego otoczenia mógł mówić cokolwiek, przyciągać do siebie tych wyborców, których ówczesna spokojniejsza narracja centrum PO mniej kręciła. „Tylko Platforma, tylko Palikot!" – krzyczała na upowszechnionym w internecie w 2010 r. filmiku jakaś ewidentnie mająca silne problemy dama, która dziś (o ile te problemy w międzyczasie nie nasiliły do stopnia uniemożliwiającego ich nosicielce społeczne funkcjonowanie) zapewne tańczy pod Sejmem z zespołem KOD albo też oddaje się pokrewnym ekstrawagancjom.

Więc jechał dalej. A każda kolejna eskalacja skutkowała nie tylko klepaniem go za kulisami po ramieniu przez Tuska za sprawne drażnienie pisowskich małp waleniem kijem w pręty klatki. Także – wzrostem popularności wśród najradykalniejszych antypisowskich wyborców. Postacie pokroju opisanej wyżej pani czy Dominika Tarasa (w 2010 r. twarzy palikociarskiej młodzieży zwalczającej krzyż na Krakowskim Przedmieściu, potem – jeszcze za rządów PO – zamkniętego do więzienia z absolutnie niepolitycznego paragrafu), ale też intelektualistki w rodzaju Agaty Bielik-Robson reagowały ekstatycznie, gdy np. wzywał do zakupienia Lechowi Kaczyńskiemu gumowej, seksualnej lalki. Czy kiedy po katastrofie smoleńskiej ogłaszał, iż Przemysław Gosiewski był widziany na peronie stacji we Włoszczowej. Kiedy dotarło to do dzieci nieżyjącego ministra, ciężko to podobno przeżyły i nie były w stanie uwierzyć, że to taki sobie intelektualny żarcik, ale gdzie drwa rąbią, tam przecież wióry lecą. Polaków trzeba koniecznie nauczyć myśleć poprawnie i bez alienacji, a zresztą jakieś takie motywowane judeochrześcijańsko-sarmackim kultem śmierci skamlenia z poziomu gruntu nie mogą wstrzymywać lotu filozofa ku wielkości.

**3** Wierzył w ten lot coraz bardziej. Już nawet Platfoma stała się za mała. Opuścił ją i konsekwentnie dociskał pedał gazu.

Już przedtem głosił, że budżet wojska trzeba radykalnie zmniejszyć (na korzyść kultury, bo to nie dzięki wymachiwaniu szabelką, tylko kulturze przetrwaliśmy rozbiory). A gdy po wyborach 2011 r. rosyjska agencja prasowa zorganizowała telemost z Warszawą, wszyscy zaproszeni przywódcy polskich partii wysłali do studia swoich specjalistów od polityki zagranicznej. Palikot był jedynym liderem, który pofatygował się osobiście.

> Cyników nie obchodzi nic poza karierą, i będą wzmacniać powszechną nienawiść, dopóki służy tej karierze. A ideowcom może kiedyś zrobić się żal Polski

Kiedy nastąpił Krym i Donbas, skrytykował Platformę i personalnie ministra obrony Tomasza Siemoniaka za to, że „ośmieszył się i nasz kraj", prowokując Rosję przez próbę zakupu amerykańskich pocisków Tomahawk. Bo to „zaczepny krok, który niczemu nie służy". Tym bardziej że jego zdaniem zbrojenie Polski oznacza tylko większe straty wojenne w przypadku konfliktu, a „przelewanie krwi to tchórzostwo, prawdziwa odwaga to nie dać się zabić".

Za symboliczny można uznać fakt, iż za zmierzającą do wtrącenia Polski w krwawą wojnę z Putinem harpię Palikot uznał wtedy, niedawno jeszcze mu życzliwą, Monikę Olejnik, którą pytał w tym kontekście, czy „chce, by kolejne miliony Polaków wysłać na śmierć?".

**4** Doprawdy, trudno zarzucić mu niekonsekwencję. Która zresztą rzadko cechuje filozofów.

Tylko że konsekwencja nie zawsze prowadzi na wyżyny. Stracił wszystko. Przestrzelił się. Parę lat przedtem, u szczytu powodzenia, zapytany, czy możliwe jest, by przegrał, odpowiedział celnie, iż oznaczałoby to, że popełnił ogromny błąd w swojej ocenie polskiego społeczeństwa. Podobno w życiu każdego, nawet filozofa, zdarzają się momenty, kiedy nieświadomie wypowie coś w obecności złośliwego dżina, który realizuje mechanicznie to, co usłyszał.

**5** Tocząca Polskę zimna wojna domowa jest dziełem fanatyków. A zarazem, jak widać, kluczową rolę w jej wywołaniu i wyeskalowaniu odegrał człowiek traktujący to wszystko instrumentalnie. Który mógłby, gdyby tak wyszło mu z badań i z wypieszczonego planu kariery, mówić i robić cokolwiek. Paradoks.

A może nie?

Bo przyznam, że jeśli widziałbym jakieś szanse stopniowego złagodzenia tej wojny czy bodaj uchronienia się w jej trakcie przed najgorszym, to widziałbym ją – wbrew powszechnemu przesądowi – wcale nie w cynikach. Raczej w ludziach ideowych. Choćby wierzących w sprawy przeciwstawne i na co dzień z sobą dramatycznie poróżnionych.

A to dlatego, że istnieją dla nich jednak pewne wartości wyższe. Wartości, które najczęściej każą im walczyć z sobą, ale w określonych okolicznościach mogą kazać im się w jakimś zakresie dogadać. Bo jednak dobro ludzi. Bo jednak Polska i samo jej istnienie. Tak, skonfrontowani z taką perspektywą X, Y i Z mogą spojrzeć na siebie i przynajmniej się cofnąć.

W odróżnieniu od cyników. Ci będą eksploatować polityczną nienawiść, póki będzie im się to opłacało. I póki to się nie zmieni, nic ich nie skłoni do odpuszczenia pedału gazu. Choć przykład Palikota dowodzi, że taka polityka wcale nie prowadzi do zdobycia Korony Uniwersum.

Przynajmniej nie zawsze.



eprasa.pl 9e6501059c

KRZYSZTOF FEUSETTE

Sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej, poseł Stanisław Gawłowski

Fot. Piotr Kamionka/REPORTER

*Szczęśliwi czasu nie mierzą – głosi stare porzekadło. W przypadku niektórych polityków może ono jednak brzmieć jak przestroga. Bo wiele wizerunkowych nieszczęść miało swój początek w miłości partyjnych działaczy do luksusowych zegarków*

# Chłopcy w złotych bransoletkach

Kilka dni przed świętami poznaliśmy kolejną odsłonę żenującego widowiska, które roboczo można by zatytułować „Z rączki do rączki i na rączkę". Oto Prokuratura Krajowa poinformowała, że z zebranego przez nią materiału dowodowego wynika, iż sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej, poseł Stanisław Gawłowski (w „gabinecie cieni PO" – przyszły przewodniczący Stałego Komitetu Rady Ministrów...), przyjmował korzyści majątkowe: w gotówce i „w prezentach". Chodziło o dwa zegarki marki Tag Heuer o łącznej wartości prawie 26 tys. zł.

Śledztwo, w którym wypłynęły te rewelacje, jest prowadzone od czerwca 2013 r. i dotyczy tzw. afery melioracyjnej, czyli nieprawidłowości przy realizacji co najmniej 105 inwestycji o wartości kilkuset milionów złotych, prowadzonych przez Zachodniopomorski Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie. Zarzuty usłyszało już 56 osób.

## E-MAIL, KTÓREGO NIE BYŁO

Niemałej pikanterii sprawie Gawłowskiego dodaje to, że jako ówczesny sekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska miał otrzymać zegarki w czerwcu 2011 r. od innego urzędnika. Konkretnie zastępcy dyrektora ds. administracji, informatyki, marketingu



eprasa.pl 9e6501059c

i współpracy z zagranicą w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej, niejakiego Łukasza L. „W zamian deklarował utrzymanie przez Łukasza L. stanowiska zastępcy dyrektora w instytucie, nad którym sprawował nadzór" – poinformowała prokuratura. Śledczy twierdzą, że poseł wysłał „darczyńcy" zdjęcia interesujących go czasomierzy e-mailem. „Prywatny adres mailowy Łukasza L. został mu wcześniej przekazany przez Mieczysława O., który od 1 czerwca 2006 r. do 31 maja 2015 r. pełnił funkcję Dyrektora Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej i był przełożonym Łukasza L.". Media szybko dodały, że „przełożenie" to miało swoje przełożenie także na inne formy aktywności uczuciowej obu panów.

Same zegarki miały zostać dostarczone Gawłowskiemu do Ministerstwa Środowiska przez jednego z kierowców IMiGW, w torbie podpisanej „do rąk własnych". W ocenie prokuratury poseł miał też obiecać, że wesprze wspomnianego Mieczysława O. w ponownym wyborze na jego stanowisko, co nastąpiło w kwietniu 2011 r. Popierał go także w wyborach na stanowisko wiceprezydenta Światowej Organizacji Meteorologicznej w Genewie, które Mieczysław O. objął miesiąc później.

O. siedzi dziś w areszcie. Jest podejrzany o nakłanianie swojego podwładnego do wręczenia korzyści majątkowej posłowi PO, oraz w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w kierowanym przez niego instytucie – o korupcję, oszustwa, podrobienia dokumentów i przekroczenia uprawnień służbowych w celu osiągnięcia korzyści majątkowych. Gawłowski z kolei ma też usłyszeć zarzuty ujawnienia tajemnicy, z pisma od ABW do ministra środowiska – innemu podejrzanemu, a także plagiatu w pracy doktorskiej, o którym Marek Pyza pisał w naszym tygodniku już w 2013 r.

Jak łatwo się domyślić, Gawłowski jeszcze przed przeszukaniem przez CBA jego mieszkania w Warszawie i domu w Koszalinie przekonywał, że wszystko zostało ukartowane. „To demontaż państwa demokratycznego. Wszystkich nie wsadzą" – grzmiał sekretarz generalny PO. Po kilku dniach, gdy murem stanęli za nim partyjni koledzy, zaczął tłumaczyć: „Nigdy nie przyjąłem żadnej łapówki, w żadnej postaci, nie byłem też w sytuacji, gdy mi ktoś coś takiego proponował. Zegarek, o którym tyle mówi się w mediach, że prokuratura zarzuca mi, że dostałem go w 2011 w formie łapówki – ten zegarek marki Tag Heuer Carrera 16 kupiłem dużo wcześniej sam z żoną [...]. On ma może 12 lat, może 15 lat, nie pamiętam. To ciągle ten sam zegarek. Noszę go od 2006, może od 2007 r. [...]. Jedyna rzecz, jaką zmieniałem, to pasek od tego zegarka".

Skąd zatem wzięły się e-maile do Łukasza L.? „Do tego człowieka, o którym się mówi, że miał mi dać zegarek czy zegarki, nigdy nie wysyłałem żadnych maili" – mówi Gawłowski. Dodaje, że „jest przygotowany na najgorsze", bo „PiS zastosuje wszelkie metody, by zastraszyć, stłamsić, zniszczyć opozycję". „Uderzając we mnie, uderzyli w drugą osobę w partii, która jest największą siłą opozycji – w sekretarza generalnego, tu nie ma przypadku" – piekli się polityk, zapominając najwyraźniej, że CBA chwilę wcześniej ogłosiło swoje podejrzenia korupcyjne wobec senatora PiS Stanisława Koguta. Idąc linią obrony „drugiej osoby w PO" (która w sondażach zaufania nie istnieje...), trzeba by to nazwać „zastraszaniem, tłamszeniem i niszczeniem" partii rządzącej.

## PREZENT PO DWÓCH LATACH

„Zegarkowa" historia Stanisława Gawłowskiego musi przywodzić na myśl dzieje upadku innego ważnego polityka Platformy Obywatelskiej, Sławomira Nowaka, który do drogich „czasoumilaczy" miał chyba słabość jeszcze większą niż kolega sekretarz. Na jednej z taśm nagranych w restauracji Sowa & Przyjaciele ten ostatni rozmawia zresztą o Nowaku z lobbystą Piotrem Wawrzynowiczem:

Gawłowski: Strasznie mu współczuję. Uważam, że taki wp... dostaje za ch... wie co.

Wawrzynowicz: Druga sprawa, głupota, że nie wpisał tego zegarka [...]. Dostaje wp... za nic, bardzo z tego powodu cierpi. Najgorsze jest to, że był dobrym ministrem. Nie był piz...! Był dobrym ministrem. Uczciwym, lojalnym, normalnym, k... To są słowa kluczowe.

A gdy rozmowa schodzi na „podejrzane prezenty" dla polityków w USA i w Polsce, sekretarz PO wyjaśnia koledze: „Bo tam zegarków nikt nie sprawdza. Jak kupił zegarek, to dobrze, bo gospodarkę wzmocnił".

Nowakowi na początku 2014 r. prokuratura postawiła pięć zarzutów związanych z tym, że jako poseł i minister w latach 2011–2013 świadomie nie wpisywał wartego ponad 10 tys. zł zegarka do oświadczeń majątkowych. Polityk nie przyznawał się do zarzutów, racząc opinię publiczną kolejnymi, coraz bardziej rozbudowanymi „opowieściami z mchu i paproci". Ostatecznie, po kilku zakrętach, narracja została względnie wyprostowana.

Z naciskiem na „względnie". Po prostu minister Nowak w 2009 r. obchodził 35. urodziny, więc żona, lekarz stomatolog, namówiła jego rodziców, by sprezentować mu markowy zegarek. Rodzina odkładała przez dwa lata, rodzice dawali synowej po kilkaset złotych, w sumie 4 tys. Gdy uzbierało się 20,5 tys. zł, żona wręczyła Nowakowi plik banknotów. Był początek 2011 r., gdy jej mąż, ówczesny sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, przekazał gotówkę wspomnianemu już w tym tekście Piotrowi Wawrzynowiczowi, z którym przyjaźnił się od 15 lat. Zakupu dokonał Wawrzynowicz, gdyż Nowak obawiał się, że... może być sfotografowany z tak dużą gotówką przez paparazzich. Prezentu od rodziny, podarowanego z okazji 35. urodzin już dwa lata po nich, do oświadczenia majątkowego nie wpisał, bo „sądził, że rzeczy osobiste takiemu obowiązkowi nie podlegają".

Aha, oświadczenia wypełniała asystentka, on tylko podpisywał.

Co ciekawe, w 2012 r. kosztownym zegarkiem na ręce ministra Nowaka zainteresował się „Super Express". Przed sądem były gwiazdor PO przyznał, że kontaktował się wtedy z redaktorem naczelnym Sławomirem Jastrzębowskim, a ten ujawnił, iż po telefonie od Nowaka wstrzymał publikację.

Wkrótce potem historię czasomierza opisał tygodnik „Wprost". Polityk wytoczył proces redakcji, ale natychmiast dokonał także korekty oświadczenia, dopisując do niego wspomniany zega-

18/1217/F



eprasa.pl 9e6501059c

rek, choć bez podania wartości. Kiedy w sądzie padło pytanie o datę zakupu zawartą na paragonie, Nowak odpowiadał: „Wydaje się, że 8 marca 2011 r.". „To data, gdy pan otrzymał zegarek?" – dopytywał śledczy. „Otrzymałem go zapewne wcześniej, bo są dostępne zdjęcia przed tą datą, że mam już zegarek na ręku" – przyznał Nowak. Sędzia: „Faktycznie, paragon jest z daty późniejszej". „Nie potrafię dziś na to odpowiedzieć" – odparł były minister transportu.

## DWORY I MADERY

O Nowaku mawiano w PO, że miał osobne perfumy na każdą porę dnia, a jego wyjazdowa kosmetyczka była większa od walizek kolegów. Od afery nie ma go w polskiej polityce, a dawni koledzy (ci sami, którzy dziś stają murem za Gawłowskim) nadal nie mogą wyjść z szoku, że jego umiłowanie blichtru i luksusu zawiodło go aż na dno politycznego niebytu. W listopadzie 2014 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia skazał go za zatajenie zegarka w oświadczeniach na 20 tys. zł grzywny, ale sąd drugiej instancji zmienił wyrok. Uznał winę oskarżonego, jednocześnie umarzając postępowanie karne warunkowo na rok, gdyż ocenił całą sprawę jako „przypadek mniejszej wagi". W końcu sam Nowak, jak ustalili dziennikarze, miał takich zegarków znacznie więcej. Gdy pytali o nie dziennikarze „Wprost", odpowiadał, że... wymieniał się z kolegą Wawrzynowiczem, więc te najdroższe, które ma na zdjęciach, nie są jego. Dymisję z rąk prezydenta Komorowskiego, jak zauważyły tabloidy, odbierał w jednym z najdroższych, wartym ok. 35 tys. zł.

Historia ta stała się przestrogą dla parlamentarzystów, by sumienniej podchodzić do oświadczeń majątkowych. W dokumentach Michała Kamińskiego z Unii Europejskich Demokratów (wcześniej w PO) znajdziemy aż cztery cacka warte ponad 10 tys. zł, w tym jeden za ok. 37 tys. Drogimi czasomierzami chwalą się posłowie wszystkich partii, od lewej do prawej strony.

Dla niektórych to zresztą dopiero punkt wyjścia do pławienia się w luksusach – drogich restauracjach, wypasionych limuzynach i na ekskluzywnych wczasach. Znamy aż za dobrze upadki polityków z ambicjami dotyczącymi najwyższych urzędów państwowych, którzy w przypływie samouwielbienia przemianowywali swoje rezydencje w oficjalne „Dwory Chobielin" albo czmychali z samego środka „walki o demokrację" do ciepłych krajów z partyjnymi koleżankami.

Morał jest oczywisty – jeśli chodzi o luksusy, szczególnie w polityce, mniej znaczy więcej. Co zresztą dobrze widać na przykładzie polityka uznawanego dziś przez wszystkie partie za najbardziej wpływowego w Polsce. Kiedy jedni zbierają złote zegarki, inni gromadzą głosy wyborców.

REKLAMA

# Jaka strategia

*Czy Polska może wyjść ze sporu z Unią Europejską obronną ręką? Pewnie nie. Pytanie zatem, jakie koszty gotowi jesteśmy ponieść, aby zachować niezależność? Gdzie jest granica, nasze non possumus?*

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Uruchomienie przez Komisję Europejską procedury wprowadzenia sankcji przeciwko Polsce nie jest wyłącznie jednorazową akcją, której jedynym celem jest wymuszenie cofnięcia reform wprowadzonych w ostatnich dwóch latach przez polski rząd. Wydaje się, że cel podjętych działań jest znacznie szerszy. Procedura uruchomienia artykułu 7 traktatu unijnego wygląda na jeden z kluczowych elementów transformacji całej Unii Europejskiej, w której stery przejmują najważniejsze państwa unijnego rdzenia, a więc przede wszystkim Niemcy i Francja.

Po tym, jak doszło do Brexitu, nowa Unia będzie się integrować wokół i pod dyktando tych dwóch krajów. Aby proces integracji przebiegał sprawnie, konieczne jest jednak ustalenie geograficznych granic tej integracji, czyli stworzenie bloku państw, które przyłączą się do realizowanej przez Berlin i Paryż strategii. Polska, rządzona przez prawicowy rząd i odrzucająca liberalną wizję współczesnej Europy, jest na tym tle obcym ciałem. Jednocześnie jednak ze względu na swoją wielkość, potencjał oraz gospodarcze więzi łączące ją z unijnymi rynkami stanowi zbyt ważny element na mapie Europy, aby można było go zignorować. W interesie starej Unii, a zwłaszcza Niemiec, jest zatem skłonienie Polski do głębszej integracji.

Jasne jest jednak, że obecny rząd nie będzie skłonny się podporządkować decyzjom podjętym w Brukseli. Z tego powodu pozbycie się PiS nabiera znacznie szerszego kontekstu, aniżeli tylko ten związany z wewnętrzną walką polityczną w Polsce. Nie idzie bowiem wyłącznie o to, czy w Polsce będzie „przywrócona praworządność", czy do władzy wróci PO, ale o coś więcej – o stworzenie trwałej relacji między Polską a Unią, w której ramach Polska stanowić będzie wschodnie peryferia europejskiego centrum decyzyjnego.

Obecny spór z Polską jest tu szczególnie ważny, bo ewentualne złamanie naszego oporu będzie wyraźnym sygnałem dla całego regionu, że nie warto kontestować zmian zachodzących dziś w Unii.

## DZIKIE POLA

W relacjach z zachodnią Europą nasz region, poza rzadkimi wyjątkami, nigdy nie był traktowany jako pełnoprawny partner, co ma swoje wielowiekowe uwarunkowania historyczne. Można to dostrzec zarówno w licznych zachodnich pracach naukowych, w których Europa definiowana jest według rzymskich kryteriów, a zatem kończy się w okolicach Odry, jak i w historii – choćby tej najnowszej, gdy podczas obu światowych wojen (a szczególnie dramatycznie podczas II wojny) – Europa Środkowo-Wschodnia była obszarem największych zbrodni, eksploatacji i bezprawia. Tutaj zaczynały się Dzikie Pola, Lebensraum, ziemie niczyje, które należało skolonizować i ucywilizować, albo – jeśli było to niemożliwe – odseparować się od nich.



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. East News/Reuters Pool

# na Unię?

Nic zatem dziwnego, że wewnątrz starej Unii nigdy nie było pełnej zgody na poszerzenie wspólnoty na wschód. Od samego początku sprzeciwiała się temu (choć niekoniecznie oficjalnie) Francja, dla której przyjęcie państw Europy Środkowo-Wschodniej było problematyczne z przyczyn zarówno gospodarczych (np. z powodu spodziewanej konkurencji w rolnictwie), jak i geopolitycznych. Nowi członkowie na wschód od Odry wzmacniali bowiem pozycję Niemiec, które stały się w ten sposób „patronem" i głównym beneficjentem – zwłaszcza gospodarczym – poszerzenia Unii. Nic dziwnego, że prezydent Francji Jacques Chirac nie potrafił ukryć irytacji, gdy państwa naszego regionu próbowały zabierać głos w europejskiej debacie (słynne: „Stracili okazję, by siedzieć cicho"). Obawy zachodniej Europy, a zwłaszcza tych, których przerażała wizja najazdu wschodnioeuropejskiej tłuszczy, zostały tylko częściowo uspokojone dzięki nowemu traktatowi unijnemu podpisanemu w Lizbonie oraz i rozmaitym okresom ochronnym, zwłaszcza tym dotyczącym rynku pracy.

Dziś, w obliczu „wierzgania" krajów naszego regionu, coraz częściej pojawia się argument, że eksperyment z poszerzeniem Unii na wschód nie wypalił, więc trzeba się z niego wycofać.

## TO TYLKO INTERES

Poszerzenie Unii Europejskiej w 2004 r. – jakkolwiek bardzo dla nas korzystne zwłaszcza z geopolitycznego punktu widzenia – miało swój koszt. Gospodarczy, jakim było oddanie rynku silnemu europejskiemu kapitałowi, kulturowy, który sprowadzał się do próby „ucywilizowania" naszych społeczeństw w duchu obowiązującego na Zachodzie rytu liberalno-lewicowego oraz polityczny – mający zagwarantować niezakłócony przebieg obu procesów. Powszechna w Polsce interpretacja poszerzenia Unii jako jakiejś formy historycznej sprawiedliwości była z punktu widzenia większości zachodnich elit naiwną mrzonką. To miał być i jest interes obopólny: Europa Zachodnia włącza nas w swoją strefę wpływów ze wszystkimi tego plusami i minusami, a my oddajemy swój rynek i poddajemy się procesowi edukacji, przejmując zachodnie wzorce kulturowe.

Groźba sankcji przeciwko Polsce nie jest więc związana wyłącznie z podjętymi reformami sądownictwa czy z odmową relokacji imigrantów, lecz z tym, że nasze „wybijanie się na niepodległość" wewnątrz Unii, które rozpoczęło się w chwili wygranej PiS w 2015 r., jest głęboko niezgodne z interesami i strategią „europejskiego rdzenia". Próbując kontestować przyjęty model integracji, Polska narusza – w mniemaniu Brukseli – zawarty wcześniej układ. Antypisowska opozycja odgrywa tu rolę użytecznego instrumentu w walce z obecnym polskim rządem. Z pewnością nie jest dla unijnego establishmentu równoprawnym sojusznikiem, jak próbuje się przedstawiać, lecz gwarantem utrzymania wyznaczonej przez Brukselę linii.

Nie oznacza to oczywiście, że opozycja nie odgrywa żadnej istotnej roli w konflikcie między polskim rządem a unijnymi politykami. Z pewnością Polsce bardzo zaszkodziło trwające już dwa lata antyszambrowanie antypisu w brukselskich korytarzach i donoszenie na prawicowy rząd. Dało to Unii do ręki wygodny argument, dzięki któremu interwencja Brukseli może być



eprasa.pl 9e6501059c

prezentowana jako pomoc udzielona na prośbę samych Polaków. Mówił o tym w wywiadzie opublikowanym na łamach poprzedniego numeru naszego tygodnika Jacek Saryusz-Wolski.

## WYPYCHANIE Z UNII

Owo „wybijanie się Polski na niepodległość" zbiegło się w czasie z próbami pogłębienia integracji Unii, co zaostrzyło różnicę między polskimi aspiracjami a strategią realizowaną przez wspólnotę. O tym, że unijne elity myślą bardzo poważnie o zacieśnieniu integracji, świadczyć mogła pogłębiająca się różnica zdań między Londynem a Brukselą, która doprowadziła do faktycznego wypchnięcia Wielkiej Brytanii ze wspólnoty. Ówczesny premier Wielkiej Brytanii David Cameron do samego końca był przekonany, że w zorganizowanym referendum niewielką większością głosów wygrają zwolennicy pozostania w Unii, a wyniki plebiscytu staną się mocną kartą przetargową w jego rozgrywce z UE. Stało się, jak wiemy, inaczej i wiele wskazuje na to, że z punktu widzenia Francji i Niemiec wyjście Brytyjczyków z Unii jest traktowane nie jako wielki problem, lecz raczej jako usunięcie przeszkody na drodze do dalszej integracji.

Wydaje się zatem, że dziś kolejną przeszkodą, którą należy usunąć, jest Polska i wspierające ją kraje Grupy Wyszehradzkiej. Mówił o tym w ultymatywnym tonie lider niemieckiej SPD Martin Schulz, który w grudniu wezwał do zawarcia nowego traktatu unijnego tworzącego w 2025 r. Stany Zjednoczone Europy. Jak dodawał Schulz, każde państwo, które odrzuci tak głęboką integrację, powinno być usunięte z Unii Europejskiej. Podobne tony ostatnio pojawiły się także w wypowiedziach Daniela Cohn-Bendita, a także w zachodnich, zwłaszcza niemieckich, mediach.

O możliwym scenariuszu na najbliższe lata napisał wprost Berndt Riegert na portalu Deutsche Welle: „Jeszcze przed rokiem 2021 Unia mogłaby wykluczyć Polskę z wewnętrznego rynku, ponieważ także udział w nim uzależniony jest od przestrzegania zasad państwa prawa. To byłoby bolesne dla polskiej gospodarki i znacznie ograniczyło swobody, jakimi cieszą się polscy pracownicy. Pozostaje nadzieja, że elektorat w Polsce za dwa lata będzie wiedział, jak odsunąć od władzy narodowych konserwatystów. W innym przypadku istnieje niebezpieczeństwo, że Polska zostanie wypchnięta z Unii".

W stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości zostajemy więc postawieni przed alternatywą: albo rząd PiS zostanie obalony, albo Polska zostanie wyrzucona z Unii. Innej opcji nie ma. Przypominają się w tym kontekście słowa prof. Ryszarda Legutki, który wielokrotnie zwracał uwagę na to, że Unia nie chce z nami negocjować, ona domaga się naszej bezwarunkowej kapitulacji.

> Groźba sankcji przeciwko Polsce nie jest związana wyłącznie z podjętymi reformami sądownictwa czy z odmową relokacji imigrantów, lecz z tym, że nasze „wybijanie się na niepodległość" jest głęboko niezgodne z interesami i strategią Brukseli

Wachlarz retorsji, które mogą nas spotkać jest – jak widać – również szeroki. Sankcje to jedno, ale pojawia się tu również – oprócz zamrożenia subwencji budżetowych – wykluczenie ze wspólnego rynku, które „byłoby bolesne dla polskiej gospodarki" i uderzyło w swobody polskich pracowników.

## POLE DO KOMPROMISU

Groźba wykluczenia Polski ze wspólnego rynku, a nawet z Unii Europejskiej, może być blefem, który ma zmobilizować przeciwników PiS do obalenia rządu. Ale biorąc pod uwagę determinację Brukseli w budowaniu nowych reguł w Europie, należy tę groźbę traktować bardzo poważnie. Wypchnięcie Polski poza Unię oznaczałoby dla nas nie tylko problemy gospodarcze (z tymi może dałoby się jakoś uporać), lecz przede wszystkim zagrożenie bezpieczeństwa. Wpadlibyśmy bowiem w geopolityczną próżnię, która zasysałaby nas coraz bardziej w stronę Rosji. Liczenie w tym kontekście na Amerykę i NATO byłoby krótkowzroczne, ani Polska bowiem nie jest kluczowym sojusznikiem dla Ameryki, ani sprzyjający nam dziś Donald Trump nie będzie rządzić wiecznie (w każdej chwili można przecież wyobrazić sobie kolejny „reset" z Rosją). A mówimy przecież o perspektywie wieloletniej.

Cóż jednak można zrobić, jeśli Unia – jak się zdaje – nie chce negocjować? Świadczyć może o tym choćby to, że unijni komisarze i politycy całkowicie zignorowali wymianę szefa rządu w Polsce na bardziej – jak się wydawało – „strawnego" dla Unii Mateusza Morawieckiego i podjęli decyzję o uruchomieniu procedury z artykułu 7. Czy można się cofnąć i skapitulować? Wielu obserwatorów twierdzi, że należy się trzymać w bloku podobnie myślących państw i wspólnie z nimi stawiać opór. Pytanie jednak, czy innym państwom, mniejszym i mającym mniej do stracenia niż Polska, starczy determinacji, zwłaszcza że z pewnością będą mniej lub bardziej brutalnie nakłaniane do zmiany polityki. Inni twierdzą, że trzeba po prostu przetrzymać i przeczekać unijną presję. Jednak czy można przeczekać strukturalną niekompatybilność dzisiejszej Polski z dzisiejszą Unią?

Pewne jest, że dla Unii najbardziej optymalnym rozwiązaniem byłoby utrzymanie Polski we wspólnocie, tyle że spacyfikowanej i niesprawiającej już żadnych kłopotów. W tym sensie idealny byłby powrót do władzy sprawdzonej ekipy z PO. Ostry atak Unii i groźba wprowadzenia sankcji świadczą jednak o tym, że Bruksela jest świadoma słabości antypisowskiej opozycji. Być może więc istnieje jakieś pole do kompromisu z obecnym rządem? Pytanie jednak, czy potrafimy sobie dobrze zdefiniować, gdzie jest nasze non possumus?



eprasa.pl 9e6501059c

# Historia przekrętu Waltzów

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

*Do czego była potrzebna wujowi Andrzeja Waltza kamienica przy Noakowskiego 16? Jak sprytnie upleciono intrygę, by przejąć kilka atrakcyjnych nieruchomości w centrum Warszawy? Te nowe wątki są w aktach, które odnalazły się pod koniec 2017 r. Im więcej się dowiadujemy o historii tego budynku, tym bardziej się dziwimy, jak rodzina prezydent Warszawy może się upierać, że o niczym nie wiedziała, i wciąż się cieszyć z bezprawnie otrzymanej fortuny*

Fot. M. Czutko

Serial wokół Noakowskiego 16 wydaje się zbliżać do końca. Komisja weryfikacyjna w grudniu 2017 r. zdecydowała, że beneficjenci reprywatyzacji tej kamienicy mają zwrócić miastu pieniądze, które otrzymali z jej sprzedaży. Oznacza to, że rodzina Hanny Gronkiewicz-Waltz (mąż, córka, szwagier i szwagierka) muszą oddać ponad 5 mln zł.

Od wielu lat nie było wątpliwości, że reprywatyzacja tego budynku, mówiąc klasykiem, to lipa. Potrzebne były jednak dokumenty, a te... rozpłynęły się w archiwach. Dokładniej rzecz ujmując – zostały celowo wyczyszczone w Ministerstwie Sprawiedliwości (zaginął m.in. kluczowy wyrok sądu skazujący Leona Kalinowskiego, szefa grupy oszustów kradnących kamienice). Poinformował o tym przewodniczący komisji weryfikacyjnej Patryk Jaki, powołując się na opinię biegłych z Archiwum Akt Nowych.

„Pierwotnie teczka zawierała więcej niż obecnie [...]. Mamy takie miejsca w tej teczce, gdzie jest informacja o załączonym dokumencie ważnym dla sprawy, a tego dokumentu nie ma [...]. Ktoś zabrał kluczowe dokumenty z tej teczki, ktoś chciał ukryć dokumenty dotyczące Noakowskiego 16. Kto to mógł zrobić, ja dzisiaj nie wiem. Możecie państwo sami zadawać sobie pytanie, kto miał motyw, żeby usunąć kluczowe dokumenty z punktu widzenia tej sprawy" – mówił Jaki na konferencji prasowej 20 grudnia 2017 r., zapowiadając doniesienie do prokuratury.

Znalazły się jednak inne dokumenty. To założona w 1946 r. teczka akt dyscyplinarnych Jana Wierzbickiego, wówczas p.o. prezesa Sądu Okręgowego w Mławie. Został on zawieszony z powodu oskarżenia (ostatecznie został skazany) m.in. za sfałszowanie aktów notarialnych, które posłużyły do kradzieży kilku kamienic, również przy Noakowskiego 16.

W tej obszernej teczce znajdujemy wiele dokumentów i zeznań świadków, na podstawie których można odtworzyć proceder nielegalnego przejęcia nieruchomości w centrum Warszawy przez wuja Andrzeja Waltza.

## SZAJKA KOMBINATORÓW

Pismo z Okręgowego Inspektoratu Ochrony Skarbowej w Łodzi wpłynęło do resortu sprawiedliwości 12 listopada 1946 r. i miało klauzulę „tajne" – być może dlatego, że w opisywanej sprawie jedną z ról odegrał czynny wówczas prezes sądu. Już wtedy było jasne, że sprawa „sprzedaży" kamienicy przy Noakowskiego 16 to ordynarny przekręt.

Jako „głównych fałszerzy" podano Leszka Wiśniewskiego i Leona Kalinowskiego. To oni mieli sfałszować pisma dające Wiśniewskiemu możliwość pełnego decydowania o majątku przedwojennych właścicieli kamienic przy Noakowskiego: Pessy z Oppenheimów Regirerowej, Artura Pawła Regirera, Szlamy Oppenheim i Hirsza Feudenberga. „Na podstawie tych sfałszowanych pełnomocnictw sprzedali oni warszawskie nieruchomości oznaczone hipotecznymi numerami 6 436, 6 034 i 5 260". Inspektorzy ochrony skarbowej nie mieli wątpliwości, iż było to oszustwo, choćby dlatego, że trojga z czworga osób udzielających pełnomocnictwa w czasie zawierania umowy (30 sierpnia i 1 września 1939 r.) nie było w Warszawie, co potwierdzili w licznych zeznaniach świadkowie.

Kolejną ważną datą jest 10 stycznia 1940 r. Wtedy miał być sporządzony „akt scedowania uprawnień Wiśniewskiego na Kalinowskiego". I kolejne oszustwo. Zawarte w teczce pismo prokuratury rejonowej z 17 marca 1947 r. jest sprawozdaniem ze stanu śledztwa w sprawie fikcyjnych aktów notarialnych. Znajdujemy w nim wersję przestępców, którzy twierdzą, że ów akt został sporządzony w Brzezinach Łódzkich. Nie w Warszawie, gdyż „notariusze odmawiali sporządzenia aktu z uwagi na obawę spowodowania represji, albowiem właściciele byli żydami". Śledczy ustalili, że akt jest fikcyjny, a wersja o konieczności wyjazdu ze stolicy miała jeszcze bardziej zagmatwać sprawę. Jak zeznał mecenas Zygmunt Hübner: „W styczniu 1940 r. nie zachodziła potrzeba wyjazdu poza Warszawę w celu sporządzenia pełnomocnictwa", bo „przed utworzeniem ghetta akty takie sporządzano w kancelariach poszczególnych notariuszy, a następnie w gmachu Sądu Grodzkiego przy ul. Ogrodowej".

Dokument „z Brzezin" poświadczył własnym podpisem mecenas Jan Norbert Wierzbicki.

Znając zawartość teczki sędziego, można zrozumieć, dlaczego przez lata te dokumenty nie mogły się odnaleźć. Zawarte w niej pisma obalają właściwie każdy element oszukańczej mistyfikacji i prowadzą jak po sznurku przez złodziejską intrygę. Od Kalinowskiego mamy tylko krok do mężczyzn, którzy za 1 mln zł kupili od niego kamienicę Noakowskiego 16 (działka hipoteczna 6 436) – to Zygmunt Szczechowicz i Roman Kępski (w dokumentach ochrony skarbowej mylnie podawany jako Kiempski), czyli przedsiębiorczy wuj Andrzeja Waltza.

Warto jeszcze wymienić zaliczaną do „szajki kombinatorów" Janinę Gąsiorowską, wieloletnią przyjaciółkę Adolfa Regirera, ojca Artura Pawła Regirera. Według inspektorów mogła ona naraić brudny biznes oszustom, gdyż „doskonale była obznajomiona ze stosunkami rodzinnymi i pieniężnymi nieżyjących Regirerów".

Nie ma pewności, czy Leszek Wiśniewski w ogóle miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego. Jego nazwisko przewija się jedynie w sfałszowanych dokumentach i w zeznaniach osób podejrzanych lub świadków wskazanych przez obronę. Jak jednak wyjaśniła Teodozja Wierzbicka, Wiśniewski zmarł w Oświęcimiu. Jest więc możliwe, że pierwsze rzekome pełnomocnictwo (z 1939 r.) zostało sfałszowane przez Kalinowskiego i Wierzbickiego w 1945 r. (notariusz Chludziński, który miał je poświadczyć, też nie przeżył wojny), tuż przed kradzieżą nieruchomości.

## PO CO KAMIENICA

Pomijając wątpliwości, skąd wuj Waltzów miał trudno wyobrażalną jak na owe czasy kwotę, warto wyjaśnić, po co była mu potrzebna ta kamienica. „Kupił" ją nie tylko z samej chęci posiadania, chodziło o inny, większy biznes. Wytłumaczenie znajdujemy w dokumentach ochrony skarbowej, zeznaniach samego Romana Kępskiego, a także pracownika jego prywatnego przedsiębiorstwa budowlanego Ryszarda Lamprychta. „[...] w połowie 1945 r. w związku z przyjęciem przez tę firmę robót dla Ministerstwa Komunikacji zaistniała potrzeba uzy-



eprasa.pl 9e6501059c

skania kaucji na nieruchomości" – zaprotokołowano. W odbudowującej się po wojnie Polsce to musiał być złoty interes. Dla niego warto było zaryzykować.

Z dokumentów prokuratury wynika, że Kępski natychmiast gigantycznie zadłużył fikcyjnie nabytą nieruchomość: „Poszkodowanym jest Skarb Państwa, wobec obciążenia nieruchomości Nr 6 436 [Noakowskiego 16 – przyp. red.] kaucjami hipotecznymi na rzecz Ministerstwa Komunikacji. Departament Dróg Kołowych w sumie 1.500.000 zł, na rzecz Banku Związku Spółek Zarobkowych Sp. Akc. w sumie zł 1.200.000, na rzecz Banku Gospodarstwa Krajowego w sumie 4.300.000 zł i na rzecz tegoż Banku Związku Sp. Zarobkowych drugą kaucję w sumie zł 6.000.000".

Szczegółowych losów kontraktu Kępskiego z Dyrekcją Okręgową Kolei Państwowych nie znamy. Wiemy jedynie, że wokół hipotek kaucyjnych było wiele niejasności, którymi aż do 1971 r. zajmowały się sądy. Mimo że ponad dwie dekady wcześniej kamienica przy Noakowskiego 16 mocą dekretu Bieruta stała się „naszym wspólnym dobrem".

Andrzej Waltz wielokrotnie podawał w wątpliwość wiarygodność ustaleń prokuratury oraz sądów z lat 40. i 50. Jego narracja sprowadza się do tego, że cały ówczesny wymiar sprawiedliwości funkcjonował patologicznie. O ile w sprawach politycznych tak było, o tyle w przypadku „zwykłych" kryminalnych już nie. Pokazuje to sprawa naszej „szajki kombinatorów".

Ustalenia śledczych pozwoliły łatwo zdemaskować wyłudzenia. Przede wszystkim dzięki głębokiemu zweryfikowaniu zeznań świadków. Widać, że najdrobniejszy wątek tego postępowania był pieczołowicie badany, a wersje podejrzanych konfrontowane z każdym, kto mógł mieć w sprawie cokolwiek do powiedzenia.

Przestępcy byli przekonani, że nie żyją właściciele i ich spadkobiercy. W celu zatarcia śladów wymyślono dwa pełnomocnictwa, a w pierwsze z nich wmanewrowano nieżyjącego notariusza (Chludziński) i nieżyjącego przedsiębiorcę (Wiśniewski). Jednym z mózgów operacji okazał się były notariusz, a po wojnie prezes sądu – człowiek biegły w dokumentach i procedurach sądowych. Przestępstwo było bardzo dokładnie zaplanowane. Niemal perfekcyjnie.

## WALTZ MÓWI KĘPSKIM

Andrzej Waltz przed komisją weryfikacyjną starał się sprawiać wrażenie osoby wiedzącej o sprawie najmniej. Choć to on i jego bliscy zarobili na niej najwięcej. Przekonywał, że o Noakowskiego 16 w ogóle nie rozmawiał z żoną. Powiedział też, iż „jako osoba biorąca udział w postępowaniu nie otrzymał żadnych dokumentów z żadnych instytucji, że była jakaś nieprawidłowość".

Przypomniał nam się ten cytat, gdy przeglądaliśmy zeznania jego wuja. Roman Kępski 9 kwietnia 1947 r. zeznał przed prokuratorem: „Do dzisiejszego dnia nie dostarczono mi dowodów, które mogłyby mnie przekonać, że Kalinowski nie miał prawa sprzedać mi domu, mam więc wszelkie dane, aby uważać się za właściciela tego domu [...]".

Jakbyśmy słyszeli argumentację Andrzeja Waltza, ale też jego żony, która od 2013 r. – mimo wielu już wówczas publikacji prasowych (zwłaszcza tygodnika „Sieci") – wbrew wszelkim faktom zarzekała się, że jej bliscy są „prawowitymi spadkobiercami" Noakowskiego 16.

Nie to w zeznaniach Kępskiego jest jednak najciekawsze. Powyższy cytat kończy się tak: „Jednakże nie uważam za wykluczone, że popełniono fałszerstwo i mogłem bezwiednie paść jego ofiarą. Gdyby tak było, to oczywiście byłaby to moja strata". Wzruszające stanowisko, tyle że niemające nic wspólnego z rzeczywistą postawą pana Romana. W innym miejscu jego zeznań czytamy: „Jeśli chodzi o sprawę kupna domu przy ul. Noakowskiego 16, to w chwili kupna byłem najzupełniej pewny tego, że strona prawna nie budzi żadnych zastrzeżeń. Dopiero po kilku miesiącach do hipoteki wpłynął wniosek spadkobierczyni poprzednich właścicieli tej nieruchomości, zawierający zastrzeżenie w związku z wszczęciem dochodzenia prokuratorskiego przeciwko Kalinowskiemu jako podejrzanemu o sfałszowanie dokumentów".

> Znając zawartość tej teczki, można zrozumieć, dlaczego przez lata te dokumenty nie mogły się odnaleźć. Prowadzą bowiem jak po sznurku przez złodziejską intrygę

Kępski doskonale wiedział więc w 1947 r., że żyją spadkobiercy nieruchomości. Gdy składał te zeznania, wiedział już, że prokuratura prowadzi postępowanie przeciwko Kalinowskiemu z doniesienia Marii Oppenheim. Musiał więc też wiedzieć, jak zakończyła się sprawa sądowa Kalinowskiego – w październiku 1948 r. został on skazany na pięć lat więzienia, półtora roku później sąd apelacyjny podtrzymał ten wyrok, wymierzając dodatkowe trzy lata za składanie fałszywych zeznań.

Mimo to w latach 90. Kępski postanowił wystąpić o „zwrot" nieruchomości, doskonale zdając sobie sprawę, że próbuje po raz drugi zdobyć kamienicę, do której nie miał żadnych praw.

I znów znajdujemy analogię do Andrzeja Waltza. Przed komisją beztrosko przyznał on, że wie o wyroku sądu na Kalinowskiego. Jak jednak dodał: „Od tego są odpowiednie organy państwa, żeby to sprawdzić, przekazać i mnie poinformować", bo przecież sam nie ma „zamiłowania do grzebania w cudzych życiorysach".

Rodzinie Kępskich/Waltzów wiedza o ordynarnym przekręcie nigdy zbytnio nie przeszkadzała. Najważniejsze było takie żonglowanie dokumentami, by wejść w posiadanie wielomilionowego majątku (i utrzymanie go) bez ryzyka poniesienia jakichkolwiek konsekwencji. O uczciwości nie ma nawet co wspominać.



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Andrzej Wiktor

# Bez opozycji

*Ani Platforma, ani Nowoczesna, ani inne ugrupowania nie stanowią obecnie zagrożenia dla rządów PiS. Co ważne, ich działania mają coraz mniejsze znaczenie dla przyszłości Polski*

STANISŁAW JANECKI

Formalnie opozycja w Polsce istnieje i zdobywa łącznie ok. 30 proc. poparcia w sondażach. Problemem jest to, że opozycja staje się coraz mniej potrzebna tym, którzy mogliby ją wynieść do władzy. A w najważniejszych państwowych sprawach znalazła się w takiej sytuacji, że można ją pomijać. Jest w takim miejscu na własne życzenie i wskutek całej serii posunięć anihilujących ją jako ważny czynnik sprawczy. Opozycję omijają już najbardziej wpływowe grupy interesów, duża część przedsiębiorców, przedstawiciele wolnych zawodów, młodzi ludzie. Oczywiście te partie opozycyjne, które posiadają własne kluby parlamentarne (a nawet koła), zawsze znajdą organizacje czy osoby podtrzymujące je przy życiu, bo stanowią dla nich pole manifestowania potrzeb lub postulatów. Ale najważniejsze sprawy w polskiej polityce, a przede wszystkim w gospodarce, można prowadzić tak, że niejako strukturalnie da się opozycję pomijać czy zakładać, iż nie ma ona większego znaczenia.

Nie wydaje się to celowym działaniem Prawa i Sprawiedliwości ani jego rządów, lecz efektem ubocznym tych rządów oraz ewoluowania opozycji i wzmacniania roli państwa w procesach decyzyjnych i działaniach władczych. – W najważniejszych sprawach oni mogą spokojnie zakładać, że nas nie ma, i to jest dla nas okropna perspektywa – usłyszałem od jednego z najbardziej wpływowych polityków Platformy Obywatelskiej.

## MOC PRZYCIĄGANIA

Upowszechnienie się przekonania, że w ważnych sprawach można pomijać istnienie opozycji, ma oczywistą moc sprawczą. Przede wszystkim daje możliwość kooptowania do obozu władzy tych, którzy dotychczas właściwie tylko ją krytykowali i nie wyobrażali nawet siebie na obrzeżach tego obozu. Tę moc kooptacji widać nie tylko w tak spektakularnych posunięciach jak przejście do obozu Zjednoczonej Prawicy posłanki Andżeliki Możdżanowskiej z PSL, posła Zbigniewa Gryglasa z Nowoczesnej czy senatorów PO Andrzeja Misiołka i Leszka Piechoty. Widać ją przede wszystkim w orientowaniu się na obóz władzy przedsiębiorców, samorządowców, liderów poszczególnych środowisk zawodowych czy organizacji społecznych. To nie jest jeszcze bardzo spektakularne, gdyż mamy do czynienia z początkiem procesu mogącego w ciągu kilku miesięcy przybrać cechy lawiny. Nie bez znaczenia jest tu wymiar praktyczny



eprasa.pl 9e6501059c

– korzyści z reorientacji na obóz władzy czy z kooptacji do niego. Ten mechanizm działał zresztą także za rządów Platformy Obywatelskiej, ale wtedy różne środowiska uznawały identyfikację z PO za naturalną, podczas gdy orientacja na PiS wymaga jednak pokonania jakiejś formy ostracyzmu, przynajmniej towarzyskiego.

Pomijalność opozycji dostrzegają głównie wspierające ją dotychczas media, ośrodki kształtowania opinii, ludzie nauki i kultury. Najpierw opozycję ostro krytykowali, że nie spełnia ich oczekiwań ani nie stanowi poważnej przeciwwagi dla PiS. Od kilku miesięcy de facto uznają opozycję za mało istotną w politycznej układance, dlatego coraz częściej oczekują pojawienia się jakiejś nowej partii, nowego ruchu, a na istniejące ugrupowania opozycyjne wyłącznie narzekają.

Latem 2017 r. szansą na nowy ruch wydawała się ulica, lecz nic nowego ani ważnego na ulicy nie powstało. Zawiodły też rachuby na wymianę Grzegorza Schetyny na innego, młodszego lidera, który tchnąłby w PO nowe życie. Udała się wprawdzie wymiana lidera w Nowoczesnej, ale to akurat nie ma większego znaczenia, a nawet może mieć negatywne skutki, jeśli chodzi o możliwości współdziałania opozycji. Ona oczywiście markuje żywotność, przede wszystkim prowadząc różne negocjacje w sprawie koalicji w wyborach samorządowych, szczególnie w Warszawie, ale przez wielu wyborców jest to odbierane jako „ostatnie podrygi konającej ostrygi". Gdyby opozycja przegrała wybory samorządowe na poziomie sejmików wojewódzkich, czyli straciła wpływ na wydawanie dużych pieniędzy z UE, jej „pomijalność" stałaby się faktem także na najwyższym poziomie samorządu. I zdaje się, że wszystko w tym kierunku zmierza.

## KONIUNKTURALIZM

Kooptacja do obozu władzy czy reorientacja na niego oznacza przyjęcie założenia, że obecna władza nie jest efemerydą, lecz może potrwać nawet kilka kadencji. Szczególne znaczenie ma to dla przedsiębiorców oraz dla ludzi młodych, którzy muszą planować na lata. I jeśli oni uznają opozycję za „pomijalny czynnik", to traci ona nie tylko znaczenie obecnie, lecz i w przyszłości. A właśnie na młodych i przedsiębiorców liczyły PO oraz Nowoczesna, bo to oni mieli te partie odrodzić. Uznawały się przecież za formacje wolnorynkowe i nastawione na przyszłość. Problemem jest to, że nie zaproponowały nic konkretnego ani przedsiębiorcom, ani młodym.

Tymczasem obecny obóz władzy przyciąga ludzi biznesu (nawet tego małego) wizją dopuszczenia do wielkiego państwowego programu modernizacji, rozłożonego na lata, w którym ważną rolę mają odegrać młodzi specjaliści, choćby poprzez start-upy. Obecna władza stwarza więc tym grupom szanse odnoszenia korzyści przez lata, co też wzmacnia ich skłonność do pomijania opozycji jako czynnika orientacyjnego i przyszłościowego. Ci ludzie mogą mieć nawet zastrzeżenia ideologiczne, ale trafnie odczytują i szacują korzyści. Poparcie dla obozu obecnej władzy z powodów koniunkturalnych czy oportunistycznych może wzbudzać zastrzeżenia, ale staje się faktem, i ono także wpływa na osłabianie opozycji.

W efekcie przy opozycji pozostają, z ogromnymi zastrzeżeniami, ale z braku lepszego wyboru, najzajadlejsi przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy, głównie z mediów, nauki oraz kultury. I dużo krzyczą, lecz (co sami zauważają) coraz częściej jest to wrzask z bezsilności. Pozostają też oczywiście różne grupy interesów i lobbyści, szczególnie ci, którzy wiele zainwestowali (niekoniecznie dosłownie) w PO i Nowoczesną, ale one akurat nie chcą się afiszować, bo ich poparcie tym partiom nie pomaga.

Opozycja znalazła się w sytuacji „pomijalnego czynnika" także dlatego, że przegrała rywalizację o słuch społeczny. Tak jak PO w 2007 r. odkryła duże pokłady cywilizacyjnych aspiracji Polaków i na tym zbudowała zwycięską kampanię parlamentarną, tak PiS odkryło i szybko zaczęło zaspokajać potrzeby dotyczące bezpieczeństwa: przede wszystkim socjalnego oraz związanego z posiadaniem pracy, na co odpowiedzią były programy pomocowe i bezprecedensowy spadek bezrobocia. Ale chodzi też o poczucie bezpieczeństwa w związku z terroryzmem, imigrantami, zagrożeniem podstawowych wartości, w tym rodziny. Opozycja była w tych kwestiach wyłącznie reaktywna, nawet jeśli przebijała na papierze takie programy jak 500+. I przegrała test wiarygodności, szczególnie PO i PSL, które przez osiem lat rządów mogły przecież zaproponować to wszystko, z czym wyszły dopiero w reakcji na konkretne programy PiS. Nawet jeśli część wyborców wie, że programów społecznych dotyczących pracy czy bezpieczeństwa żadna przyszła władza spoza PiS nie odważyłaby się zlikwidować, to woli nie ryzykować. A to sprawia, że przyszłość Polski rozważają, pomijając opozycję lub przypisując jej ograniczoną rolę, przynajmniej w najbliższych latach.

## MRZONKI O REWOLUCJI

Opozycja mogłaby zostać reaktywowana w wypadku zorganizowania w Polsce czegoś w rodzaju Majdanu. Bo wtedy mobilizacja objęłaby nie tylko ulicę i zagranicę, lecz również opozycję, głównie ze względu na jej struktury organizacyjne i pieniądze. I wtedy wykorzystano by kontakty opozycji za granicą, żeby stamtąd podgrzewać nastroje i uzasadniać jakiś rodzaj powstania. Ale ten scenariusz staje się coraz mniej realny. Między innymi dlatego, że postępuje kooptacja do obozu władzy, utrwala się przekonanie o trwałości obecnego układu rządzącego, coraz więcej osób orientuje się na niego biznesowo i wiąże z nim swoją przyszłość, a wielki międzynarodowy biznes oraz finansiści oczekują w Polsce stabilizacji, nie rewolucji. Co oznacza, że czynnik rewolucyjny staje się właściwie tylko mrzonką motywującą najzagorzalszych przeciwników rządów PiS. Dlatego coraz więcej sił i grup społecznych traktuje opozycję jako „pomijalny czynnik", przynajmniej w kilkuletniej perspektywie. A to oczywiście wywołuje wściekłość i różne paroksyzmy, ale ich amplituda wyraźnie spada. To nic dziwnego, gdyż funkcjonowanie opozycji w roli „pomijalnego czynnika" jest najgorszym dla niej rozwiązaniem w demokratycznym świecie.



eprasa.pl 9e6501059c

Legenda Legionów funkcjonuje, ale o losach żołnierzy Błękitnej Armii Józefa Hallera czy o Korpusach Polskich w Rosji jest już zupełnie głucho

Fot. Julita Szewczyk

*Z dr. **Jarosławem Szarkiem**, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawia Marcin Wikło*

# Odzyskać bohaterów niepodległości

***Jak powinniśmy się zaprezentować światu w 2018 r., aby za granicą dostrzeżono, że stulecie odzyskania niepodległości to bardzo ważne wydarzenie nie tylko dla Polaków?***

**Jarosław Szarek:** Przede wszystkim powinniśmy opowiedzieć sobie o tym, co wydarzyło się przed stu laty. Bo patrzymy na te wydarzenia niczym na obraz Kossaka. Jest jakiś polski pejzaż, ułan i nagle nam się to odzyskanie niepodległości przydarzyło. A to był proces, ogromny wysiłek pokoleń Polaków, którzy przeżyli ponadstuletnią niewolę zgotowaną nam przez trzy sąsiednie mocarstwa. Trzeba było niezwykłej siły. Byliśmy w stanie na niepodległość się wybić mimo różnic majątkowych, politycznych, społecznych i biedy, obojętności części społeczeństwa oraz, najdelikatniej mówiąc, braku entuzjazmu do odradzającej się Polski w Europie, czego tak wyraźnie doświadczyliśmy w 1920 r.

***To ma być opowieść o wielkim dziele całego narodu, którego finał dokonał się 11 listopada 1918 r.?***

To było wielkie dzieło, niewątpliwie, ale trzeba pokazać, że 11 listopada 1918 r. to był początek. Tak naprawdę nic wtedy nie zostało przesądzone. Równie dobrze moglibyśmy być państwem wielkości Księstwa Warszawskiego. A przez kolejne trzy–cztery lata, walcząc na wszystkich granicach jednocześnie, zdołaliśmy stworzyć fundamenty struktur



eprasa.pl 9e6501059c

państwowych. Odzyskaliśmy na 20 lat państwo, nie idealne, ale wywalczone ogromnym wysiłkiem i naprawdę niepodległe. To nie było tak, że uczestniczyli w tym wszyscy, ale udało się dzięki stworzeniu elit wywodzących się ze środowisk, które tej niepodległości pragnęły. Najpierw więc musimy właśnie tych ludzi pokazać sobie, a potem szerzyć wiedzę o nich w Europie i na świecie.

***To jasne, ale pytam o narzędzia, o rozmach. Jak ich pokazywać, by dotarli do serc i umysłów jako ludzie niezwykli?***

IPN chce dotrzeć przede wszystkim do młodzieży, która przez ostatnie kilkanaście lat fascynuje się oporem antykomunistycznym i żołnierzami wyklętymi. To ci młodzi przywrócili o nich pamięć, inicjując setki inicjatyw oddolnych, społecznych. To oni dobrze wykorzystali wiedzę przygotowaną przez IPN i te postacie zostały przywrócone pamięci. Jeszcze kilkanaście lat temu mało kto wiedział, kim byli „Inka", „Zapora", rtm. Pilecki czy nawet gen. „Nil". Dzisiaj to są nasze wzory. Młode pokolenie fascynuje się ich postawami, ale one nie wzięły się znikąd, ich wychowali rodzice, którzy byli zaangażowani w odzyskanie niepodległości, ich wychowały szkoła i uniwersytety niepodległej Polski.

***A więc teraz cofamy się o jedno pokolenie, pokazując matki i ojców żołnierzy niezłomnych?***

Dokładnie tak. Mamy taki sam pomysł na rozpropagowanie wiedzy o latach 1918–1920. Pokazać młodych ludzi z miast i wiosek sprzed stu lat. Zamieściliśmy w internecie nazwiska 88 tys. osób odznaczonych Medalem i Krzyżem Niepodległości. Chcemy, aby ta gigantyczna baza, która znajduje się w internecie pod adresem www.niezwyciezeni1918-2018.pl, posłużyła do działań edukacyjnych, niemal detektywistycznych. Wraz ze Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej, Ministerstwem Edukacji Narodowej apelujemy do szkół, nauczycieli i uczniów, aby na tej liście młodzież szukała swych przodków, sąsiadów, absolwentów szkół, do których chodzą. Chcemy, aby w szkołach podstawowych przygotowano na tej podstawie prace plastyczne, a w szkołach ponadpodstawowych – krótki film zatytułowany „Niezwyciężeni 1918". Młodzież ma przeszukiwać rodzinne albumy, szukać pamiątek w szafach czy na strychach, by właśnie tych ludzi wydobyć. Bo gdy patrzymy na ich życiorysy, to jawi nam się prawdziwa elita niepodległej Polski, w dużej części wymazana z pamięci w czasach PRL.

***Ludzie z krwi i kości, a nie z obrazów Kossaka. Podobnie jak z Wyklętymi, każdy powiat miał swojego bohatera.***

Dlatego akcję zainaugurowaliśmy wraz z prezydentem Andrzejem Dudą i minister Anną Zalewską w Stróży pod Limanową. To tam w 1913 r. powstała Oficerska Szkoła Strzelecka. Przez kilka tygodni ćwiczyło tam kilkudziesięciu strzelców Józefa Piłsudskiego, późniejsza elita legionowa, wśród nich Sosnkowski, Śmigły-Rydz, kilkunastu przyszłych generałów. Malutka wioska, a z taką historią. W tej szkole, w której dzisiaj uczy się kolejne pokolenie Polaków, szkolili się ci wielcy, których znamy z podręczników. Na tym przykładzie chcemy pokazać, że historia sprzed stu lat działa się naprawdę blisko nas.

***A jaka ma być forma przekazu, by tematem zainteresować, a nie znudzić?***

Żyjemy w czasie kultury obrazkowej, dlatego proponujemy, by młodzież nakręciła swój film o „Niezwyciężonych 1918". Dzisiaj można to zrobić smartfonem. Trzy i pół minuty o jednej z osób, które umieściliśmy na liście. Z taką formułą każdy sobie poradzi. Historie wielu z tych postaci to naprawdę gotowy scenariusz na nawet duży film fabularny.

***Jakie polskie historie sprzed stu lat poleciłby pan filmowcom?***

Legenda Legionów funkcjonuje, ale o losach żołnierzy Błękitnej Armii Józefa Hallera czy o Korpusach Polskich w Rosji jest już zupełnie głucho. Niesamowita jest opowieść o rajdzie rtm. Konstantego Plisowskiego, który przez zbolszewizowaną Rosję prowadzi swój szwadron przez ponad 1 tys. km od Odessy do Bobrujska. Kto o niej wie? Albo o Polakach w armii austriackiej, tych z 20. Pułku Piechoty – zwancyngierów, którzy w Słowenii rekwirują pociąg i przez zrewoltowane Austro-Węgry wracają do Nowego Sącza. Lokomotywę skradzioną w Wiedniu kupują za skrzynkę konserw i kilka razy unikając rozbrojenia, docierają do Nowego Sącza. Aż dziw, że na te tematy nie powstają żadne filmy.

***A dlaczego nie powstają? Czy to tylko kwestia pieniędzy?***

Pewnie w jakiejś mierze tak, ale chyba ważniejszy jest tutaj brak pewnej wrażliwości w dużej części środowisk filmowych. To są konsekwencje przełomu z 1989 r. Bardzo dbano o promowanie haseł w stylu „wybierzmy przyszłość" i „historię zostawmy historykom". Wtedy większość Polaków w to uwierzyła. I nie było potrzeby zrobienia dobrego filmu historycznego. A czegoś takiego nie da się zadekretować, artysta musi mieć przekonanie, że czegoś takiego chce. Dopiero teraz możemy liczyć na to, że pojawią się młodzi reżyserzy, dla których ta tematyka będzie ważna, i znajdą pieniądze na realizację swych pomysłów. Do tej pory tak nie było, powstawało za to wiele produkcji, które wpisywały się w coś, co nazywamy jakże trafnie pedagogiką wstydu. W roku 1918 i w kilku kolejnych latach działy się rzeczy, które są tego odwrotnością. Polacy zamarzyli wtedy o wielkości, o własnym niepodległym państwie i je wywalczyli. To było zwycięstwo. Duma.

***Mówi pan o latach 1918–1920, budowaniu instytucji państwa, niepodległości, wyrywaniu się z biedy, poczuciu, że polskie jest dobre. Zachowując oczywiście wszelkie proporcje, trochę to przypomina współczesną Polskę, która też pędzi ku niezależności gospodarczej, militarnej czy politycznej. Czy to uprawnione porównanie?***

Historia ma to do siebie, że zmieniają się warunki wokół nas, technologie, ale ludzie nie. Targają nami wciąż podobne namiętności, mamy takie same wady i zalety jak Polacy przed laty. Umiłowaliśmy wolność i do niej dążymy także dzisiaj, choćby w sferze upodmiotowienia gospodarki, przemy-



eprasa.pl 9e6501059c

słu, relacji z innymi państwami. Czy jesteśmy inni niż nasi przodkowie sprzed stu lat? Nie. Nawet te podziały, na które wciąż narzekamy, to nie jest nic zaskakującego. Spójrzmy choćby na rok 1918, wtedy jedności też nie było. Ani później, choćby w czasie „Solidarności". To stan naturalny, a niebezpieczny naprawdę tylko wtedy, gdy chcą tą kartą grać obcy i owe podziały podsycają.

***Obecny podział to spadek po komunizmie?***

Lata PRL niesłychanie nas zniszczyły, wyjałowiły i nie znaleźliśmy na ten stan lekarstwa nawet w 1989 r. Zostaliśmy wtedy wolnością niejako zaskoczeni, byliśmy do niej zupełnie nieprzygotowani. To oczywiście wykorzystała strona komunistyczna, cała konstrukcja okrągłego stołu okazała się trwała. Mamy pretensje do wielu ludzi „Solidarności" o to, że bliżej im było i jest do działaczy PZPR niż do kolegów z podziemia, z którymi siedzieli w jednej celi. A komuniści byli przygotowani, zachowali wszystkie instrumenty realnej władzy. W mediach, w bankowości, w biznesie. Po 1989 r. zmieniono dekorację, natomiast instrumenty pozostały w rękach ludzi starego systemu.

***Być może to jest odpowiedź na pytanie, dlaczego nie było zainteresowania produkcjami historycznymi.***

No tak, na takie produkcje potrzebne są duże pieniądze, a one były w rękach osób o zupełnie innej wrażliwości. To się szczęśliwie zmienia. PRL będzie coraz bardziej odległa, dla każdego kolejnego pokolenia będzie coraz bardziej obcym tworem. Za 20 lat grono ludzi wpływowych, którzy wywodzą się z PRL, będzie nieliczne, co nie oznacza, że będący spadkiem tamtych czasów marksizm kulturowy wraz z relatywizmem i nihilizmem nie są równie niszczące.

***Odbywa się teraz nieco akademicka – choć niepozbawiona złośliwości – dyskusja, kiedy w Polsce skończył się komunizm. Jest pan w stanie podać konkretną datę?***

Jeden ze znajomych mówi pesymistycznie, że komunizm był tak diabelskim systemem, iż nie da się z niego wyjść. Ważne, aby usuwać widoczne znaki tego systemu, ale o wiele trudniejsze jest stworzenie elit intelektualnych, które nie będą czerpać z tego systemu. Nadal niektóre segmenty życia są pod wpływem osób wywodzących się z PRL. To dotyczy zarówno uczelni, sądownictwa, jak i w pewnej mierze biznesu czy gospodarki. Upływ czasu działa oczywiście na naszą korzyść, ale konieczna jest gigantyczna praca, by odwrócić to, co wtłaczano w nas przez kilkadziesiąt lat. Przecież narzucano nam schematy zupełnie obce dla cywilizacji łacińskiej, zupełnie obcą ideologię, obce książki, autorów. System narzucał nam wykoślawione schematy nawet w sferze codziennego życia. Miliony ludzi wtłoczono w potężne blokowiska, wmawiając jednocześnie, że celem dla człowieka sukcesu ma być segment, obrzydliwy kanciasty budynek piętrowy z płaskim dachem. To niszczycielskie działanie było na nas testowane przez kilkadziesiąt lat.

***A może Polacy potrzebują bardzo widocznego znaku końca komunizmu? Czy mogłoby nim być wyburzenie Pałacu Kultury i Nauki im. Stalina w centrum Warszawy?***

Należy odbudować centrum stolicy zgodnie z tym, jak wyglądało w 1939 r. Przecież obok poniemieckich ruin zniszczono potężny obszar miasta, by wybudować ten symbol sowieckiego panowania nad Polską, a obok ziejący pustką pl. Defilad w miejsce tętniącego życiem fragmentu Warszawy. Nie trafiają do mnie argumenty, że ten budynek – pomnik Stalina – wrósł w tkankę miasta albo że nie dałoby się go wyburzyć, bo to kosztuje. Niepodległość ma swą cenę. Myślę, że akurat z tym, w dobie takiego postępu technologicznego, na pewno byśmy sobie poradzili, a gdybyśmy zdołali uzyskać od Niemiec reparacje, to można je wykorzystać na sfinansowanie odbudowy budynków ulic Chmielnej, Złotej, Siennej... Warszawa, zwana kiedyś Paryżem Północy, mogłaby odzyskać kawałek swojej duszy.

> Historia ma to do siebie, że zmieniają się warunki wokół nas, technologie, ale ludzie nie. Targają nami wciąż podobne namiętności

***Przed laty taka dyskusja toczyła się w sprawie zburzenia soboru św. Aleksandra Newskiego na pl. Saskim.***

Był to symbol rosyjskiego panowania nad Polską i został postawiony, aby swym potężnym cieniem mówić o tym Polakom każdego dnia. W 1920 r. odbyło się głosowanie w Sejmie, ale tylko 1/3 posłów poparła zburzenie tego symbolu niewoli i poniżenia. Udało się w 1924 r., lecz dopiero po tym, gdy bolszewicy stanęli u wrót Warszawy. Przypominając sobie tamtą dyskusję, słyszę głosy zwolenników pozostawienia PKiN. Co pomyślą zachodnie społeczeństwa? Że to dzieło sztuki, zabytek... I co z tego, skoro głównym celem było podkreślenie panowania Moskwy nad Warszawą?

***Powiedział pan, że rok 1918 to był początek. Czy mamy rozumieć, że przed Polakami kilka lat świętowania?***

Okrągłych rocznic, które chcemy podkreślać, nie zabraknie nam w najbliższym czasie. Teraz mamy stulecie odzyskania niepodległości w 1918 r., ale także rocznicę wyboru Jana Pawła II na papieża w 1978 r. – ważny moment dla kolejnego odzyskania niepodległości przez Polaków w XX w. – a następnie stulecie zatrzymania bolszewickiej nawały w 1920 r., powstanie „Solidarności" w 1980 – ostatni akt zmagań z komunizmem. Te cztery daty są jak cztery filary, na których IPN chce w najbliższych latach oprzeć swoją aktywność, by Polacy mieli świadomość, że należy doceniać wartość niepodległości nawet wtedy, gdy już nieco spowszedniała, bo ją po prostu mamy.

43/1217/F



eprasa.pl 9e6501059c

# TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

## KALENDARZ POLAKA 2018

# ŚWIĘTUJMY 100. ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości oddajemy do rąk Czytelników kalendarz ukazujący ostatni etap trudnej drogi naszych przodków do upragnionej wolnej Ojczyzny. Początkowe 4 karty naszego kalendarza dotyczą akcji I Kompanii Kadrowej po wybuchu I wojny światowej w 1914 r., Legionów Polskich oraz Armii Polskiej we Francji, zwanej Błękitną, a kolejne idą po śladach wydarzeń roku jubileuszu – 1918 – od 1 stycznia aż po koniec grudnia. Dla większości Polaków to wydarzenia raczej słabo znane, zatem lepszej okazji do ich poznania niż 100. rocznica już nie będzie. Przedstawione w kalendarzu fakty z historii są, rzecz jasna, tylko krótkim przypomnieniem najważniejszych zdarzeń bezpośrednio poprzedzających odzyskanie przez Polskę niepodległości. W walkę o wolność Rzeczypospolitej było zaangażowanych wielu Polaków.
W pokoleniu, które wywalczyło niepodległość, kluczową rolę odegrali Józef Piłsudski – spadkobierca tradycji insurekcyjnej oraz Roman Dmowski – lider Narodowej Demokracji. W 1918 r. Piłsudski i Dmowski zjednoczyli siły, aby wskrzesić Polskę na gruzach zaborczych monarchii. **S. B.**

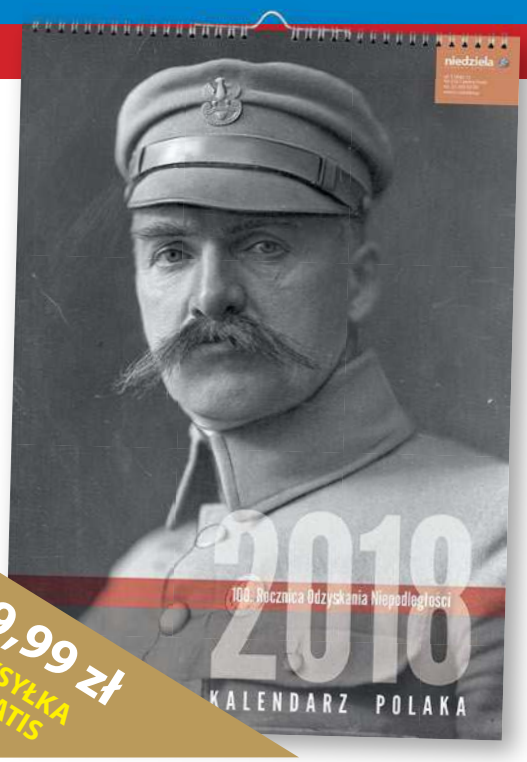


**19,99 zł**
**WYSYŁKA GRATIS**

Kalendarz Polaka może stanowić cenną pomoc dla nauczycieli czy animatorów kultury w kraju i na emigracji – jako podpowiedź doboru treści na akademie rocznicowe z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Treść kalendarza to autorska synteza drogi do niepodległości w 1918 r.

## KALENDARZ KATOLIKA PATRIOTY 2018

**20 zł**
**WYSYŁKA GRATIS**

| **40 lat od wyboru św. Jana Pawła II na Stolicę Piotrową** |
**50 lat od śmierci św. Ojca Pio** |
**100. rocznica odzyskania Niepodległości** |

Kalendarz katolika patrioty to nie tylko codzienne odniesienie do liturgii, świętych i błogosławionych. To również – a może przede wszystkim – zapoznanie się z najważniejszymi faktami m.in. z okresu 20-lecia międzywojennego z racji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, odświeżenie wydarzeń związanych ze św. Janem Pawłem II (40 lat od powołania go na Stolicę Piotrową) oraz ze św. Ojcem Pio (50 lat od jego śmierci). Znajdą w nim Państwo także dużo dobrego humoru, wiele ciekawostek oraz polskie przepisy kulinarne. Życzymy udanego Roku Pańskiego 2018 – koniecznie z tym kalendarzem.

**J. M.**

**W KOMPLECIE Z KALENDARZEM:**

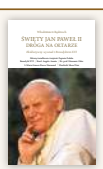

Włodzimierz Rędzioch „Święty Jan Paweł II Droga na ołtarze”

„Santo subito” – film DVD

Obrazek koronacyjny z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej

**Zamówienia: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa**
**www.ksiegarnia.niedziela.pl**
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52,** pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl 9e6501059c

# To się ogląda

*„Korona królów" – pierwsza od wielu lat tak duża produkcja historyczna Telewizji Polskiej miała premierę w TVP1. Opowieść o czasach Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego widzowie będą mogli śledzić cztery razy w tygodniu. Pierwsze odcinki przyniosły ogromną jak na tego typu produkcję oglądalność (3–4 mln widzów) i gorące dyskusje komentatorów. Przedstawiamy trzy ciekawe opinie, jakie ukazały się na portalu wPolityce.pl*

***Łukasz Adamski:*** *„Korona królów" sprawdzi się jako telenowela w klimacie tureckich produkcji*

Każdy, kto porównuje najnowszą produkcję TVP ze scenariuszem Ilony Łepkowskiej do „Gry o tron", robi jej niedźwiedzią przysługę. Rozumiem komercyjną potrzebę wypromowania flagowego serialu TVP. Jednak wychowany na wyśrubowanych produkcjach Netflixa i HBO widz najwyżej na takie porównanie parsknie śmiechem. Nie ten budżet, nie ten szeroki skład scenarzystów ani znakomitych hollywoodzkich rzemieślników na reżyserskim stołku. W końcu „Korona królów" to produkcja publicznej telewizji, która przeznaczona jest dla konkretnego targetu. To widz oglądający popołudniową telewizję. Ugładzoną, grzeczną i bezpieczną dla widza niepełnoletniego. Nie ma szokować przemocą ani seksem jak właśnie „Gra o tron", ani zawiłościami intryg niczym „Dynastia Tudorów".

Warto więc mówić, czym w rzeczywistości jest „Korona królów" TVP. To klasyczna telenowela historyczna, która w swoim gatunku się sprawdza. To również nieźle skrojona historia losów ludzkich włożonych w kołowrotek wielkiej polityki. Od pierwszych minut widać rękę Łepkowskiej, która najlepiej czuje się w opowieściach o rodzinnych konfliktach i intrygach.

Fot. Shuterstock, materiały prasowe TVP



eprasa.pl 9e6501059c

Serial „Korona królów" opowiada o kulisach władzy oraz kreśli losy jednego z najwybitniejszych władców w dziejach Polski – Kazimierza III Wielkiego. Najmłodszy syn Władysława I Łokietka i Jadwigi Bolesławówny musi udźwignąć ciężar władzy, a także zapanować nad tym, co dzieje się na dworze. Serial ukaże losy kobiet bezwzględnie walczących nie tylko o serce króla, lecz także o koronę królowej. Perypetie bohaterów przybliżą widzom owiany mitami wiek XIV.

Po dwóch odcinkach widać, że nie jest to produkcja ze szczególnie wysublimowanym scenariuszem i złożonymi postaciami. Nie taka jest jednak rola tego typu produkcji. Bliżej jej do tureckich seriali historycznych niż do również dosyć prostolinijnych „Templariuszy" kanału History. „Korona królów" jest kierowana przede wszystkim do masowego widza przyzwyczajonego do specyfiki seriali, np. „M jak miłość". Łepkowska jest mistrzynią sprzedawania milionowej widowni tak skrojonej rozrywki. Dobrze wie, że sygnowana przez nią produkcja nie ma poziomu „Królowej Bony" Janusza Majewskiego czy „Przygód pana Michała".

Nie musi mieć. To serial ulepiony z innej gliny i jeżeli odniesie poza granicami Polski choćby połowę sukcesu tureckiego „Wspaniałego stulecia", to władze TVP mogą być zadowolone.

***Jacek Karnowski:*** *Za czasów Platformy TVP też emitowała seriale historyczne. Na przykład „Nasze matki, nasi ojcowie"*

TVP zaprezentowała pierwsze dwa odcinki serialu „Korona królów", opowiadającego o końcówce panowania Władysława Łokietka i wstępowaniu na scenę Kazimierza Wielkiego.

Widać, że jest to produkcja niedroga, raczej skromna telenowela historyczna niż wielka produkcja w stylu seriali Netflixa. Można się czepiać, że scenografia niezbyt „wypasiona", sceny grane wyraźnie w biegu, brakuje magii i efektów specjalnych superprodukcji. Ale mimo tych zastrzeżeń jest to serial, który dobrze się ogląda. Naprawdę, nie ma wstydu. Są też duże plusy, np. świetna gra Haliny Łabonarskiej.

Myślę, że kolejne odcinki będą jeszcze lepsze. I kolejne seriale także, bo od lat w Polsce nie produkowano seriali historycznych, wyjąwszy te dotyczące II wojny światowej („Czas honoru"). Mówimy więc tak naprawdę o odbudowie kompetencji, którą kiedyś mieliśmy, a która później, z wielu przyczyn, także z powodu celowej polityki, obumarła.

Oczywiście, każdy ma prawo do swojej opinii. Serial wzbudził liczne dyskusje, nie brakuje emocji. I to najbardziej cieszy. Bo warto przypomnieć, że za czasów poprzednich rządów też dyskutowaliśmy o serialach emitowanych w TVP – wówczas chodziło jednak o niemiecką produkcję propagandową pt. „Nasze matki, nasi ojcowie", w sposób bezczelny wybielającą Niemców, a jednocześnie malującą w czarnych barwach Armię Krajową.

> To klasyczna telenowela historyczna, która w swoim gatunku się sprawdza

Teraz dyskutujemy o „Koronie królów". I także wszyscy trochę się douczamy, bo przecież liceum dawno za nami i co nieco z pamięci uleciało. A okres fascynujący – niezłomny Łokietek, wielki Kazimierz, za rogiem Jagiełło i narodziny potęgi.

Gdy Polacy rozmawiają o polskiej historii, gdy jakieś dzieło skupione na naszych dziejach przyciąga uwagę, można się tylko cieszyć. Nawet jeśli netfliksowi smakosze uważają za konieczne wyrazić swoje rozczarowanie. Czy zresztą byliby w stanie zachować się inaczej?

***Michał Karnowski:*** *Dyskusja wokół „Korony królów" to ciąg dalszy sporu o to, czy cokolwiek w Polsce warto robić*

Nie jest przypadkiem, że to parówkowe i niemieckie media z największą wściekłością rzuciły się na telenowelę TVP „Korona królów", opowiadającą o czasach zjednoczenia Polski pod berłem Władysława Łokietka. Nie zdziwił mnie także wspierający atak zestaw cynicznych ironistów, dobrze nam znany i używający powtarzalnych argumentów: że w Hollywood robią lepsze, że po co w ogóle było się do tego brać, że i tak z „Grą o tron" się nie wygra. Czytając to, miałem wrażenie, że wszystkie te tweety i teksty zostały napisane wcześniej. Niezależnie, jakim serialem telenowela „Korona królów" by się okazała, miała zostać wyśmiana, wyszydzona, zniszczona. Żadnej szansy, żadnego kredytu. Ta dyskusja jest bowiem kontynuacją starego w III RP starcia między cynicznymi rechotami a współczesnymi, nie znajduję innego słowa, pozytywistami. Jest sporem o to, czy cokolwiek warto tutaj, z Polakami i dla Polaków, robić, próbować, działać.

Przykra sprawa, ale niektórzy pialiby z zachwytu, gdyby ostatni kamień z Polski wywożono – byle sprawnie piarowsko. Z kolei każda propolska inicjatywa zostanie z definicji okrzyknięta „październierzową".

Opanujcie się! Przecież warunki brzegowe tej produkcji były i są znane: telenowela historyczna, a nie superprodukcja, budżet ograniczony, kompetencje trzeba dopiero odbudowywać (bo w III RP TVP produkcji historycznych niemal zaprzestała), na dodatek w tle duże opory w środowisku producenckim i aktorskim (bo nie lubią Jacka Kurskiego). Czy w takiej sytuacji w ogóle warto próbować? Jasne, że tak! Bo z takich zasiewów wyrastają z czasem wielkie rzeczy. Ostatnie lata pokazały chyba nam wszystkim, jak wiele można konsekwencją i pracą.

A teraz najważniejsze: to się ogląda! Deficyty widać, wiele można podciągnąć, poprawić. Ale jednak – się ogląda. Akcja wciąga, już w pierwszym odcinku klarownie zarysowane zostały charaktery postaci, kontekst historyczny, konflikty. Cieszy też, że historia Polski opowiadana jest z miłością, dumą, ale bez infantylizmu.

Możecie sobie zatem narzekać, możecie krytykować, możecie mieć nawet w detalach rację. Ja jednak uważam, że po pierwszych odcinkach pomysłodawcom i realizatorom należy powiedzieć: dziękuję i powodzenia!



eprasa.pl 9e6501059c

# Człowiek jest konstrukcją ekstremalnie złożoną

Jako ludzie mamy w sobie ok. 105 tys. genów. Nauka zna je wszystkie, jednak różne kombinacje między nimi można liczyć w miliardach. Dlatego leczenie nowotworów jest tak trudne

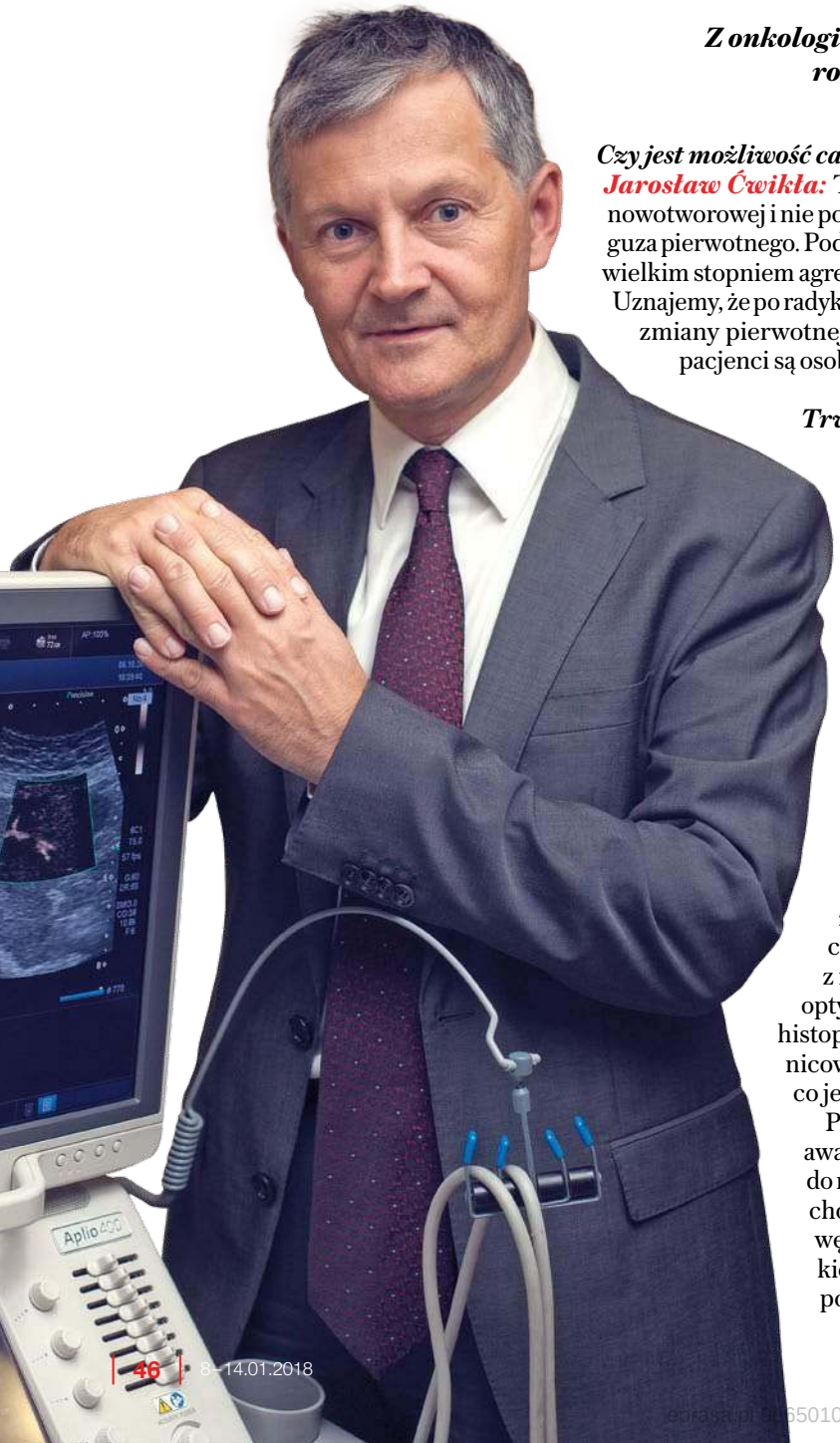

***Z onkologiem prof. Jarosławem B. Ćwikłą rozmawia Ryszard Makowski***

***Czy jest możliwość całkowitego wyleczenia się z raka?***

***Jarosław Ćwikła:*** Tak, oczywiście, jeżeli mamy wczesne stadium choroby nowotworowej i nie pojawiły się przerzuty, można dokonać skutecznej resekcji guza pierwotnego. Podobnie gdy choroba nowotworowa charakteryzuje się niewielkim stopniem agresywności guza, wtedy rokowanie jest zwykle pomyślne. Uznajemy, że po radykalnym leczeniu chirurgicznym, z całkowitym usunięciem zmiany pierwotnej, przeprowadzonym w odpowiednim momencie, tacy pacjenci są osobami wyleczonymi.

***Trwale?***

Oczywiście pojawia się kwestia nawrotów choroby. Część pacjentów jest wyleczona trwale i oni praktycznie są zdrowi, u innych może się pojawić wznowa procesu chorobowego w różnych odstępach czasu od pomyślnego zakończenia terapii. Dlatego chorzy, u których stwierdzono raka i którzy byli skutecznie leczeni, powinni jednak być poddani stałej obserwacji.

***Jednak statystyki są dosyć pesymistyczne, co godzinę na raka zapada w Polsce dwanaście osób, przeżywają zaledwie trzy.***

W przypadku chorób onkologicznych mamy duży problem, ale nie jest tak, że diagnoza „rak" pozbawia nas zupełnie możliwości działania. Obecną koncepcją leczenia w przypadku nowotworów złośliwych jest – po pierwsze – utrzymanie pacjenta jak najdłużej przy życiu (tzw. czas całkowitego przeżycia), po drugie – żeby choroba nowotworowa stawała się chorobą przewlekłą z możliwie jak najlepszą opieką oraz zapewniała choremu optymalną jakość życia. Nawet przy tym samym rozpoznaniu histopatologicznym choroba nowotworowa jest wysoce zróżnicowana i ma wiele wariantów. Nie oznacza jednak czegoś, co jest nieodwracalne.

Problemem w onkologii są poszczególne etapy stadium zaawansowania procesu nowotworowego, w których dochodzi do rozsiewu komórek nowotworowych i uogólnienia procesu chorobowego. W ich następstwie pojawiają się przerzuty do węzłów chłonnych czy przerzuty odległe. Nowotwór w takiej zaawansowanej postaci jest chorobą zwykle ciężką do pokonania.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 96501059c

***Podobno w Polsce mamy dobre wyniki w leczeniu białaczki.***

Białaczka jest nowotworem pochodzącym z komórek układu krwiotwórczego, czyli według nomenklatury nie jest rakiem. W tej grupie są też chłoniaki, pochodzące z układu limfatycznego. Postęp, który się dokonał w ich leczeniu, upoważnia nas do stwierdzenia, że to grupa chorób, z którymi potrafimy walczyć. Zdecydowanie poprawiły się wyniki w przypadkach leczenia białaczki.

Nadal ogromnym wyzwaniem dla nas są rak płuc czy rak jelita grubego. Pomimo rozwoju technologii, wprowadzenia nowych leków czy nowych programów lekowych, leczenia molekularnego, genotypowania są to przypadki trudne. I choć postęp w terapii jest ogromny, nadal daleko nam do tego, by powiedzieć, że osiągnęliśmy spektakularny sukces.

***Jak wiemy, bardzo trudnym do wyleczenia nowotworem jest rak trzustki.***

Rzeczywiście. Rak trzustki jest bardzo agresywnym nowotworem. To jeden z niewielu nowotworów, w których przypadku pomimo postępu naszej wiedzy mamy ogromne problemy z wczesną diagnozą i dalszym skutecznym leczeniem. Rak trzustki o wielkości ok. 2 cm jest często wyrokiem z brakiem możliwości leczenia radykalnego, czyli brakiem skutecznego usunięcia zmiany pierwotnej. Generalnie zaawansowany rak trzustki ma skrajnie niekorzystne rokowanie.

***Jest taka obiegowa teoria, że alergicy zapadają na raka trudniej.***

Trudno to potwierdzić na 100 proc. Alergia powoduje, że organizm ma stale pobudzony układ immunologiczny, ta nadreaktywność teoretycznie może stymulować komórki układu immunologicznego do niszczenia komórek raka, ale chciałbym zaznaczyć, że gwarancji na to nie ma. Tym bardziej że większość nowotworów potrafi oszukać układ immunologiczny.

***Oszukać?***

Tak, i to bardzo. Jednym z takich przykładów są nowotwory neuroendokrynne, w których się specjalizuję.

***Zabrzmiało to bardzo naukowo, mógłby pan profesor przybliżyć ten zwrot?***

Nowotwory neuroendokrynne to złożona grupa chorób związana z rozplemem i dalszym niekontrolowanym rozwojem komórek neuroendokrynnych, czyli takich, które pośredniczą m.in. w sterowaniu funkcją przewodu pokarmowego. Nowotwory tego typu z uwagi na rozproszenie układu neuroendokrynnego w całym organizmie mogą być zlokalizowane na odcinkach od jamy ustnej do odbytu. Takie nowotwory spotykane są także w układzie oddechowym czy innych gruczołach wydzielania wewnętrznego jak nadnercza, trzustka, przysadka i inne.

***A jakie są objawy aż tak złożonej choroby?***

Symptomatologia z tego względu, że mamy tak różną lokalizację, jest niestety bardzo złożona. Najczęściej spotykanym guzem endokrynnym wydzielniczym jest insulinoma. To może być mały guzek, ale niezwykle groźny, bo powoduje on niekontrolowaną nadprodukcję insuliny. A to powoduje gwałtowne obniżenie poziomu glukozy, co może w krańcowym przypadku zakończyć się śmiercią mózgową z powodu niedocukrzenia, a tym samym zgonem chorego.

***Co pana skłoniło do zajęcia się tą tajemniczą formą nowotworów?***

To było związane z moim stypendium, które odbywałem w Royal Free Hospital w Londynie w połowie lat 90. Tam naprawdę po raz pierwszy zetknąłem się z tego typu guzami, uczestnicząc w spotkaniach klinicznych zespołu ekspertów badających takie schorzenia. Był to jeden z pierwszych zespołów na świecie specjalizujących się w tym zagadnieniu. Rakowiak, bo ta nazwa była wtedy w powszechnym użyciu, był mi znany ze studiów, ale oczywiście jako termin jednostki chorobowej, a nie jako realna choroba. W tym czasie w Polsce była to choroba bardzo mało rozpoznana.

***Jest pan zatem prekursorem diagnostyki i terapii tego rodzaju chorób w Polsce.***

Można tak to określić; podczas swojego kolejnego pobytu w 2000 r. w Londynie aktywnie uczestniczyłem w pracach tamtejszego zespołu, poznając tajniki terapii radioizotopowej. Z wykształcenia jestem medykiem nuklearnym i radiologiem.

Obecnie mimo swojego pierwotnego wykształcenia zajmuję się przede wszystkim klinicznym prowadzeniem pacjentów. W chorobie tej ważne jest, by mieć kilka różnych metod leczenia, które będziemy wykorzystywać przez kilka czy nawet kilkanaście lat.

***Czy rak jest chorobą, która istniała zawsze, tylko nie była wykrywana, czy jest też chorobą cywilizacyjną naszych czasów?***

Na obie te kwestie można odpowiedzieć twierdząco. Przed erą nowoczesnej diagnostyki, w tym obrazowania, często te choroby były nierozpoznawalne. Nie podlega jednak też kwestii, że mamy do czynienia ze wzrostem zachorowalności na choroby nowotworowe z powodu zatrucia środowiska, rozpowszechnienia używek oraz przemysłowo produkowanej żywności. Zwykle nie do końca wiemy, co jemy.

***Wiemy. Przeważnie jest to „E-ileś tam"...***

Tak, tylko że to jest to, co producenci muszą zamieścić na etykiecie, bo tego wymaga od nich prawo. Natomiast tego, czego nie wymaga od nich prawo, nie muszą wyszczególniać, zatem nigdy dokładnie nie wiemy, co spożywamy.

***Tutaj naprawdę wiele rzeczy czyha na człowieka.***

Człowiek jest konstrukcją ekstremalnie złożoną. Proszę sobie uświadomić, że mamy ok. 105 tys. genów. Ten genom ludzki został już zsyntetyzowany. Znamy wszystkie geny. Liczba regulacyjnych systemów wiążących te 105 tys. genów, które determinują to, jak funkcjonujemy, to kilka miliardów kombinacji.

W mojej opinii nigdy nie znajdziemy skutecznego leku na raka, bo natura zawsze nas przechytrzy, możemy tylko próbować coś robić, by poprawić nasze wyniki leczenia.



eprasa.pl 9e6501059c

***Ale chyba jakiś postęp w nauce zajmującej się nowotworami odnotowujemy?***

Postęp jest wbrew pozorom znaczący, ale pamiętajmy o tym, że jeśli atakujemy żywą istotę, to ona się broni. To walka na śmierć i życie. Z rakiem jest podobnie. Zwykle podczas skutecznego leczenia ponad 90 proc. komórek rakowych zostaje zabitych. Jednak mówimy o milionach czy miliardach komórek, które mimo wszystko przeżywają ten kataklizm.

Postęp polega na tym, że staramy się na tyle skutecznie zwalczać choroby nowotworowe albo przynajmniej na tyle je blokować, żeby pacjent pomimo choroby mógł się cieszyć względnym zdrowiem lub tylko minimalnie odczuwać chorobę.

***Podstawową kwestią jest chyba u nas brak dostępu do lekarza. Co z tego, że choroba jest wcześnie wykryta, jeśli potem na wizyty czeka się miesiącami.***

To jest związane z organizacją ochrony zdrowia. System nie jest niestety skuteczny i bez globalnego podejścia do zagadnienia szybko nie będzie to rozwiązane.

***Schorowany człowiek musi czasem siedzieć pół dnia w poczekalni.***

Obecnie esencją systemu jest tworzenie nadbudowy biurokratycznej zamiast poprawiania kwestii dostępu chorych do specjalistów i skrócenia czasu oczekiwania na wizyty. Powinna być większa liczba specjalistów, a także lepsza organizacja pracy samego specjalisty.

***Poprzedni rząd pod koniec swojego działania ogłosił, że dostęp do onkologów będzie łatwiejszy.***

Był to pakiet onkologiczny, czyli karty DiLO.

***DiLO?***

To skrót od Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego.

***Jednak to się nie sprawdziło?***

To była kolejna furtka propagandowa. Znacząco nie poprawiła dostępności do terapii. Efekt wprowadzenia kart DiLO poza ogromną maszyną biurokratyczną skończył się skróceniem oczekiwania na leczenie rzędu tygodnia czasu w stosunku do czasu oczekiwania pacjentów bez tych kart, trudno więc mówić o jakiejś rewolucji.

***Krąży opinia, że z raka najskuteczniej można się wyleczyć prywatnie.***

Nowoczesne leczenie onkologiczne w oparciu o leczenie skojarzone jest niestety bardzo drogie. Jest to związane np. z kosztem nowych leków czy radioterapii. Wprowadzanie nowych koncepcji leczenia w oparciu o leczenie molekularne czy leczenie celowane powoduje, że koszty tego typu procedur idą w setki tysięcy złotych, to ogromne obciążenie dla budżetu. I nie zawsze są na to środki.

***Czy państwo refunduje tak drogie leki?***

Część z tych leków tak, ale nie wszystkie. Cierpimy na chroniczny brak dofinansowania ochrony zdrowia. U nas na lecznictwo przekazuje się 4,5 proc. PKB, a choćby w Wielkiej Brytanii ok. 10 proc.

***Poza tym tam pewnie służba zdrowia jest lepiej zorganizowana.***

Tu pana zaskoczę. Nasz system ma identyczną strukturę działania jak ten brytyjski. Mamy de facto kopię NHS, czyli National Health Service. Sama koncepcja NFZ jako płatnika i kontrolera nie jest zła, ale wszędzie tam, gdzie działają ludzie, wkrada się niedoskonałość.

***Czy trybem życia można zapobiec zapadnięciu na raka?***

Jak najbardziej. Palenie papierosów to wiadomo: rak płuc, krtani i inne. Nadużywanie wina źle wpływa na wątrobę, a mocne alkohole osłabiają trzustkę. I tu jest właśnie kluczowa rola państwa, żeby uświadamiać społeczeństwu, jak ważny jest zdrowy tryb życia. Wiadomo, że ze sprzedaży alkoholu czy papierosów budżet czerpie zyski, ale per saldo ten zysk nie jest na tyle duży, żeby zrekompensować koszty leczenia chorób spowodowanych tego typu używkami.

***A co optymistycznego może pan profesor powiedzieć osobom chorym na raka?***

Pewne nowotwory pod względem swej biologii nie są bardzo agresywne, rosną stosunkowo powoli i mimo że bardzo szybko dają przerzuty, ich dynamika wzrostu w stosunku do „standardowego" raka jest inna. To są jakby dwa bieguny.

***Zatem należy się modlić, żeby ewentualnie mieć jakąś lepszą wersję raka...***

Modlitwa zawsze się przyda. Często, gdy zgłasza się do mnie pacjent, to uspokajam go, że ten rak, którego u niego wykryliśmy, jest rakiem endokrynnym i ta choroba ma właśnie tę inną biologię.

***Pan się w tym specjalizuje, ale czy onkolog, który nie ma aż takiej praktyki, jest w stanie odróżnić, że to właśnie rak tego typu?***

Wczesna diagnoza przeprowadzona choćby przez lekarza rodzinnego może natrafiać na trudności. Staramy się uświadamiać kolegów, że taka choroba w ogóle istnieje, żeby mieli to na uwadze.

***Czyli nasze zdrowie w dużej mierze zależy do tego, czy lekarz pierwszego kontaktu w ogóle weźmie pod uwagę takie schorzenie.***

Bardzo słuszna uwaga.

***Reasumując: z rakiem, tak jak z innymi sprawami, musimy mieć trochę szczęścia.***

No tak, ale nie tylko. I stąd mój apel, żeby nie przeciążać lekarzy biurokracją. Im więcej różnych formularzy lekarz będzie musiał wypełniać, tym mniej będzie skoncentrowany na pacjencie. Medycyna jest związana z postępowaniem koncepcyjnym, a nie automatycznym; od szybkiego, trafnego rozpoznania niejednokrotnie zależy życie pacjenta. Im więcej czasu lekarz poświęci choremu, tym większa szansa, że zauważy, co mu rzeczywiście dolega.



eprasa.pl 9e6501059c

# Niesie nas rock polo

*Stary rok Sławomir Zapała zakończył na internetowym szczycie. W nowy wszedł pod wierchami*

Fot. Podlewski/AKPA



eprasa.pl 9e6501059c

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Gdzie, jak nie pod Giewontem, i to w sylwestrową noc, ponieść mogła słuchaczy „Miłość w Zakopanem”? Kto, jak nie „Cześć, tu Sławomir”, oczywiście u boku ukochanej Kajry, mógł się zmierzyć na scenie z rywalem z kanału YouTube, Luisem Fonsi? W końcu obaj w zestawieniu YouTube Rewind 2017 (liście najpopularniejszych filmów i teledysków) znaleźli się na szczycie. I choć Fonsi odnotował 4,6 mld odsłon, to na polskim rynku 69 mln Sławomira Zapały też robi wrażenie. I pewnie z tego powodu właśnie on nie tylko rozpoczął imprezę w Zakopanem, lecz i był pierwszym wykonawcą w 2018 r.

Sławomir wypina więc pierś do przodu. Jest pewny swego, bo budowany od kilku lat sceniczny wizerunek okazał się trafiony. Dzięki niemu stał się jednym z najbardziej pożądanych wykonawców. Jak to osiągnął? Przeciętniak z łysinką i śmiesznym wąsikiem; rodak, który próbował szczęścia za oceanem, a przywiózł zza wielkiej wody głównie błyszczące marynarki i afekt do amerykańskiego kiczu. Czy jednak naprawdę tylko to?

## POLO „ŁAŁMERYKA”

Jak kiedyś Franek Kimono fascynację sztukami walk, tak Sławomir wykorzystał uwielbienie rodaków do przaśnych rytmów, a także tego, co pochodzi z „Łałmeryki”. Muzyka, dawniej „chodnikowa”, dziś disco polo (w obu wersjach oczywiście nikt jej nie słucha, ale wszyscy znają i dobrze się przy niej bawią) posłużyła mu do kolejnej nośnej, parakabaretowej przeróbki.

Sławomir to według dowodu Sławomir Zapała, rocznik 1983. Wykształcony aktor po krakowskiej PWST. Z epizodami m.in. w filmach: „Karol. Człowiek, który został papieżem” (w którym grał seminarzystę... czeskiego) i „Popiełuszko. Wolność jest w nas” (tu był młodym milicjantem) oraz rolami w serialach (ostatnio nawet całkiem sporą w „Blondynce”) postanowił wypłynąć do pierwszego szeregu na fali nowego muzycznego gatunku. Nazwał go rock polo i połączył w nim: wpadające w ucho rytmy i rozbudowane (co wyjątkowe w tym stylu) teksty, z rozwiniętą fabułką oraz kabaretowym suspensem. Wszystko rysowane grubą kreską i nierzadko balansujące na granicy – zarówno w słowie, jak i w teledyskowym obrazie – ale też charakterystyczne, „Sławomirowe”.

## TUBĄ DO WIDZA

Nośnikiem, który zaprowadził Sławomira do sukcesu, stał się YouTube. Tu liczył się głos kliknięć, a ten wywindował w zestawieniach oglądalności najpierw „Megierę”. Udostępniony trzy lata temu teledysk z mocnymi „rolami” Ewy Kasprzyk, Krzysztofa Kiersznowskiego i Lecha Dyblika miał ponad 24 mln wyświetleń. Kolejne single: „Ni mom hektara” i „Aneta” nagrany z zespołem Vox i Małgorzatą Sochą umocniły pozycję Sławomira, który zdążył również zatańczyć z gwiazdami i przekonać telewidzów, że jego twarz brzmi znajomo. Ubiegłoroczny klip zaniósł go i na szczyt, i pod szczyty.

Na sylwestrowej scenie stanęli oboje. Magdalena „Kajra” Kajrowicz też jest aktorką. Pojawiała się w teledyskach męża jako ta „zjawiskowa i dobra”, spełnienie marzeń bohatera. „Ona jest piękna. Ja... oryginalny, więc żona nadrabia pięknem na scenie. Dobrze się to uzupełnia” – komentuje Sławomir. „Kajra” dodaje: „Niesie nas rock polo”.

## UJARZMIANIE KICZU

Dla publiczności błyszczą, podkręcając swoje role. On jest energetyczny i zabawny, ona seksowna. W teledysku do „Miłości w Zakopanem” cekinowy kicz zamienili na ekranowe cytaty, m.in. z pamiętnego kuligu na białym niedźwiedziu. Suną zatem sanie po śniegu, jak w scenie z „Potopu” Jerzego Hoffmana. „To mój ukochany film, a scena przeszła do legendy polskiego kina, więc mieliśmy ogromną przyjemność poczuć to samo, co Oleńka i Kmicic, a także grający ich aktorzy” – tłumaczy Sławomir.

Fot. Karol Makurat/REPORTER

Są parą w życiu i na scenie. „Kajra” pytana, czym ją ujął Sławomir, z uśmiechem odpowiada: „Wąsem, a czym innym...?|. Sławomir nie ma wątpliwości: „To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Jestem zaszczycony, że jest moją żoną”.

Są szczęśliwymi i dumnymi rodzicami. Jeśli to możliwe, synek jeździ z nimi w trasy, jeśli nie, rekompensują mu, jak mogą, nieobecność. „Jest taki moment, kiedy zrzucamy złote garnitury, siadamy przy wspólnym stole i cieszymy się życiem” – mówi Sławomir.

## NA NOWY ROK

Podobno to w sylwestra, jak wspomina Zapała, Magda przyszła do niego do domu „i tak już zostało”. Pod Giewontem opowiedzieli o miłości w Zakopanem. Z towarzyszeniem wielu gardeł, bo na ich występach śpiewa cała publika. Gwarancją zabawy i dobrego samopoczucia po niej były dodatkowo góry. „Jak w mojej piosence – podsuwa cytat Sławomir: »Poranek, jasny świt,/Głowy leciutkie, bo/To przecież góry...«”.

W nowy rok weszli z impetem. W planach mają koncerty m.in. w USA i Wielkiej Brytanii, ale sobie i innym poza pogodą ducha życzą: „Żeby mieć czas dla siebie, żeby się poprzytulać, dbać o swoje rodziny. I cieszyć się tym, co mamy”.



eprasa.pl 9e6501059c

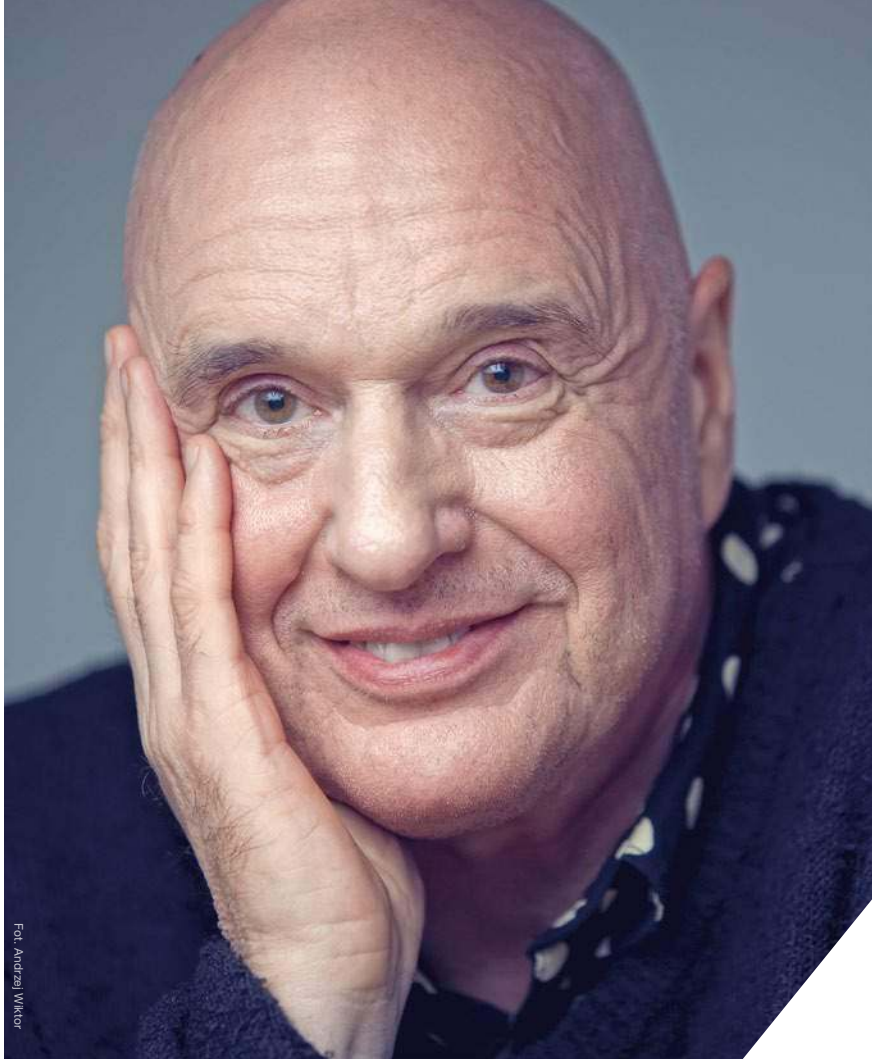
Fot. Andrzej Wiktor

# Saga, czyli kim jestem

Historia mojej rodziny to gotowy film, ale i tak nawet w serialu nie udałoby mi się zmieścić choćby połowy jej losów

***Z Cezarym Harasimowiczem, scenarzystą i pisarzem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna***

***Spotykamy się w miejscu, które nazywa się Sweet Moments. To przypadek?***

***Cezary Harasimowicz:*** O tyle nie przypadek, że mieszkam obok. W bloku, do którego wróciłem po latach. Wychowywałem się w tej okolicy, moja mama mieszkała niedaleko. Na ul. Andersa, dawniej Nowotki, a jeszcze dawniej Nalewki. Mama niestety umarła pięć miesięcy temu. Ja tu jestem. W dawnym domu, który stoi na terenie byłego warszawskiego getta. To też na mnie wpłynęło. Niektórzy ludzie źle się w tym rejonie czują, mnie to miejsce zaakceptowało.

***W każdej historii, zwłaszcza tej rozpisanej na lata, nawet jeśli została tragicznie naznaczona, zdarzają się słodkie momenty. Dużo ich było w życiu pana bliskich?***

W pamięci mojej mamy, która urodziła się w 1921 r., czas przedwojenny, okres dzieciństwa i młodości był słodki i pastelowy. Chociaż wpisały się w niego dramatyczne wydarzenia. Z niektórych mama nie zdawała sobie sprawy – gdy miała roczek, doszło do zamachu na prezydenta Narutowicza, ale cały okres związany z osobą mojego dziadka, czyli majora I Pułku Szwoleżerów, pierwszego polskiego medalisty olimpijskiego, był pełen miłych chwil. Gwałtownie przerwał go wrzesień 1939 r.

***Co sprawiło, że od lat żyjąc z pisania, dopiero teraz zdecydował się pan, poprzez losy swoich bliskich, pokazać fragment polskiej historii?***

Namówiono mnie do tego, bo chociaż chęć odpowiedzenia sobie na pytania: „skąd jestem?", „z jakiej przeszłości?" pojawiała się już wcześniej, była nieuświadamiana, a nawet, przez jakiś czas, lekceważona. Nie czułem potrzeby, by wsłuchać się choćby w opowieści dziadka, który odszedł z tego świata w sposób dramatyczny, gdy byłem chłopcem.

***Ale też odszedł, jak na ułana przystało?***

Tak, chociaż to było tyleż romantyczne, ile tragiczne. Dziadek uległ wypadkowi podczas kręcenia filmu „Popioły" w 1964 r., prowadząc szarżę na Somosierrę. Miał już lat 70, wszyscy mu to, łącznie z reżyserem Andrzejem Wajdą, odradzali, ale wsiadł na konia. Zobaczył mundury, szable... Odezwała się ułańska fantazja i takież ryzyko. Efekt: upadek, połamany w kilku miejscach kręgosłup i półtora roku męczarni... Także dla rodziny.

***Był pan zbyt młody, by zrozumieć kontekst tego zdarzenia?***



eprasa.pl 9e6501059c

Miałem dziewięć lat, gdy doszło do wypadku, jedenaście, kiedy dziadek zmarł. Patrząc, jak cierpiał, rozumiałem tylko, dlaczego bliscy zabronili mi konnej jazdy. Nie dostrzegałem, co jeździectwo znaczyło dla niego, kim stał się dzięki niemu, czego doświadczył, co osiągnął. Także poza budzącymi podziw sportowymi medalami.

***Żałuje pan, że nie umiał wtedy pytać?***

Tak, chociaż miałem ten przywilej – doceniłem to po latach – że spora część rodzinnej historii została utrwalona. Najpierw dziadek spisywał swoje wspomnienia, potem mama nagrała relację do Archiwum Akt Mówionych Muzeum Powstania Warszawskiego. Trochę to trwało, nim w ich losach zobaczyłem nie tylko rodzinne doświadczenie, lecz i szerszą historię.

***Adam Królikiewicz urodził się we Lwowie?***

To była lwowska rodzina. Miał siedmiu braci, ale ponieważ był jednym z młodszych, mocniej odczuł śmierć rodziców. Jako 19-latek postanowił wstąpić do Legionów. Nie umiał wtedy jeździć konno! Dziesięć lat później zdobył w siodle olimpijski medal. Był też oficerem cenionym przez Piłsudskiego. W jego życie wpisało się odzyskanie niepodległości z całym jego politycznym zawirowaniem, ale też utrata rodzinnego miasta. Jego córka, a moja mama, Krystyna Królikiewicz zapisała inny rozdział historii.

***Rocznik 1921, pokolenie Kolumbów...***

Przeszła przez wszystko, co najgorszego mógł nieść jej czas. Pastelowe i radosne dzieciństwo oraz młodość zakończyły się wraz z wkroczeniem bolszewików w 1939 r. Miała wtedy 18 lat. Od 17 września następuje seria dramatycznych i nieprawdopodobnych wręcz historii, które ta młoda dziewczyna, zaangażowana w konspirację, a potem walkę o Warszawę, przeżyła. Kilka razy twarzą w twarz stawała ze śmiercią. Jeśli do tego dołożymy kontekst żydowskich korzeni ze strony pradziadka (Stanisława Lilienstern, który z dla ukochanej Stefanii, z domu Miłobędzkiej, przyjął chrzest), to możemy sobie wyobrazić, co to znaczyło podczas okupacji.

Kiedy patrzę na pokolenia wstecz, nie tylko w swojej rodzinie, widzę wielonarodowościowy tygiel, który zaprzecza idei prawdziwego Polaka, czystej krwi Lechity. Polska była wielkim krajem. Od morza do morza. Ludzie się w niej przemieszczali, napływali do niej i osiedlali się. Przechodziły też przez nią wszystkie możliwe armie. To zostawiało ślad w kolejnych pokoleniach.

***Kiedy postanowił pan także te ślady w przeszłości własnej rodziny odnaleźć?***

Zna pani powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią? Gdyby nie propozycja ze strony wydawnictwa W.A.B., pewnie bym do tego nie usiadł. Jednak w momencie, gdy się do tematu zabrałem; gdy pomysł na „Sagę, czyli filiżankę, której nie ma" zaczął się krystalizować, uświadomiłem sobie, że czas obiektywnie przeszły jest dla mnie czasem teraźniejszym. Dlatego tak często wprowadzam ten czas do narracji.

***Pisze pan, że o kilka spraw przytoczonych w książce udało się jeszcze mamę spytać. A o co, gdyby była taka możliwość, dopytałby pan dziadka?***

Za co otrzymał Order Virtuti Militari. Czy za wojnę 1920 r., czy polsko-ukraińską. Dokumenty, jak większość śladów przeszłości, przepadły – zaginione lub zniszczone w czasie wojny. Przeszukiwałem potem archiwa, nawet zgłosiłem się do kapituły Virtuti Militari, ale nie trafiłem na żadne zapiski.

Dopytałbym też o sekrety, do których jako chłopiec nie mogłem mieć dostępu. Część miłosnych historii dziadek sam przypomniał, inne ewidentnie przemilczał, ale moja babcia musiała o nich wiedzieć. Powiedzmy sobie zresztą szczerze: polscy kawalerzyści byli wielkim obiektem pożądania i parę razy dziadek z tego skorzystał. Mimo to małżeństwo Adama i „Muszki" dożyło niemal jubileuszu 50-lecia.

***Nie ciekawiłoby pana, jacy w bezpośrednim kontakcie byli ludzie, których znamy z podręczników i archiwalnych zapisów?***

Owszem. Przyjacielem dziadka był m.in. wybitny jeździec Henryk Dobrzański, z czasów wojny zapamiętany jako mjr Hubal. Z pewnością w kręgu bliskich znajomych Adama Królikiewicza znajdowali się również przedstawiciele ówczesnej sportowej elity. Obok Kusocińskiego piękna gama znakomitych sportsmenek. Ich nazwiska zostały wygrawerowane na pamiątkowej papierośnicy, którą odziedziczyłem po dziadku. Podpisały się na niej: Walasiewiczówna, Kwaśniewska, Konopacka, Jędrzejowska... Same kobiety. Wiele z nich o nieprawdopodobnie kuszącej urodzie.

***A wojskowi?***

Oczywiście, skład I Pułku Szwoleżerów był elitą elit: Wieniawa, ale i sam marszałek Piłsudski, którego imię nosił pułk, stacjonujący zresztą koło Belwederu. Żurawiejka [krótki, najczęściej dwuwierszowy, żartobliwy kuplet układany dla poszczególnych pułków kawalerii – przyp. red.] nie bez powodu brzmiała: „Chcesz mieć wstęgi i ordery, idź zamiatać Belwedery".

***Podkreśla pan, że dziadek był ulubionym oficerem Marszałka.***

Takie są przekazy, ale też ludzi w tamtym czasie, a szczególnie tych w mundurach – młodych, zaangażowanych, niezwykle walecznych – łączyły trudne dziś do wyobrażenia więzi. Jak mocno przeżywa się, po tylu latach niewoli, wciągnięcie na maszt biało-czerwonej flagi czy odegranie hymnu. Kto to dziś może w pełni zrozumieć.

Jest jeszcze jedna postać, ściśle związana z losem mojej rodziny i życiem dziadka: Adam Sokołowski, który był w narzeczeństwie z moją babcią, wtedy jeszcze Tomisławą Lilienstern. To on siedząc w okopach, pokazał Adamowi Królikiewiczowi zdjęcie pięknej dziewczyny. Za rok była już żoną dziadka. I proszę sobie wyobrazić, że Adam Sokołowski, człowiek wysoko postawiony, szef gabinetu Piłsudskiego, nie zerwał znajomości.



eprasa.pl 9e6501059c

Panowie mimo tego zakrętu uczuciowego przyjaźnili się do końca życia.

***Z fotografii ślubnej podpor. Królikiewicza i Tomisławy, zwanej przez najbliższych „Muszką", wykonanej w grudniu 2019 r. spogląda kobieta podobna do... Grażyny Wolszczak. A może mi się tylko wydaje?***

Wiele osób zwracało mi też uwagę, że Grażyna jest bardzo podobna do mojej mamy. Może to podświadomość zadziałała, gdy się poznaliśmy. Albo było nam pisane być razem. Jak dziadkowi Adamowi i babci „Muszce".

***Zdjęcia są w pana książce portalami do przeszłości. Wokół nich jak w scenariuszu budowana jest historia.***

Wspaniałą przygodą było dla mnie wyobrażanie sobie, materializowanie tamtego świata. Jednostkowe losy wywiedzione z fotografii starałem się wpisać w szerszy kontekst, także obyczajowy.

***Podobno bardzo pomocny okazał się internet. Autor może się do tego bez uszczerbku przyznawać?***

Może, jeśli to elektroniczna sieć doprowadziła go, przez meandry koligacji, pięć pokoleń wstecz. Do nekrologu prapradziadka Marcusa Liliensterna, kupca z Lublina. Idąc tym tropem, w archiwach Żydowskiego Instytutu Historycznego odsłoniłem odciętą rodzinną gałąź. Nieoczekiwane, choć poniekąd przeczuwane, za sprawą szczątkowych rodzinnych doniesień, pokrewieństwo z wielkimi żydowskimi rodami tamtych czasów: Wawelbergów i Rotwandów. Dotarłem też do światowej sławy klawesynistki Wandy Landowskiej, ciotki, która ofiarowała nastoletniej „Muszce" fortepian.

***Sporo miejsca poświęciliśmy w tej rozmowie dziadkowi Adamowi, ale to w życie mamy wpisana jest niełatwa współczesna historia Polski. Zaczęła ją w okupowanej Warszawie i na barykadach Ochoty. Co mówiła o godzinie „W"?***

Że nigdy by się nie wyparła potrzeby walki. Dla jej pokolenia powstanie było oczywiste. Powtarzała mi, że nie dało się go zatrzymać. Równocześnie absolutnie zadawała sobie sprawę z tragizmu tego zrywu i jego kosztów.

Fotografia rodzinna Królikiewiczów, Lwów (1906). Po lewej stronie Adam Królikiewicz w szkolnym mundurku. Odważne spojrzenie wbite w obiektyw. Prawa ręka oparta buńczucznie na biodrze

Fot. Z archiwum rodzinnego autora

***Po wojnie marzyła o graniu?***

Znalazła się w pierwszej ekipie odbudowanego Teatru Polskiego. 17 stycznia 1946 r. odbyła się pierwsza premiera – „Lilli Wenedy". Mama grała w tym przedstawieniu. Po zagraniu roli, która przeszła do historii teatru, czyli Marii Stuart (reżyserem był Iwo Gall), z królewską urodą i odium córki przedwojennego oficera miała bardzo ciężki los.

Spełnienie znalazła w pedagogice. Współpracowała też z Kościołem. Była łącznikiem między światem aktorskim a kard. Stefanem Wyszyńskim. Przedstawił ją ks. Kazimierz Orzechowski, wcześniej przez piętnaście lat aktor, m.in. u Iwo Galla. Prymas bardzo lubił artystów i dwa razy do roku zapraszał ich na uroczyste spotkania. W stanie wojennym mama udzielała się, występując w kościołach. Sprowadziło to na nią kłopoty, chociaż nigdy nie mówiła, że jest kombatantką.

***Nie skarżyła się?***

Miała bardzo ciężkie życie, a jednocześnie niesłychanie była wdzięczna Bogu. Właśnie za to życie. Dała temu wyraz w liście-modlitwie, który jako post mortem umieściłem na końcu książki. Znalazłem go po jej śmierci, w jej bardzo osobistych dokumentach. Miałem nawet wątpliwości, czy go użyć, ale wszyscy mnie na to namawiali.

***Czy wokół takiej bohaterki mając dostęp do tylu wątków, nie warto było zbudować filmowego scenariusza?***

Zbudowałem, ale to książką mogłem jej oddać honor i przedłużyć o niej pamięć.

***Kinowy ekran okazał się za mały? To może serial pomieściłby tak filmowe historie?***

Koszty byłyby zbyt duże, by odtworzyć realia minionych lat i ściągnąć tłumy na stadiony. Zresztą po ubiegłorocznym niemieckim serialu „Babylon Berlin", po prostu genialnym, trudno będzie wejść na wyższy poziom.

***Technologia idzie naprzód. Pomogła panu przy pisaniu książki, może szybciej, niż nam się zdaje, ułatwi tworzenie oprawy potrzebnej do opowieści sprzed lat. Tylko gdzie dziś znaleźć jeźdźców z taką ułańską fantazją, charyzmą i charme'em?***

O! Z polskim jeździectwem jest coraz lepiej.


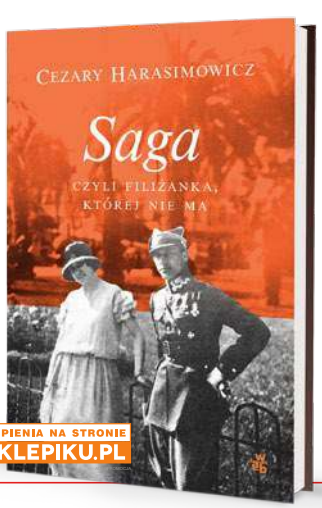


DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Cezary Harasimowicz, „Saga, czyli filiżanka, której nie ma", wyd. W.A.B.




eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Kasia Chmura/Cegielkowska/teatralna.com

# Niepewność i nadzieja

*Iwan Wyrypajew wystawiając Czechowa, znalazł coś w rodzaju złotego środka*

***Przemysław Skrzydelski***

O swoim „Wiśniowym sadzie" Antoni Czechow zanotował niegdyś znamienne słowa: „Miejscami jest to nawet farsa". Zapewne to jedno zdanie pokazuje bezlik kłopotów, jakie narosły wokół dramaturgii mistrza z Taganrogu.

Już na początku XX w. ustaliła się tradycja wystawiania Czechowa, która później przez wiele lat w samej Rosji będzie uznawana za wzorzec tyleż oczywisty, ile wart podważania. Kanon z Moskiewskiego Teatru Artystycznego ustalony przez Konstantego Stanisławskiego, skupiony na realistycznym psychologizmie i ilustracyjnym detalu, stał się szybko zarówno legendą, jak i nieznośnym ciężarem. Wątpić w niego będą latami – głównie tylko teoretycznie – choćby Meyerhold, Wachtangow, Tairow, czyli sami najwięksi twórcy sceny nie tylko rosyjskiej. Reżyserzy zaczną programowo Czechowa unikać, i to nie tyle z powodu chęci podważenia jego statusu jako dramaturga, ile z powodu przekonania, że sam teatr wpędził mistrza w konwencje, z których nie da się go wydostać. Przez długi i wyjątkowy czas lat 20. i 30. autora „Mewy" najzwyczajniej unikano, chociaż jak wiadomo, po prostu nie miał on także szczęścia do historii. Nie pasował do czasu epoki porewolucyjnej, bo skoro taki pesymistyczny, mało ideowy, jego bohaterowie tacy niedookreśleni, to jak można było traktować go jako przewodnika w radosnych czasach. Zapewne sam Czechow zgodziłby się ze wszystkim, ale na pewno nie z tym pesymizmem. I w tym największy problem.

Za to jakieś pół wieku później brytyjski mistrz reżyserii Peter Brook powie, że Czechowowi trzeba pozostać wiernym w każdym słowie i w każdym znaku interpunkcyjnym – a to już wystarczy, by odnaleźć w nim wszystko, co składa się na dramat, który od razu wyłapie zewnętrzne konteksty i nabierze wewnętrznego napięcia w relacjach między postaciami. Nie tylko Brook zresztą to postulował. Wszystko właściwie sprowadzało się do pytania: jak nadać Czechowowi lekkość i pozwolić, by oddziaływał na widza w sposób naturalny, poza dosłownością. Paradoksalnie tego pisarza mogła i może uratować tylko poezja?

Iwan Wyrypajew musiał chyba odrobić wszystkie możliwe lekcje z Czechowa. I postanowił wyciągnąć z nich praktyczne wnioski dla swego teatru, w którym w centrum uwagi pozostaje widz: dramat rozgrywa się na jego oczach, dlatego nic nie może stanąć na drodze komunikacji pomiędzy nim a aktorem, który nie gra, lecz jest medium – między autorem dramatu a widzem. Choć z tym „niegraniem" to u Wyrypajewa już pu-



eprasa.pl 9e6501059c

łapka na starcie, bo podawanie tekstu nie wyklucza budowania interpretacji roli. Jednak ten reżyser sam prowadzi swoistą grę: lubi rzucać programowe deklaracje niczym objawioną prawdę i jednocześnie czeka, kto przyjmie je w skali jeden do jednego. Sporo w tym ironii, również wobec siebie. Przecież „Wujaszek Wania" z warszawskiego Teatru Polskiego także nie trzyma się żadnych reguł niewolniczo i jak najbardziej jest wyrazem teatralnej ironii.

Bo rzeczywiście Wyrypajew zrywa ze Stanisławskim, może i nawet bezlitośnie go wyśmiewa. Pewnie w innym wypadku darowałby sobie opuszczanie kurtyny po każdym z czterech aktów, tak samo jak przed rozpoczęciem każdego z nich nie męczyłby widza powtarzaniem frazy, że oglądamy „Wujaszka Wanię. Sceny z życia ziemian", co tym bardziej śmieszne, że tę formalność majestatycznym głosem wypowiada Andrzej Seweryn, który gra profesora Serebriakowa najbardziej prześmiewczo, jak tylko się da: im bardziej stara się być wyniosły i inteligencki, tym wyraźniej zdradza, że niewiele z życia pojmuje albo raczej że przegrał w życiu więcej, niż nawet Wojnicki jest w stanie mu wyliczyć. Seweryn gra farsę głupca i w tym pozostaje konsekwentny do samego końca; wydaje mi się zresztą, że jego Serebriakowa nam nie szkoda.

Ale wracając do zarysu całości: Wyrypajew nie odrzuca ilustracyjności. I także, umówmy się, nie jest jej wierny; pewnie gdyby miał ochotę, ogołociłby scenę ze wszystkiego. Wybiera inaczej, gdyż to wynik jego kalkulacji: pozostać atrakcyjnym dla widza, który słysząc nazwisko Czechowa, od razu widzi to, do czego go przyzwyczajono: średnio zadbaną posiadłość z rosyjskiej prowincji końca XIX w., za to z wymuskanym na pokaz tarasem. No i dookoła piękna przyroda – żeby w duszy grało. To już Czechow jak wymalowany na obrazku.

A zatem chcieliście, to macie – zdaje się mówić Wyrypajew. Dom Wojnickiego z trzech stron osłaniają sosny tak gigantyczne, że zdają się przestrzennym kuriozum nawet jak na rozmiary pokaźnej sceny Szyfmana. Dwie z nich bodaj dotykają głównych reflektorów; odnosi się wrażenie, że nawet lekko się kołyszą, co byłoby naturalne, ale zapewne ich czubki podwiązano do sztankietów, by chyba w ten sposób zabezpieczyć bohaterów przed ostatecznym pogrzebaniem...

W czym zaś tkwi ten mały detal, który byłby drugą, ironiczną częścią kalkulacji Wyrypajewa? Może w tym, że w „Wujaszku Wani", a tym bardziej w wykorzystanym przekładzie Iwaszkiewicza, mowa jednak o topolach. Też potrafią być wysokie, ale może nie aż tak chwytają ze serce? Przed premierą reżyser marzył o wzbudzeniu zachwytu. Wszystko się zgadza.

O celowym wywoływaniu przez Wyrypajewa pojęciowego zamętu można powiedzieć sporo; po co np. w przedstawieniu jeszcze jedna informacja, jakiego autora i jaki tytuł oglądamy, wywieszona jako pobłyskujący neon ponad sceną. To tautologia jako zgryw z własnych przemyśleń czy deklaracja skrupulatności w pilnowaniu samego siebie jako reżysera? Wyrypajew chce być autentyczny za wszelką cenę, ale przecież już na pierwszy rzut oka wszystkiego tu za dużo, jak w supermarkecie, w którym ten sam towar nazywa się na dziesiątki sposobów, no i jak w nowoczesnym teatrze, który ten twórca praktycznie odrzuca.

Liczy się jednak przede wszystkim nowy sposób prowadzenia postaci, nawet nie grania, lecz właśnie prowadzenia przez kolejne frazy dramatu – jakby miały się ułożyć w dobrze brzmiącą i już znaną melodię. Może nieświadomie, ale Wyrypajew wykonuje zalecenia Brooka i gdyby coś w tej konstrukcji pękło i, powiedzmy, Karolina Gruszka jako Helena przestawiła przecinek w mniej trafne miejsce zdania, jej dialogi z Sonią (Ewelina Pankowska) może nie okazałyby się w istocie walką o Astrowa (Maciej Stuhr). W tym chyba widać istotę sprawy: tylko dialog jako taki odpowiada za psychologię i pomyli się każdy, kto powie, że celowo reżyser jej unika. Brak metody Stanisławskiego nie oznacza braku psychologii. To co innego – ona napędza się sama, bo wystarczy odczytać przestrzeń między kropką postawioną przez Astrowa a pierwszym słowem Heleny i puenta staje się jasna. Proszę uważnie poobserwować tę fenomenalną scenę, gdy Maciej Stuhr przed tablicą z rysunkami tłumaczy Karolinie Gruszce, ile to lasu w powiecie głupcy zdążyli wyciąć przez 50 lat. Gdy nagle błahostka przeradza się w tragedię człowieka. Poza tym – kolejna to przewrotność Wyrypajewa – jak to możliwe, że Stuhr z doklejonym wąsem staje się najbardziej tragiczny ze wszystkich? Niektórzy utrzymują, że „Wujaszek Wania" to dramat bardziej o Astrowie niż o Wojnickim, i dużo w tym dzięki aktorowi racji. Nie mam wątpliwości, to najważniejsze sceniczne osiągnięcie Macieja Stuhra od czasu jego pierwszych ról w teatrze Krzysztofa Warlikowskiego: w „Aniołach w Ameryce" (2007) i „Końcu" (2010).

Dariusz Chojnacki z kolei gra Wojnickiego rozdygotanego, który swój niepokój utrzymuje w ryzach poprawności poczciwca, który jeszcze próbuje się powstrzymać przez zanegowaniem całego świata. Wojnicki nerwowo chowa ręce w kieszeniach, w końcu gdy nadchodzi pamiętna scena z Serebriakowem, wybucha, choć i tak oczywiście niewiele zmieni. Zaskakujący jest Dariusz Chojnacki w swej nad wyraz przemyślanej i wyraźnej roli.

W kontekście nie tylko „Wujaszka Wani", lecz i pozostałych dramatów Czechowa mówi się, że opisują świat chwilę przed katastrofą; nie jest istotne to, jaka ona dokładnie będzie, ale właśnie to, że trudno jej nie wyczuć. Postaci pisarza z Taganrogu same sobie przeczą, zatem musi to doprowadzić do jakiejś zmiany, zachwiania rzeczywistości. Helena w pewnym momencie powiada, że niepewność jest rzeczą lepszą niż strach, bo zawsze jeszcze zostaje nadzieja. Miejmy nadzieję, że cały świat nie zwali się im i nam na głowy, choć patrząc na świetny spektakl Wyrypajewa...

Antoni Czechow
„Wujaszek Wania"
reż. Iwan Wyrypajew
Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana
w Warszawie (Duża scena)
premiera: 9 grudnia 2017



eprasa.pl 9e6501059c

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

# Strach przed komputerem

Jestem kingologiem. Czytam książki pana Stephena od momentu, gdy pojawił się na polskim rynku, oglądałem też znaczną większość z setek(!) adaptacji, na których autor zarabia grube miliony

Ale moje najukochańsze powieści pochodzą z lat 70., 80. Próba pisania niemal co roku nowego sążnistego dzieła nie zawsze kończy się czytelniczym olśnieniem. Książki są coraz grubsze i bardziej powtarzalne. King kopiuje sytuacje, postaci, skojarzenia. Na dokładkę od początku zaangażowany w lewicową wizję świata, dziś bywa politrukiem. Jego wstawki o doli kobiet czy gejów stają się nieznośną publicystyką.

A jednak z tkliwego przywiązania trudno się uwolnić. To on stworzył nowoczesny, ambitny horror. A ja wciąż go kupuję.

I „Pana Mercedesa" z roku 2014 przeczytałem z zaciekawieniem. Coraz częściej King rezygnuje z wampirów i zjaw na rzecz klasycznych thrillerów, w których ściga się bardzo złych ludzi.

Tu zaczyna się po Hitchcockowsku. Sadysta wjeżdża skradzionym autem w tłum bezrobotnych czekających na otwarcie giełdy pracy. A potem korzystając ze swoich niezwykłych umiejętności technologicznych, prowadzi grę z emerytowanym inspektorem Hodgesem, który go nie złapał.

Zrobiono z tego 10-odcinkowy serial, pokazał go Canal+. Twórcą jest David E. Kelley, doświadczony spec od seriali (i mąż Michelle Pfeiffer). Akcja toczy się nieśpiesznie, mamy to, czego mi trochę brakło w polskim drugim „Belfrze" – nie tylko suspensy, zwroty akcji, lecz i spokojnie rysowane kontury postaci. Zdaje się, że takie wolno rozwijające się opowieści, w których gliniarz boryka się z alkoholizmem, poczuciem bycia w emerytalnej odstawce, rodzinnymi traumami i ostatnimi miłosnymi pokusami, mają wielbicieli. To zaprzeczenie układanek w stylu gier komputerowych.

Stephen King trochę się doigrał. Mój znajomy z Facebooka narzekał na ideologiczny schemat „Mercedesa". Zły charakter to młody biały, walczą z nim m.in. kobiety z problemami i genialny, też młody Murzyn. Coś jest w tej uwadze, choć te schematy się komplikują. Lesbijka, której współczujemy, jest – do czasu – jedyną przyjaciółką złego charakteru. To dla niej zabija on homofoba. A tęsknotę do starych wartości personifikuje uparty irlandzki policjant, ulubiona figura konserwatystów.

Warto jednak zauważyć, że przy masowości popkultury widzowie szukają takich prawidłowości i czasem ich one denerwują. Płodny pisarz może tyleż walczyć ze stereotypami, ile je budować. Dopiero co King wraz z synem napisał feministyczny manifest „Śpiące królewny".

Tylko że „Pan Mercedes" jest jednak o czymś innym. Serial nawet uatrakcyjnił niektóre wątki, ale to w powieści nawet mocniej czuje się grozę potęgi współczesnej technologii. Morderca Brady jest najstraszniejszy nie wtedy, gdy wjeżdża w tłum samochodem, lecz kiedy dręczy bohaterów komputerowymi sztuczkami. Pojawia się refleksja na temat totalnej inwigilacji.

Na koniec jeszcze uwaga. Brendan Gleeson jest świetny jako przysadzisty, nieuporządkowany, daleki od mitu policjant. Ale to Harry Treadaway jako psychol kradnie mu show. W książce Brady jest bardziej jednowymiarowy. Tu młody aktor (wcześniej świetny Doktor Frankenstein z serialu „Dom grozy") potrafi wzbudzić do siebie nawet coś w rodzaju upiornego współczucia – wbrew logice akcji. Czy taka była intencja, czy to wynik charyzmy aktorskiej? Kolejny paradoks popkultury.

***Piotr Zaremba***



65/1017/F

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

| Sponsor Strategiczny | Sponsor Generalny | Sponsor | Sponsor Kolekcji Olimpijskiej | Główny Partner Medyczny | Oficjalny Przewoźnik | Partnerzy PKOl | Partnerzy Medialni PKOl |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| ORLEN | LOTTO | TAURON | 4F | GRUPA LUXMED | LOT | Deloitte. COLUMNA MEDICA | RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT |

eprasa.pl 9e6501059c

# Najmłodsze państwo najstarszej dynastii

*Imperium Habsburgów jak mało która z XIX-wiecznych potęg ma swoją złotą i czarną legendę – nie przypadkiem może, skoro barwy urzędowe tego państwa były właśnie takie: czarno-złote, z czego brał się zapomniany dziś epitet „Szwarcgelbów”*

**Wojciech Stanisławski**

Czarną legendę – plebejską, socjalistyczną i „narodowo-wyzwoleńczą”, pacyfistyczną i „anty-Filidorową”, drwiącą z tytułomanii i rytuałów – kultywują wszyscy, którym miłe są drwina, sarkazm, błysk krzywego zwierciadła. Oczywiście z umiarem, bo świadków epoki już brak, wiele od tego czasu pojawiło się nowych namaszczeń i libertyni mają już bez liku nowych bohaterów, niepotrzebny im Franciszek Józef i jego bokobrody. A jednak śmiech brzęczy ciągle; prawdziwy antypapież kultu Tronu i Ładu, Jaroslav Hašek i jego opus magnum „Przygody dobrego wojaka Józefa Szwejka” napisane po dezercji z C.K. Armii i po powrocie z bolszewickiej niewoli od stu lat święcą triumfy, w oryginale, w przekładach (w Polsce już trzech) i na ekranach, a drwina ze stosowanych kapeluszy, szpad, papuzich piór, weteranów, idzie przez literatury wszystkich krajów, które posyłały swoich posłów do parlamentu w Wiedniu – od Mrożka, przez Hrabala, po chorwackiego Miroslava Krležę.

Tyle że równie łatwo o odsiecz, o szybkie kontruderzenie huzarów śmierci (nie przypadkiem ta formacja wojskowa powstała właśnie w C.K. Armii!), o świadectwa pisarzy, którzy uznawali cesarstwo za najdoskonalszy twór Europy – za państwo, które heroicznie sprzeciwiało się nowoczesności (z jej koszmarami biurokracji i standaryzacji), które strzegło indywidualności, honoru, niepowtarzalności ludzkiego życia, ba, tajemnicy. Takim kontruderzeniem dowodziłby, bez wątpienia, Joseph Roth – Żyd i katolik, komunizujący monarchista, dziennikarz i powieściopisarz, kosmopolita rodem z Brodów, który już zawsze czuł się bezdomny, odkąd, jak pisał, „upadło wielkie państwo, jedyna ojczyzna, jaką kiedykolwiek posiadałem, wielka dualistyczna monarchia austro-węgierska”. Pozostał mu wierny, krążąc między Berlinem, Paryżem a Ostendą, z niesmakiem opisując kolejne ruchawki, pogromy i przewroty wojskowe, przy karafce koniaku pisząc powieści, o które do dziś można ostrzyć pióro, aż rozpacz i marskość wątroby wykończyły go rok przed II wojną światową.

Za Rothem, biegnąc po darni, z karabinem wystawionym do przodu, niczym na komendę „Bajonett Auf!” biegliby bez lęku bohaterowie jego powieści – hrabia Chojnicki, porucznik von Trotta i Nikołaj Tarabas, ale i wszyscy pisarze, którzy podzielali rozpacz Rotha, jego przeczucie, że wraz z Austro-Węgrami upadło ostatnie państwo, w którym ludziom dany był indywidualny los, zdarzały się cuda, a Cesarz panował niby słonecznik: Józef Wittlin, Stefan Zweig, Andrzej Kuśniewicz, Franz Kafka. Jeśli sądzić z niektórych listów, również Eric Blair, bardziej znany jako hiszpański republikanin, a i Herbert, a i Lem, a i Sándor Márai, i Claudio Magris stanęliby w obronie tamtego ładu.

Pieter M. Judson, holenderski badacz XIX i XX w. wykładający we Florencji, historyk chłodny i modny, nie zamierza stanąć w żadnym z tych szeregów, więcej: twierdzi, że dylemat, jakiego doświadczają nieraz czytelnicy Haška i Rotha, jest fałszywy. Jego zdaniem imperium Habsburgów nie było „więzieniem narodów” – dysfunkcyjną, nieporadną machiną, oddaną we władanie oberfelkuratów-ateistów, profosów-sadystów i Latrinengenerałów.

Nie było też jednak, zapewnia holenderski badacz, niepojętą „sztolnią czasu”, w której nadal obowiązywały XVIII-wieczne pojęcia honoru, narzeczeństwa i osobistej odpowiedzialności za państwo, w którym władca mógł sobie pozwolić na konsekwentne ignorowanie nie tylko samolotów i automobili, lecz nawet karabinów ładowanych odtylcowo, a umiejętność właściwego poprowadzenia walca mogła się okazać decydująca dla późniejszej kariery ministerialnej.



eprasa.pl 9e6501059c

Nie – zapewnia Judson. Imperium Habsburgów było jego zdaniem wyjątkowo ciekawym przykładem skutecznej modernizacji państwa wielonarodowego, jego unifikacji (przynajmniej w porównaniu z wiekiem XVIII) przy zachowaniu standardów i zasad federalnych. Było jedynym w Europie przełomu XIX i XX w. (a, dalibóg, i później) państwem prawdziwie wielojęzycznym na poziomie zarówno formalnym, jak i faktycznym: oficjalną korespondencję wolno było prowadzić w jedenastu językach monarchii, pułki dwujęzyczne należały do standardów, trójjęzycznych było kilkanaście, Najjaśniejszy Pan zaś władał ośmioma z dialektów monarchii.

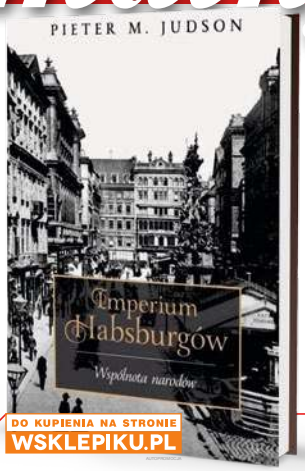


DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Pieter M. Judson, „Imperium Habsburgów. Wspólnota narodów", Bellona, 2017

Było to państwo, w którym monarcha, gorliwy katolik, pod koniec procesji umywał stopy żebrakom, zarazem słynąc jako protektor judaizmu, Kościoła luterańskiego i grekokatolickiego, ustawy zaś regulujące kwestię autonomii uniwersytetów były wzorem dla Anglików. Było to też państwo, które od zera stworzyło nowoczesną infrastrukturę kolejową, system ubezpieczeń, kredytów, przemysł zbrojeniowy i najnowocześniejsze w świecie kliniki. Nie, nie były Austro-Węgry „więzieniem narodów rozsadzonym przez dążenia narodowowyzwoleńcze", jak uczono nas przez dziesiątki lat: było jedynym tak udanym eksperymentem federalistycznym w Europie, upadłym pod potrójnym ciśnieniem prywacji Wielkiej Wojny (w tym blokady), populizmu oraz ambicji lokalnych elit.

Nie jest to może aż tak proste, Austro-Węgry w niepojęty sposób potrafiły łączyć anachronizm z nowoczesnością. Książka ukazująca je jako pomysł na uporządkowanie Europy Środkowej, jakiego od tamtego czasu nie udało się już osiągnąć, chroni tamto państwo przed wieloma pomówieniami – a co więcej, pozwala nam w odpowiednim świetle dostrzec mizerię dzisiejszych federalizmów.

# Anegdoty o Wiesławie

Piotr Gajdziński, publicysta „Odry", autor „Polityki", a ostatnio portalu NaTemat.pl, ma łatwość tworzenia odrobinę zbyt efektownych na mój gust tytułów, które pozwalają mu jeszcze lepiej sprzedać popularnonaukowe, obfitujące w anegdoty biografie. Bodaj najlepszą był „Gierek. Człowiek z węgla", ale i biografii Jaruzelskiego („Czerwony ślepowron") oraz wydanej właśnie – Gomułki („Dyktatura ciemniaków") nie sposób odmówić atrakcyjności. Te książki będą się rzucać w oczy, tym bardziej że i tytuły poszczególnych rozdziałów są należycie podkręcone („Towarzysz Tłumacz", „Towarzysz Agronom", i tak dalej, aż po „Sk...wioną Polskę").

Czy uzyskaliśmy pracę ważną? Sporo w bibliografii opracowań niekoniecznych, brak kilku prac, wydawałoby się, niezbędnych. Całe bez mała rozdziały są opowiadane za pomocą wspomnień jednego bohatera, umiejętnie posiekane na akapity. Do cna zostały wykorzystane „Pamiętniki" Gomułki, źródło, po które dość rzadko się sięga. Do tego Głowacki, Kisielewski, Dąbrowska, Mycielski – autorzy dzienników, dzięki którym można barwnie opowiedzieć każdy bez mała epizod z lat 60. Prawda też, że socnostalgia do dziś najlepiej wybrzmiewa, jeśli idzie o lata 60.: do czasów interwencji w Czechosłowacji, Ryszarda Siwca, a później Grudnia, nikt przecież nie zginął z rąk władzy, a i wszelkie próby westernizacji były najłatwiej widziane na siermiężnym tle.

Tę książkę dobrze się czyta, tyle że pozostaje wrażenie natłoku pojedynczych scen z działalności Gomułki w Polsce, szczególnie może wydarzeń i konfrontacji z czasów PPR, czasem efektownie spuentowanych przez autora, bez prób stworzenia całościowej oceny najdłużej panującego z pierwszych sekretarzy. Nie znajdziemy również odpowiedzi na pytanie o największy może „sekret Gomułki": że wstrzymał sowiecką interwencję jesienią 1956 r. z chińskim poparciem, to jeszcze mieści się w głowie. Ale jaka była jego wizja polskiej racji stanu przez te lata? Czy pozostawał beztroski i samozadowolony, jak podczas jednego z wielu rautów z Chruszczowem, z którego zachowało się zdjęcie „Wiesława" w białym golfie – czy raczej jak na wymownym szkicu do karykaturalnego portretu kulił się, zatroskany, w jesionce i z flagą, niemal porywany przez wiatr?

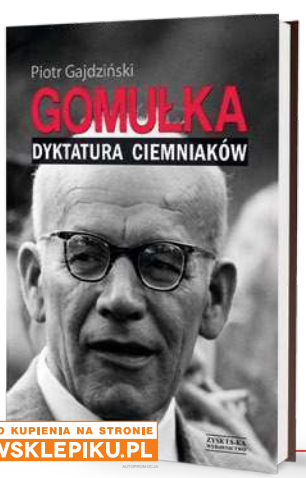


DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Piotr Gajdziński, „Gomułka. Dyktatura ciemniaków", wyd. Zysk i S-ka, 2017

Odpowiedzi na takie pytania nadal jednak lepiej szukać w „Poczcie pierwszych sekretarzy" pióra Jerzego Eislera. Nawet jednak jeśli ją znajdziemy, pozostanie żal, że pół wieku naszych dziejów w takim stopniu jest zdeterminowane – i tego już nie zmienimy – przez kilku drugorzędnych satrapów, którzy nieuchronnie pozostają bohaterami masowej wyobraźni.



eprasa.pl 9e6501059c

Adamski poleca

# Urocza i mądra komedia!

Kino

A więc można jeszcze nakręcić świeżą, zabawną i wzruszającą komedię romantyczną, która mimo bazowania na wszystkich schematach tego rodzaju kina nie razi wtórnością. „I tak cię kocham" jest też oparta na prawdziwej historii z życia komika Kumaila Nanjianiego, współscenarzysty filmu.

Urodzony w Pakistanie Nanjiani (w tej roli on sam) odrzuca życie wiernego muzułmanina. Boi się jednak powiedzieć konserwatywnym rodzicom, że nie tylko nie modli się do Allaha, lecz również nie zamierza brać aranżowanego przez rodzinę ślubu. Matka podczas cotygodniowego obiadu przyprowadza kolejne wybranki, Kumail zaś po odbębnieniu rytuału wraca do szukania swojego american dream. Chłopak chce być komikiem i wraz z grupą przyjaciół występuje w małych klubach w Chicago. W jego życiu pojawia się ona – Amerykanka Emily (Zoe Kazan). Choć oboje deklarują, że nie chcą poważnego związku, zakochują się w sobie po uszy. Kumail wie jednak, że związek z niewierną spowoduje wyklęcie przez rodzinę. Na dodatek pojawia się choroba.

Znów to samo? Miłość pokonuje wszystkie trudności, gdy się do niej dojrzeje, a nadziei nie można nigdy porzucać? Owszem, ale jest to podane na tyle uroczo i inteligentnie, że przykuwa do fotela. Choć film opowiada o środowisku stand-uperów, to więcej jest tutaj inteligentnej ironii niż typowych dla stand-upu wulgaryzmów. Niemniej twórcy nie unikają łamania norm poprawności politycznej (żarty z muzułmanów i ISIS). Film promuje także wymarzony model amerykańskiego multikulti, w którym amerykańskie wartości mogą współistnieć z każdą religią. To jednak wymaga transformacji samego islamu.

Między głównymi postaciami szybko rodzi się aktorska chemia. Przekonująco w rolach rodziców Emily wypadają Holly Hunter i Ray Romano, którzy na drugim planie stworzyli obraz zmagającego się z problemami dojrzałego związku.

Mądre i zabawne kino z banalnym, ale jakże potrzebnym nam wszystkim przesłaniem: miłość wszystko wybacza.

**„I TAK CIĘ KOCHAM",**
**REŻ. MICHAEL SHOWALTER, DYSTR. GUTEK FILM**

# Królowa nie tylko Polski

Książka

Książki duetu Rosikoń/Górny stały się bardzo mocną marką. Po serii wspaniałych albumów, które podbijają nawet USA, teraz dostajemy opowieść o Królowej Polski. Królowa ma swój tron w Częstochowie, gdzie przez wieki katolicy oddają jej pokłon. Grzegorz Górny w fascynującej historii Jasnej Góry pokazuje, że nie da się bez tego miejsca zrozumieć dziejów Polski. Nie jest to kolejna nudnawa, pisana na kolanach konfesyjna książka religijna. Górny to rasowy reportażysta, więc interesuje go zbadanie tematu. Jest też człowiekiem głębokiej wiary i nie ukrywa, jaki cel przyświeca jego pracom. Górny wnikliwie eksploatuje temat, Janusz Rosikoń zaś wzbogaca go przepięknymi zdjęciami. Dla mnie najistotniejsze w tej książce jest spojrzenie na Królową z pozycji historii zbawienia ludzkości. To ważne w czasach, gdy iskra wiary ratującej chrześcijańską cywilizację może wyjść właśnie z Polski.

**„KRÓLOWA. MATKA BOŻA Z JASNEJ GÓRY",**
**GRZEGORZ GÓRNY, JANUSZ ROSIKOŃ,**
**WYD. PAULINIANUM**

*Skala ocen:* rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 9e6501059c

**Łukasz Adamski**
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

# Dlaczego w tym zagrałeś, Al?

Wszystko w tym filmie jest złe, na czele z polskim tytułem, nie wiedzieć dlaczego nawiązującym do arcydzieła Fritza Langa. „Hangman", czyli u nas „M jak morderca" to również przykład rozdrabniania własnej legendy przez takich mistrzów jak Al Pacino.

Hangman" jest zlepionym z klisz, pozbawionym najmniejszej oryginalności policyjnym filmem. Takie obrazy powstawały masowo po sukcesie „Siedem" Davida Finchera. Seryjny morderca, wymyślne sposoby uśmiercania ludzi, religijny podtekst, starzejący się doświadczony policjant i jego młodszy partner z osobistymi problemami – ileż razy to widzieliśmy!

Nie jest problemem samo opowiadanie wyeksploatowanej historii, jeżeli ma się pomysł na jej oryginalne ujęcie. Niestety reżyser Johnny Martin zachowuje się, jakby przeniósł się w czasie do połowy lat 90. XX w., gdy nie było „Zodiaka", serii „Millennium" czy seriali „True Detective" i „The Following". Gdyby Martin miał talent, mógłby zrobić film akcji bazujący na sentymentalizmie do kina tego okresu. „M jak morderca" wyłącznie drażni dziurami logicznymi rozmiarów Wielkiego Kanionu i bezwstydnym naśladownictwem. Każda kolejna scena zdumiewa wtórnością. Kluczowy dla kina o seryjnych mordercach finał – o zgrozo! – niezamierzenie popada w autoparodię.

Nie jest to nawet jeden z tych filmów, które ratuje legendarna gwiazda. Al Pacino jest tutaj zblazowany niczym Nicolas Cage w 90 proc. filmów, w jakich gra od kilkunastu lat, by wyjść z potężnych długów. Pacino w jednej scenie daje aktorski popis, który i tak jest popłuczynami po jego pamiętnych rolach w takich policyjnych thrillerach jak „Morze miłości" Beckera czy „Bezsenność" Nolana.

„»M jak morderca« podobnie jak »Siedem« zabiera widzów w przerażającą i makabryczną podróż, wprowadzając ich do mrocznego świata seryjnego mordercy" – reklamuje tytuł dystrybutor. Ten opis jest niemal prawdziwy. „M jak morderca" jest... przerażająco i makabrycznie głupi.

**„M JAK MORDERCA", REŻ. JOHNNY MARTIN, DYSTR. AKSON**

Kino

## Żenada

DVD

Niegdyś ostra jak brzytwa Amy Schumer podzieliła los koleżanek i kolegów od stand-upu, którym się wydaje, że ich ego uratuje najdurniejszy scenariusz. Nic bardziej mylnego. „Babskie wakacje" wyglądają jak bezczelna próba wyłudzenia od widzów pieniędzy. Macherzy z Hollywood naprawdę uważają, że do zrobienia hitu wystarczy zestawić sezonową gwiazdkę (Schumer) z przebrzmiałą gwiazdą (Goldie Hawn) i umieścić je w tropikalnym klimacie Ameryki Południowej? Ten przepis jest naprawdę nieświeży. „Babskie wakacje" to nudna komedia z całą masą niesmacznych żartów, które sprawdzają się na scenie przed żywą publiką, ale żenują na ekranie. Rozumiem, że Schumer na scenie leczy kompleksy, obśmiewając niedoskonałości własnego ciała, jednak nawet hardcore'owa zabawa tematyką kobiecej seksualności nie może wzbudzać odruchu wymiotnego. To obraza płci pięknej. Co z tego, że obraza dokonana przez kobietę?

**„BABSKIE WAKACJE", REŻ. JONATHAN LEVINE, DYSTR. IMPERIAL-CINEPIX**

*Skala ocen:* dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Shutterstock

# Musimy bronić chrześcijańskiej kultury

*Spoglądając w rok 2018, możemy stwierdzić, że dopóki na czele kraju stoi rząd narodowy, dopóty roztropnie, z pokorą, ale bezkompromisowo będziemy pracować na rzecz tego, by nasza Ojczyzna pozostała krajem węgierskim o chrześcijańskiej kulturze. Uczynimy też wszystko, by także Europa pozostała europejska – powiedział Viktor Orbán w orędziu z okazji świąt Bożego Narodzenia, którego tekst publikujemy*

My, Europejczycy – przyznając się do tego lub nie, świadomie czy nieświadomie – żyjemy w kulturze ukształtowanej na fundamencie nauki Chrystusa. Przywołam tu znane powiedzenie naszego pierwszego po komunizmie premiera, Józsefa Antalla: „W Europie nawet ateista jest chrześcijaninem".

My, Węgrzy, w sposób uprawniony uważamy siebie za naród chrześcijański. Nasz ojczysty język, poprzez który zrozumieliśmy i tworzyliśmy rzeczywistość, nie jest spokrewniony z żadnym europejskim narodem. Ma to też swoje wartościowe konsekwencje.

Od naszego poety Mihályа Babitsa wiemy, że duch węgierski narodził się ze spotkania naszego przyniesionego ze Wschodu charakteru oraz chrześcijańskiej kultury Zachodu. Stąd zaś, możemy dodać, pochodzi węgierski sposób patrzenia na świat oraz nasz sposób myślenia. To spotkanie jest też przyczyną wielu trudności, niezrozumienia, osamotnienia, jak i – od czasu do czasu – poczucia wyobcowania.

Mimo to nasza chrześcijańska tożsamość i żywa wiara zachowały nas przez tysiąc lat w sercu Europy. Dlatego aż po dziś możemy żyć w kulturze naszego języka ojczystego i jesteśmy dumni z tego, że naród nasz swoimi tysiącletnimi osiągnięciami wniósł swój wkład w rozwój Europy.

Zgodnie z Ewangelią wg Marka drugie przykazanie Chrystusa brzmi następująco: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Obecnie w Europie ten Chrystusowy nakaz jest często przytaczany. W ten sposób chce się zrobić nam zarzut, że choć uważamy się za chrześcijan, nie chcemy, co więcej, nie pozwalamy, by w Europie zamieszkały miliony ludzi przybywających z innych kontynentów.

Zapomina się jednak o drugiej części tego przykazania. Wszak lekcja składa się z dwóch części: mamy kochać naszych bliźnich, ale mamy też kochać samych siebie. Kochać samych siebie oznacza i to, by podejmować odpowiedzialność oraz bronić tego wszystkiego, czym i kim jesteśmy.

Kochać samych siebie oznacza, że kochamy naszą Ojczyznę, nasz naród, naszą rodzinę, węgierską kulturę i europejską cywilizację. W tych ramach rozkwitła i wciąż na nowo może rozkwitać nasza wolność, węgierska wolność.

Poprzez wieki żyliśmy tak, jak mogliśmy: węgierska wolność była jednocześnie rękojmią wolności Europy. Z tą świadomością misji stawialiśmy czoło w czasie podbojów prowadzonych przez Imperium Osmańskie, to wkładało miecz w ręce naśladowców Petőfiego i to też dawało odwagę peszteńskim chłopakom w 1956 r.

Nasza konstytucja opisuje to tak: „Jesteśmy dumni z tego, że nasz król święty Stefan przed tysiącem lat zbudował państwo węgierskie na twardych fundamentach i uczynił naszą Ojczyznę częścią chrześcijańskiej Europy. Uznajemy rolę chrześcijaństwa jako siły utrzymującej naród".

Wyznaczając granice naszej tożsamości, określamy chrześcijańską kulturę jako źródło naszej dumy i siły przetrwania. Chrześcijaństwo stanowi kulturę i cywilizację. W nim żyjemy. Nie chodzi tu o to, ilu ludzi uczęszcza do kościoła lub ilu szczerze się modli.

Kultura jest rzeczywistością codzienności. Tego, jak mówimy, jak się zachowujemy wobec siebie, jaki dystans



eprasa.pl 9e6501059c

zachowujemy w stosunku do innych, jak się do nich zbliżamy, jak przychodzimy na ten świat i jak z niego odchodzimy. Dla ludzi cywilizacji europejskiej chrześcijańska kultura określa zasady codziennej moralności. W sytuacjach granicznych to ona wyznacza miarę i kierunek.

Chrześcijańska kultura wyznacza nam drogę pośród sprzeczności życia. Określa nasze pojmowanie sprawiedliwości i niesprawiedliwości, pojmowanie relacji mężczyzna–kobieta, pojmowanie rodziny, sukcesu, pracy i honoru.

Nasza kultura jest kulturą życia. Punktem wyjścia, alfą i omegą naszej filozofii życiowej jest wartość życia, otrzymana od Boga godność każdej osoby – bez tego nie bylibyśmy nawet w stanie docenić „praw człowieka" ani im podobnych współczesnych pojęć. Dlatego wydaje się nam wątpliwe, czy można je eksportować do życia cywilizacji zbudowanych na innych fundamentach.

Obecnie atakowane są podstawy europejskiej cywilizacji. Zagrożona została cała oczywistość europejskiego życia; chodzi o rzeczy, nad którymi nie trzeba się zastanawiać, tylko je czynić. Istota kultury tkwi właśnie w tym, że jeśli nie jest zrozumiała sama przez się, wtedy my, ludzie, tracimy punkty zaczepienia.

Nie będzie czego się uchwycić, nie będzie wzorca dla naszych zegarów ani punktu odniesienia dla naszych kompasów. Niezależnie od tego, czy chodzimy do kościoła, czy nie, a jeśli tak, to do jakiego, nie chcemy obchodzić świętego wieczoru Wigilii za zasuniętymi zasłonami, aby tylko nie zranić wrażliwości innych.

Nie chcemy, by zmieniano nazwy naszych bożonarodzeniowych kiermaszów. I w żadnym wypadku nie chcemy się chować za betonowymi barierami. Nie chcemy, by nasze dzieci pozbawiono radości oczekiwania na św. Mikołaja czy aniołka. Nie chcemy, by odebrano nam święto Zmartwychwstania.

Nie chcemy, by nasze nabożeństwa odbywały się w atmosferze niepokoju i lęku. Nie chcemy, by w tłumach witających Nowy Rok napastowano nasze żony i córki.

My, Europejczycy, jesteśmy chrześcijanami. To nasze dziedzictwo, tak żyjemy. Dotąd było dla nas czymś naturalnym, że Jezus się rodzi i umiera za nas, by zmartwychwstać. Nasze święta są dla nas zrozumiałe same przez się i oczekujemy od nich, by nadawały sens naszej codzienności. Kultura podobna jest do systemu odpornościowego ludzkiego ciała: dopóki działa, nie zdajemy sobie nawet z tego sprawy. Zauważamy go – i wtedy staje się dla nas czymś ważnym – kiedy słabnie.

Gdy retuszują krzyże, gdy z pomnika Jana Pawła II chcą zdjąć krzyż, gdy pragną, byśmy zmienili porządek naszych świąt, wtedy każdy obywatel Europy, który ma sumienie, głośno zaprotestuje. Również ci, dla których – jak bardzo trafnie określił to Gyula Juhász – chrześcijaństwo to „tylko pogaństwo święconej wody". Również ten, kto jak Oriana Fallaci, będąc „chrześcijaninem-ateistą", boi się o Europę.

Dziś pod ostrzałem znalazły się fundamenty naszego życia, porządku naszego świata. System immunologiczny Europy jest świadomie osłabiany. Są tacy, którzy pragną, byśmy przestali być tymi, którymi jesteśmy. Chcą, byśmy stali się takimi, jakimi nie chcemy być. Chcą, byśmy wymieszali się z ludami przybywającymi z innych części świata i stali się kimś innym, aby to wymieszanie odbywało się bezproblemowo.

W blasku bożonarodzeniowych świateł jasno widać, że ci, którzy atakują chrześcijańską kulturę, grają na zniszczenie Europy. Chcą odebrać nam nasze życie i podmienić na coś, co nim nie jest. W zamian za nasze dotychczasowe obiecują nowe, bardziej „oświecone".

To jednak jest utopią, destylatem nie rzeczywistego życia, ale oderwanych od niego, abstrakcyjnych, filozoficznych myślowych kreacji. Utopie są jak sny, które mogą być cudowne, dlatego pociągające, ale i jak sny zagmatwane, niezrozumiałe, mroczne oraz pozbawione sensu. Nie można w nich ani żyć, ani zrozumieć, o co w nich chodzi.

Nie twierdzimy, że kultura chrześcijańska jest najdoskonalsza. Właśnie to jest kluczem do chrześcijańskiej kultury, że zdajemy sobie sprawę z niedoskonałości, również z naszej własnej. Nauczyliśmy się jednak z tym żyć, czerpać z tego natchnienie i siłę napędową. Właśnie dlatego od wieków my, Europejczycy, staramy się czynić świat lepszym.

Dar niedoskonałości polega wszak na tym, że mamy możliwość poprawy. Nawet i tę możność chcą nam odebrać ci, którzy poprzez obietnicę pięknego, nowego, wymieszanego świata chcą teraz zburzyć wszystko to, za co nasi przodkowie oddawali – jeśli trzeba było – swoją krew, a co my mamy w obowiązku przekazać jako dziedzictwo potomnym.

Przez pewien czas o tym zapomniano, ale dziś coraz częściej słyszę na nowo, że ojcowie założyciele Unii Europejskiej przed 60 laty wyznaczyli kierunek. „Europa będzie chrześcijańska albo jej nie będzie" – powiedział Robert Schuman. Rok 2017 postawił kraje Europy przed historycznym zadaniem.

Oto nowe zadanie dla wolnych narodów Europy, dla narodowych rządów wybranych przez wolnych obywateli: musimy obronić chrześcijańską kulturę! Nie na zgubę innym, ale dla obrony nas samych, naszych rodzin, narodów, krajów i „ojczyzny ojczyzn", Europy.

W roku 2017 mogliśmy zobaczyć, że przywódcy europejskich krajów różnie podchodzą do tego zadania. Według niektórych taki problem w ogóle nie istnieje. Inni uważają, że na tym właśnie polega postęp. Jeszcze inni poszli drogą poddania się. Są i tacy, którzy czekają z założonymi rękami na to, że ktoś inny za nich rozwiąże ten problem.

Tysiącletnia historia Węgier jest dowodem na to, że my tacy nie jesteśmy. My chodzimy innymi drogami. Naszym punktem wyjścia zawsze było to, że mamy prawo do własnego życia. Gdy mieliśmy ku temu dość siły, udawało nam się to prawo obronić. Dlatego od lat się trudzimy, by Węgry się umocniły i w końcu stanęły znów na własnych nogach.

Spoglądając w rok 2018, możemy stwierdzić tylko tyle, że dopóki na czele kraju stoi rząd narodowy, dopóty roztropnie, z pokorą, ale bezkompromisowo będziemy pracować na rzecz tego, by nasza Ojczyzna pozostała krajem węgierskim o chrześcijańskiej kulturze. Uczynimy też wszystko, by także Europa pozostała europejska.

Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia wszystkim!

***Viktor Orbán***

*źródło: http://magyaridok.hu/belfold/meg-kell-vedenunk-kereszteny-kulturat-2609896/*
*tłumaczenie: HPA*



eprasa.pl 9e6501059c

# Wolność i medycyna

BRONISŁAW WILDSTEIN

*Żaden regulamin nie nauczy lekarza ani nikogo innego, jak właściwie postępować z ludźmi. Właściwe postawy wytwarza niepisana kultura zbiorowości, w której mieści się etyka społeczna, obyczaj, a także przykład i doświadczenie*

**1** Dobrze zacząć od konkretu. W 2009 r. Polską wstrząsnęła sprawa wielodzietnej rodziny ze wsi Błota Wielkie. Sąd zadecydował, że odbierze jej świeżo urodzoną córeczkę dlatego, że w ich domu i obejściu, jak stwierdziła przedstawicielka administracji, panuje nieporządek. Z pomocą opinii publicznej rodzinie Szwaków udało się odzyskać małą Różę. Przy okazji okazało się, że lekarka odbierająca poród bez zgody i wiedzy matki wysterylizowała ją. Kolejna ciąża zagrażałaby zdrowiu, a nawet życiu kobiety.

Ostatecznie Wioletta Szwak wygrała proces przeciw szpitalowi, ale wcześniej prokuratura dwukrotnie umorzyła akt oskarżenia. Uczestniczyłem wówczas w publicznej dyskusji na ten temat w Klubie Ronina. Spora część zebranych, w większości ludzi krytycznych i niezależnie myślących, uznała, że lekarze jako specjaliści mieli prawo do takiego aktu. Warto dodać, że rzecz działa się po porodzie i odłożenie w czasie sterylizacji, gdyby nawet przyjąć, że była konieczna, nie wiązałoby się z żadnym zagrożeniem.

Przypominam tę sprawę, aby pokazać, jak bardzo nie tylko uwierzyliśmy specjalistom, lecz oddelegowaliśmy w ich ręce naszą wolność, zresztą oba procesy są z sobą nieuchronnie sprzężone. Naturalnie, w sprawie dostrzegamy także klasowy wątek. Wyobrażenie ignorancji biednej chłopskiej rodziny w kontraście z profesjonalizmem lekarzy z miejskiego szpitala musiało odruchowo wpływać na oceny warszawskiej inteligencji. Z jednej strony występowali przecież obdarzeni szczególną wiedzą eksperci, z drugiej niewykształceni i, co tu kryć, prymitywni wieśniacy.

Obrońcy lekarzy z Szamotuł nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że ich ocena prowadzić musiała do faktycznej zgody na tego typu praktyki w stosunku do każdego. Przecież medyczna wiedza dowolnego pacjenta nielekarza jest bezwzględnie mniejsza niż profesjonalistów w tej mierze.

A gdyby lekarka, która dokonała sterylizacji, usiłowała przekonać Wiolettę Szwak do swojej racji, a spotkała się z odmową ze strony pacjentki? Czy lekarze wiedząc, że kolejna ciąża najprawdopodobniej skończy się jej śmiercią, mieliby prawo zadecydować za nią?

**2** Uważam, że zgoda na takie rozwiązanie oznacza koniec naszej cywilizacji i narastanie totalitaryzmu. We współczesnym świecie Zachodu, który, wbrew naszym odruchowym przeświadczeniom jest nim poważnie zagrożony, przybiera on formę miękką. To usiłujący regulować wszystko system prawny i generalnie władza eksperckich elit. Zjawisko to jest efektem wiary, że rzeczywistość można uporządkować do końca, konsekwencją czego musi być wizja człowieka, który w doskonale funkcjonującym mechanizmie sprowadzony zostaje do roli trybiku, a jego wolność ogranicza się do sfery konsumpcji i seksu jako konsumpcja traktowanego.

Nasza technokratyczna cywilizacja wszelkie ludzkie przypadłości i grzechy usiłuje sprowadzić do choroby. Dysleksja, dysgrafia, dyskalkulia, każdy ludzki problem z uczeniem zaczyna być rozpoznawany jako zaburzenie wymagające medycznej terapii. Chorobą staje się ludzkie niepomiarkowanie, wszystko zostaje zdiagnozowane, uzyskuje nazwę i odesłane zostaje do specjalistów jeśli nie medycznych, to psychologicznych, którzy będą nas z owych niedostatków leczyli. Nawet tradycyjna erotomania stała się seksoholizmem.

Na pierwszy rzut oka podejście to jest bardzo wygodne, nie trzeba sromać się swoimi błędami i walczyć o ich przezwyciężenie, okazuje się, że to choroba, zostaje więc zdjęta z nas cała odpowiedzialność. Tyle że wraz z eliminacją odpowiedzialności po cichu pozbawieni być musimy nieodłącznie związanej z nią wolności i godności. Stajemy się pacjentami w wielkim szpitalu naszej cywilizacji, która postanowiła uleczyć nas z wszelkich niedoskonałości i przywar. W ten sposób trafiamy w ręce specjalistów, którzy zaczynają odgrywać rolę lekarzy, doskonale wiedzących, czego nam trzeba i jak jako ludzie mamy funkcjonować.

**3** Zejdźmy jednak z tych uniwersalnych, a więc siłą rzeczy nieco abstrakcyjnych ujęć do naszego przykładu. Czy Wioletcie Szwak wolno ryzykować własne życie przy narodzinach dziecka? Odbierając jej to prawo, pozbawiamy ją fundamentu ludzkiej wolności i godności. Argumenty odwołujące się w tej mierze do kompetencji specjalistów, którzy uzyskują uprawnienia do decydowania za nią, kwestionują elementarną wolność i nie ma powodu, aby ich nie eskalować. Granic nie widać.

Można uznać, że skoro państwo, a więc zbiorowość, zabezpiecza dla nas opiekę medyczną, to musi także kontrolować jej działanie. Nie dbając o swoje zdro-



eprasa.pl 9e6501059c

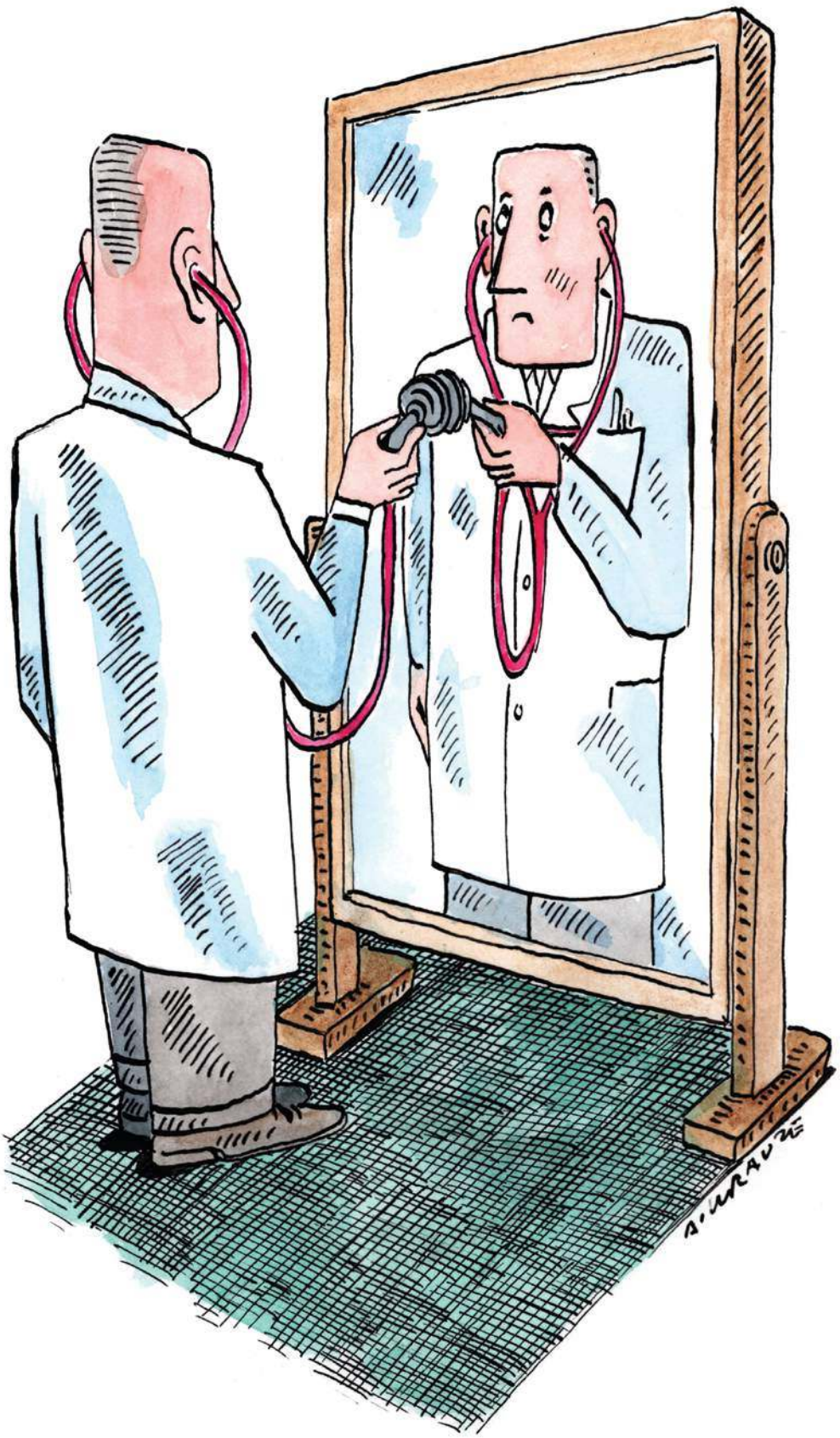

wie i życie, narażamy na coraz większe i bezsensowne wydatki ogół obywateli, którzy łożą na nasze świadczenia. Tego typu rozumowanie wskazuje niebezpieczeństwa, które niesie za sobą państwo opiekuńcze: relacja między opiekującym się a obiektem jego troski nie może być symetryczna. Państwo podejmujące się tego typu roli, a więc jego reprezentanci, nieuchronnie zaczyna prezentować paternalistyczny, wyższościowy stosunek do obywateli, którzy przekształcają się w pacjentów-klientów. Nie mówię, że jest to wystarczający argument, aby model ten w całości zlikwidować, natomiast należy brać pod uwagę wszystkie związane z nim zagrożenia.

Chociaż jednak państwo opiekuńcze wyzwala poczucie wyższości u jego funkcjonariuszy, a chcąc nie chcąc, lekarze występują również w tej roli, argumentacji odwołującej się do względów ekonomicznych na rzecz ubezwłasnowolnienia pacjentów, na szczęście, raczej się nie słyszy.

**4** Casus Wioletty Szwak jest stosunkowo prosty, a odwołałem się do niego, aby pokazać, jak specjaliści, którzy wierzą w swoje kompetencje, zaczynają uzurpować sobie władzę nad naszymi losami, a my coraz bardziej się na to zgadzamy. W tym wypadku specjalistami takimi są lekarze, którzy przy materialistycznym podejściu do świata zajmują się najważniejszym aspektem ludzkiego istnienia.

No, ale jeśli sprawa nie dotyczy tylko losów osoby, która nie chce podporządkować się wskazówkom lekarza, ale jego rodziny, zwłaszcza dzieci? Mieliśmy niedawno przypadek odmowy rodziców szczepienia swoich dzieci. Zresztą nawet indywidualne wypadki nie są takie jednoznaczne. Czy w sytuacji epidemii można odmawiać szczepień, narażając na chorobę nie tylko siebie, lecz i wszystkich, którzy mogą zostać przez nas zarażeni?

Można odpowiedzieć, że epidemia to sytuacja skrajna, która z zasady powoduje zawieszenie norm obowiązujących w normalnych warunkach. Ale czy instytucje takie jak żłobki, przedszkola i szkoły nie mogą tworzyć swoich regulaminów, które zabezpieczały będą ich pensjonariuszy od niebezpieczeństwa?



eprasa.pl 9e6501059c

Na te i podobne pytania odpowiem w sposób, który nie będzie satysfakcjonował w czasach oczekujących na proste, rozwiązujące problemy formuły. Gdyż również w tej (jak i w ogromnej większości) kwestii nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Natomiast, zwłaszcza w dominującym dziś modelu kultury, zwracałbym uwagę na zagrożenia ludzkiej wolności, a w konsekwencji i godności, do których prowadzić musi narastająca władza ekspertów. W ogromnej mierze zresztą kompetencje ich zostają radykalnie przeszacowane i zmistyfikowane. Może najmniej chodzi w tym wypadku o lekarzy, chociaż każdy doświadczony przedstawiciel tej profesji zaczyna zdawać sobie sprawę, jak wielką rolę w jego działaniu, czyli pomaganiu ludziom, odgrywa praktyka. Sama ta świadomość pokazuje, że medycyna, jak prawie wszelka ludzka wiedza, to dziedzina probabilistyki, a więc nie wszystko w niej da się ująć w abstrakcyjnych formułach. Nie wszystko da się jednoznacznie zapisać, a więc i przekazać w prostym wykładzie jej adeptom.

Praktyka, a więc doświadczenie, każe indywidualizować podejście do pacjentów. Leczenie to umiejętność podejścia do zróżnicowanych osób ludzkich, a nie wyłącznie stosowanie metod, do których na danym etapie rozwoju doszła wiedza medyczna. Gdyby przyjąć to drugie rozwiązanie, lekarz praktyk przestałby być potrzebny, a wystarczałyby komputery. Zresztą i medycyna, jak każde ludzkie przedsięwzięcie, ma ograniczenia. Każda skuteczna terapia obowiązuje tylko przy spełnieniu określonych warunków itd. Tym bardziej więc należy pamiętać o naszych limitach poznawczych oraz elastyczności niezbędnej w leczeniu, która wynika choćby z osobniczego i środowiskowego zróżnicowania pacjentów.

**5** Naturalnie, zdaję sobie sprawę z wątpliwej wartości takich zaleceń w odniesieniu do medycyny, która staje się gałęzią przemysłową, a działający w niej lekarz poddany jest dyscyplinie wynikającej z presji instytucjonalnej tudzież wszystkich ograniczeń ekonomicznych stanowiących naszą ludzką kondycję. Funkcjonujemy w rzeczywistości niedoboru wszystkich środków, w tym, co może najbardziej bolesne, czasu. Lekarz, który musi obsłużyć określoną liczbę pacjentów w ciągu dnia, potraktować może jako ironię wezwania do indywidualnego do nich podejścia. W ten sposób ujawnia się konflikt między, umownie mówiąc, przemysłowym charakterem służby zdrowia, co jest nieuniknionym efektem przejęcia jej przez państwo, a szczególnym powołaniem lekarza.

> Nasza technokratyczna cywilizacja wszelkie ludzkie przypadłości i grzechy usiłuje sprowadzić do choroby. Nawet tradycyjna erotomania stała się seksoholizmem

Zamiast proponować rozwiązania, piętrzę więc trudności. Jeśli jednak mamy poważnie się traktować, to musimy zrozumieć, że każde rozwiązanie staje się przyczyną nowego problemu.

Jednak zasugerowanie problemów, przed którymi stają dziś medycyna i jej adepci, powinno stanowić barierę dla nadmiernej pewności siebie, a więc stanowić wezwanie do partnerskiego traktowania pacjentów, co nigdy do końca nie może być możliwe.

**6** Potrzeba taka ujawnia się dziś we wszelkich próbach regulacji pracy lekarzy i ich placówek, we wszystkich kartach pacjenta i regulaminach. I, jak zwykle, niosą one z sobą kolejne zagrożenie, wizję, że skomplikowane relacje między pacjentem a lekarzem, te szczególne, czasami krańcowe sytuacje, da się zapisać raz na zawsze. Te tworzone w najlepszych intencjach normy mogą być i bywają wykorzystywane przeciw zamiarom ich twórców. Są one zresztą efektem utopijnego i zgubnego, co na jedno wychodzi, przekonania współczesnego, że wszystko da się raz na zawsze uregulować. Prowadzi to do hipertrofii prawa, dążenia, aby wszystko ująć w racjonalne zapisy, co okazuje się przeciwskuteczne, a także wypiera i niszczy inne rodzaje niepisanych systemów regulujących funkcjonowanie ludzkich wspólnot. Żaden regulamin nie nauczy lekarza ani nikogo innego, jak właściwie postępować z ludźmi. Właściwe postawy wytwarza niepisana kultura zbiorowości, w której mieści się etyka społeczna, obyczaj, a także przykład i doświadczenie.

Modelowo problem współczesnej medycyny można zapisać jako antynomię pomiędzy traktowaniem jej jako nauki technicznej i jako sztuki.

Nauka techniczna to system dedukcyjnych wyjaśnień będących konsekwencją określonych założeń. Można uznać go za logiczny zbiór, a jego efektem będzie zestaw prostych, jasnych i obowiązujących zawsze procedur. W rzeczywistości nawet w odniesieniu do techniki podejście takie ma redukcyjny charakter, a więc prowadzić musi do rozlicznych nieporozumień. A podejście takie do medycyny jest w sposób oczywisty niewystarczające. Każdy bardziej doświadczony lekarz zdaje sobie sprawę z tego, w jak niewielkim stopniu przystaje ono do rzeczywistości. Po pierwsze dlatego, że świat, zwłaszcza ludzki, wymyka się wszelkim założeniom i przekracza je. W każdym razie można je ustanawiać wyłącznie na pewnym dość wysokim stopniu ogólności, co powoduje, że opierając się na nich, z konkretnymi casusami możemy mieć poważny problem. Po drugie dlatego, co zresztą wynika z pierwszego spostrzeżenia: wiedza ludzka nie mieści się w najgrubszych, najbardziej wyczerpujących woluminach. To także praktyka, która tylko w pewnym stopniu jest racjonalizowalna. Nabieramy jej, pracując z mistrzami i mierząc się z konkretnymi problemami.

Wynikają z tego nieodkrywcze wnioski, które jednak, zwłaszcza dziś, stale musimy sobie przypominać. Praca lekarza to relacja z pacjentem. I to ten drugi ma prawo ostatecznie decydować o swoich losach.



eprasa.pl 9e6501059c

ZGODY I KOSY

# Elegie kresowe

## KORZEC

*Było kiedyś miasteczko całe z porcelany*
*jakościowo nie gorsze od wyrobów z Miśni*
*na spodku w polne kwiaty ręcznie malowanym*
*lśnił barokowy pałac książąt Czartoryskich*

*domy stały na rynku niczym filiżanki*
*z portretu dumnie patrzył naczelnik Kościuszko*
*a kto w porcelanowym dworze się pojawił*
*w mig stawał się figurą czy raczej figurką*

*jak mlecznik połyskiwał klasztor franciszkanów*
*błękitnym ornamentem płynął potok Korczyk*
*pod szkliwem – w zwyczajowym miejscu dla sygnatur –*
*czuwało nad miasteczkiem oko opatrzności*

*piękny był w dawnych czasach Korzec na Wołyniu*
*chciałoby się mieć w zbiorach to wystawne cudo*
*niestety pewnej nocy ktoś szarpnął witryną*
*drzwiczki się otworzyły miasteczko się stłukło*

## PŁONIE KRASICZYN

*O zmierzchu konieczność dziejowa*
*zrzuca z krużganków zabytkowe meble*
*i na dziedzińcu rośnie wieża ognia*

*– Z wami, towarzysze, można konie kraść!*
*– śmieje się oficer polityczny*

*kończy się lato w czerwonej poświacie*
*kołyszą się łby kradzionych koni*
*fruwają kartki z rozerwanych książek*
*słychać trzask forniru i wesoły śpiew*

*w trumnach wywleczonych z grobowca*
*kąpią się gieroje*

## BIAŁA LEGENDA

*Najważniejsze – przetrwać: nie dać się*
*złamać wychłodzić zagłodzić nie gardzić*
*zupą z korzeni ani nadgniłą cebulą*

*nie tracić ducha: szeptem powtarzać*
*dziecięce modlitwy imiona wszystkich*
*świętych i strofy z „Pana Tadeusza”*

*gimnastykować się o świcie rzeźbić*
*krzyżyki i szachy z drewna pocieszać się*
*wzajemnie: co nas nie zabije, to nas...*

*papier z wyrąbanych drzew posłuży na*
*mapę imperium: zasieki rzek kordony lasów*
*i ani jednego więźnia na horyzoncie*

*gdy rano wychodzą do pracy nie wiedzą*
*że już ich nie ma: maszerują przez biały jar*
*coraz mniej widoczni wymazywani gumką*

*śnieżycy*

***Wojciech Wencel***

eprasa.pl 9e6501059c

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

# Związek przyczynowo-skutkowy

Przeglądanie zakurzonych, zapisanych gęstym niewyraźnym drukiem pism, bibuł, biuletynów, odezw z czasów „Solidarności", stanu wojennego, okrągłego stołu, wielu równie trudnych w odczytaniu bezdebitowych wydawnictw z tamtych czasów kończy się zwykle tym samym – odłożeniem na swoje miejsce z uczuciem smutku nad upływem czasu i utraconą ludzką energią, która powinna szybciej dać o wiele większe owoce. To także refleksja nad słowami i postawami ludzi: które z nich uznać za prawdziwe, te dawne czy obecne, a może jedne i drugie?

Co mówił i myślał ten i ów 30–40 lat temu, a co mówi dzisiaj? Wystąpienia niektórych znanych działaczy „Solidarności" przyjmuję z bolesnym zdumieniem. Co prawdziwego pozostało w ludziach, których obserwowałem w czasach okrągłego stołu? Jak przetrwała tę próbę niezlustrowana wówczas solidarnościowa opozycja zasiadająca do rozmów z komunistami? Oczywiście wiemy, że zaangażowanych w ten dialog łączyła pilna konieczność legalizacji związku „Solidarność" robotników i rolników, a także NZS, ZLP, SDP i innych stowarzyszeń. Wśród licznych postulatów „S" były wolne wybory do Senatu, rozszerzenie wolności obywatelskich, przełamanie bierności społeczeństwa, zbudowanie niezawisłego sądownictwa, wolność prasy i mediów, długo by wyliczać, to wszystko prawda.

*Wystąpienia niektórych znanych działaczy „Solidarności" przyjmuję z bolesnym zdumieniem*

Problemem nie są też słowa i czyny takich postaci, jak Jan Olszewski, Jarosław Kaczyński, Mariusz Kamiński, Krystyna Pawłowicz, Wiesław Johann i wielu innych. To, co mówili wówczas, mówią i dziś. Chodzi o tych ludzi „Solidarności", na czele z Lechem Wałęsą, którzy przejęli i uznali za własną dawną retorykę okrągłostołowych komunistów. Konsekwentnie bronią tamtego zgniłego kompromisu, który zbudował III RP, jak ich ówcześni oponenci bronili podstaw PRL.

„Skutki okrągłego stołu będą nieodwracalne" – mówił w 1989 r. sędzia Jerzy Stępień. Dziś słowa tego zaciekłego przeciwnika dobrej zmiany brzmią tak samo aktualnie jak wtedy. To przecież ten sam pogląd o „nieodwracalności" zawartego z komunistami kontraktu. Gabriel Janowski, niezmiennie krytyczny w tamtym czasie (jak i dziś), zapowiadał „jeszcze większe rozgoryczenie, pogłębienie nieufności i wiary, że którakolwiek ze stron jest w stanie rozwiązać sprawy kraju". Wówczas tak, ale nie dziś. Władysław Frasyniuk odczuwał satysfakcję z obrad okrągłego stołu, która „odsunęła nienawiść, poczucie krzywdy, chęć odwetu". Zauważył jednak pewien lęk, bo „ci deptani przez lata, kiedy już będzie wolno, mogą wybuchnąć". Tak się jednak nie stało. Frasyniuk niedeptany, niekrzywdzony, wręcz przeciwnie, w końcu „wybuchł" sam, gdy uznał, że III RP jest zagrożona. Dziś rzucałby w polski rząd kamieniami. Jan Dworak uznawał za „pasjonujący eksperyment" uczestniczenie w obradach okrągłego stołu, gdyż było to „przechodzenie od totalitaryzmu do demokracji w polskiej wersji". Czy ta „polska wersja" kazała mu później blokować aspirację katolickiej większości narodu do umieszczenia na multipleksie Telewizji Trwam?

O przywrócenie zdelegalizowanego w stanie wojennym SDP walczył jego założyciel Stefan Bratkowski, usunięty z PZPR w 1981 r. Swoich następców, młodych członków ZG SDP wyłonionych demokratycznie w 2011 r., ten „honorowy prezes" SDP nazwał wówczas „faszystami".

Dla Adama Michnika rozmowy z komunistami w 1989 r. najpierw w Magdalence, potem w Pałacu Namiestnikowskim, miały być „pierwszym krokiem we właściwym kierunku, który dopiero teraz otworzy front walki o parlamentarną demokrację ze wszystkimi jej przeciwnikami". Zatrzymał się na bezkrytycznym wspieraniu tych, z którymi negocjował przy okrągłym stole, uznając resztę narodu za nieistotną mniejszość. Wsparł aksjomat o demokracji liberalnej, jak wcześniej komuniści prymat demokracji, ale socjalistycznej.

Prof. Adam Strzembosz, dystansując się od komunistycznego prawa, zalecał taki model praworządności, który daje każdemu „możliwość korzystania z niezbywalnych praw". Dziś za takie „niezbywalne" prawo uznaje konstytucję z 1997 r. i ustrój sądów stworzony w porozumieniu z komunistami. Ten wyrzucony z sądu za czasów „Solidarności" późniejszy prezes Sądu Najwyższego przez cały okres III RP nie dostrzegł żadnych patologii w sądach. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy obecna większość sejmowa zaczęła reformować sądownictwo. Dziś ostrzega sędziów aplikujących do nowej Izby Dyscyplinarnej SN przed „złamaniem kariery".

Najciekawszy w tym wszystkim jest związek przyczynowo-skutkowy. Niekiedy trzeba czekać długie lata, aby zrozumieć jego skutki.



eprasa.pl 9e6501059c

# Podróż trzech króli

DARIUSZ KARŁOWICZ

Pierwsza myśl o Betlejem – że straszna dziura! I trudno temu zaprzeczyć. Do Rzymu szmat drogi. Kto by się zresztą wybierał? I po co? Nawet stołeczna Jerozolima to miasto bez wielkiego znaczenia dla ówczesnej polityki, kultury czy handlu. Ani to wielka Aleksandria, ani uczone Ateny, ani nawet Efez. Cóż dopiero Betlejem!

A przecież – nie tylko w sensie duchowym – Betlejem jest samym środkiem świata. Owszem patrząc na mapę Rzymu, trudno wskazać na coś położonego dalej od stolicy, ale przecież Mędrcy nie mieszkali nad Tybrem. Przyszli z drugiej strony – ze Wschodu, który niełatwo nazwać barbarzyńskim (jeśli oczywiście przyjąć dzisiejsze rozumienie tego słowa). Przecież to tam wszystko się zaczęło – pismo, literatura, cywilizacja, prawo. Mędrcy idą z ziem, gdzie powstały zigguraty Sumerów, dojrzała mądrość Chaldejczyków, urosła potęga Persów.

W atlasie historycznym, który abstrahuje od politycznych ambicji państw i cywilizacji, widać jak na dłoni, że Betlejem leży w samym sercu starożytnego świata. A dokładniej zarazem w centrum i na obrzeżach. To zarazem pępek świata i mieścina na uboczu.

Komentując odnośny fragment Ewangelii św. Mateusza (2,1-12), teologowie mówią zwykle o potwierdzeniu mesjańskiej godności Dziecięcia (Mi 5,1) i o uniwersalności, którą zapowiada hołd pogańskich Mędrców. Ale przecież nie na tym koniec. To prawda, że u Ewangelisty nie znajdziemy wszystkiego, co znamy z apokryfów, podań, pastorałek. Tradycja dorzuciła dużo, ale nie na oślep. Królowie, stajenka, zwierzęta – to wszystko ma sens. Teologiczna wyobraźnia sprawia, że ci, którzy „upadli na twarz i oddali mu pokłon" (2,11), stali się figurą wielu najbardziej fundamentalnych paradoksów Dobrej Nowiny. Figurą zarazem przystępną i głęboką, wzniosłą i powszechną – równie trudną i równie zarazem łatwą dla głupców i dla uczonych. Kto jak pewien poeta widzi tu tylko „szczebiotanie o słodkim dzieciątku Jezus w sianku" ten zrozumiał niewiele.

Mówimy epifania i myślimy objawienie, ale przecież pierwotne znaczenie tego słowa to imponujący wygląd – taki wygląd, który robi wrażenie, budzi szacunek, żąda powagi. Kiedy Grek myślał o ukazaniu się boga – szacunek ustępował grozie. Epifania boga jest czymś ponad ludzką wytrzymałość. Niszczy. Spopiela. Jeszcze Pauzaniasz ogląda w Tebach pogorzelisko po pałacu Kadmosa, gdzie Zeus ukazał się śmiertelnym w swej własnej postaci. Z jednej strony płomień piorunа, z drugiej kruchy, łatwopalny świat ludzi.

W Betlejem wszystko jest na inaczej. Ale w obrazie „słodkiego dzieciątka" żywa jest przecież pamięć tego pogorzeliska i tej grozy. Jednak tu nawet sianko nie zajmuje się ogniem. Dziwna epifania, dziwnego Boga. Mędrcy, którzy „zobaczyli" Go, nie obrócili się w popiół. Choć „widzieli i słyszeli", przeżyli również Łukaszowi pasterze (2,8-20).

Kluczowa dla Dobrej Nowiny kategoria paradoksu – czegoś, co jest „para doksan", a więc idzie wbrew przyjętym powszechnie mniemaniom, znajduje tu wyraz doskonały. Przed bezbronnym „Dziecięciem i Matką Jego" klękają ci, przed którymi gną się kolana. Uważani za mądrych („znających sprawy boskie i ludzkie"), pobożnych, mających władzę i bogatych (a więc samowystarczalnych) właśnie w „słodkim dzieciątku w sianie" widzą Mądrość, Władzę i prawdziwe Bogactwo. Można o tym nie myśleć, można wyśmiać, ale nie wierzę, że można to oswoić.

Od kilku lat w setkach miast w Polsce organizowane są orszaki trzech króli. Miałem możliwość uczestniczyć w powstawaniu tego niezwykle popularnego dziś obyczaju. Wątpię, by ktoś z organizatorów pierwszych orszaków przypuszczał, że uruchamiamy tak potężną lawinę, ale przecież ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, że pomysł wypali.

Może kiedyś socjologowie naświetlą to zjawisko, uczenie wyjaśniając jego społeczne i kulturowe przyczyny. Może wytłumaczą, dlaczego choć z taką pewnością wieścili sekularyzację polskiej kultury, to w miejsce prognozowanego uwiądu objawiły się nowe, dynamiczne formy chrześcijańskiego życia? Z pewnością wszystko nam starannie wyłuszczą. Zanim jednak to zrobią, musimy poradzić sobie sami.

Czy zaryzykujemy żenującą tezę, że popularność orszaków ma coś wspólnego z gwiazdą, którą widać z każdego zakątka ziemi? Albo że światło na tę dziwną sprawę rzuca wewnętrzny głos, który w kulturze przednowoczesnej nazywano sumieniem? A może chodzi o doświadczenie kruchości świata? Potrzebę nawrócenia? Miłość? Nieznośny ciężar win? Nadzieję? Wiarę? Rozpacz? Pragnienie odkupienia i nieśmiertelności? O drogę zawsze trudną i zawsze z daleka, o „mroźną wyprawę" w „najgorszej porze roku", o taką wyprawę, w którą idzie się wbrew wszystkiemu i tylko po to, żeby zobaczyć na własne oczy, ukłonić się nisko, a potem nie móc już wrócić do domu tą samą drogą.

Schron atomowy z oryginalnym stołem z gabinetu Czesława Kiszczaka prezentują Jarosław Wróblewski, kurator wystawy, i Jacek Pawłowicz, dyrektor muzeum

# Na podsłuchu

*„Tajne techniki operacyjne PRL-owskiej bezpieki" to ekspozycja w byłym areszcie na warszawskim Mokotowie. Podczas jej zwiedzania nieraz szeroko otworzą państwo oczy i powiedzą: „Niemożliwe!". Agenci służb śledzili, podsłuchiwali i podglądali obywateli na potęgę. Mieli do użytku najlepszy i najnowocześniejszy wówczas sprzęt*

MARCIN WIKŁO

W nagrodzonym Oscarem filmie „Życie na podsłuchu" oficer enerdowskiej bezpieki o kryptonimie HGW XX/7 otrzymuje zadanie obserwacji dramaturga Georga Dreymanna i jego partnerki, aktorki Christy-Marii Sieland. W krótkim czasie artysta zostaje opleciony siecią podsłuchów, agenci wynajmują mieszkanie nad jego lokum, wiernie odwzorowujące jego rozkład. Śledzą każdy jego krok, gest i słowo. Totalna inwigilacja. Ta literacka fikcja poszła w świat i zyskała uznanie, bo wyjątkowo wiernie oddano pieczołowitość tajnych służb wschodnich Niemiec. Czy w Polsce było inaczej? Absolutnie nie. Można się o tym przekonać, oglądając wystawę w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL.

## WIDZIEĆ WSZYSTKO

– Skala inwigilacji, której byliśmy poddani, jest niesłychana – mówi Jacek Pawłowicz, dyrektor muzeum przy Rakowieckiej, który oprowadza nas po ekspozycji. Właściwie przy każdym eksponacie słyszymy komentarz: „O! A tutaj mamy coś naprawdę niezwykłego!". Jedna z cel w dawnym pawilonie 12. mokotowskiego aresztu jest zaaranżowana na mieszkanie. Fotel, stolik, lampka nocna, radioodbiornik. W drugiej części tapczan, a nad nim na ścianie oczywiście słomiana mata. Przechodzimy do pomieszczenia obok – to esbecka kryjówka. Jakaś aparatura i na stoliku monitor. Na ekranie widać wnętrze „mieszkania" obok i... fotel, na którym przed chwilą siedziałem. Wracam, znów siadam. Gdzie jest kamera? W lampce? Chyba nie. W radiu? Też nie. No to gdzie? Jarosław Wróblewski, jeden z kuratorów wystawy, wskazuje na radioodbiornik. A jednak! Ale gdzie? W głośniku, między drobnymi szczebelkami. Trudno uwierzyć, że już wtedy te urządzenia mogły być tak małe, mówimy przecież o technice operacyjnej sprzed pół wieku.

Obok mamy „pokój hotelowy". Ważnym elementem pracy bezpieki w PRL była inwigilacja tzw. dewizowców, przyby-

Zdjęcia Andrzej Wiktor



eprasa.pl 9e6501059c

szy z zagranicy, szczególnie z Zachodu, którzy wynajmowali pokoje w hotelach. Nawet w Warszawie nie było ich zbyt wiele, można więc było się pokusić o solidne „okablowanie". Jacek Pawłowicz pokazuje nam wysoką szafę z przegródkami. W każdej z nich magnetofon kasetowy. Plątanina kabli, wielość światełek sygnalizacyjnych. Cóż to takiego? Oryginalna aparatura podsłuchowa z jednego ze stołecznych hoteli, kable z każdego z pokojów spotykały się w tej szafie. Nagrywanie szło na całego. Pytanie brzmi, kiedy i kto to wszystko potem odsłuchiwał. Odpowiedź poznajemy w kolejnym pomieszczeniu. Stoi tam niepozorne biurko, które dwoma ruchami można zmienić w stół montażowo-odsłuchowy. Z boku podłącza się słuchawki, pod biurkiem pracownik miał trzy pedały: do przodu, do tyłu i stop. Na biurku maszyna do pisania, to tutaj powstawały stenogramy z podsłuchów. To było główne narzędzie pozyskiwania informacji. Często bezwzględnie później wykorzystywanych, do szantażu, by skłonić do współpracy. Nagrywano zresztą nie tylko dźwiękowo. Spora część ekspozycji poświęcona jest kamerom. Większe, mniejsze. Sprzęt produkcji radzieckiej, enerdowskiej, ale i polskiej. Unitra poza tym, że zaopatrywała (w ograniczonym zakresie) sklepy dla ludności, to produkowała dla służb. I podobno to były całkiem udane egzemplarze.

– Proszę spojrzeć na ten magnetofon. Niby normalny kaseciak, który noszono na pasku, na ramieniu. Ale naprawdę chodziło o to, by podejść jak najbliżej figuranta i cyknąć mu fotkę – opowiada dyrektor Pawłowicz. Zwraca uwagę na niewielki otwór w miejscu, w którym powinien być głośnik. No właśnie, powinien być, bo w tym egzemplarzu jest ukryty aparat fotograficzny. A spust migawki zainstalowano w pasku.

Nigdy nie było wiadomo, za którą firanką kryje się esbecka kamera

Stanowisko do sporządzania stenogramów z podsłuchów

Nikt nie był w stanie zauważyć, kiedy robiono mu fotografię. Tuż obok manekin, gdy odchylimy połę płaszcza, widać ukryty aparat. Obiektyw na zewnątrz wyprowadzony jest przez guzik. Archiwum IPN udostępniło także fotografie zrobione takim sprzętem. Widzimy prezentację wydarzeń z Poznania w 1956 r.; fotografie są charakterystycznie okrojone wokół kadru.

## SPREJ W WALIZCE

Większość prezentowanych materiałów audio i wideo wykonanych przez bezpiekę pochodzi z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Oprócz nagrań i fotografii widzimy instrukcje, które nawet nie wiadomo, czy były kiedykolwiek wykorzystywane. To np. szyfrowany system opisu figuranta, czyli osoby śledzonej. 22 to beret, 25 – czapka, 27 – kapelusz. Kolejne części garderoby: 41 – płaszcz, 42 – kożuch, 43 – skóra, 45 – marynarka, 46 – kurtka. I kolory: 81 – biały, 82 – żółty, 83 – czerwony, 84 – fioletowy, 87 – brązowy, 88 – szary, 83 – czarny. Odcienie: 61 – jasny, 62 – ciemny. Na pierwszy rzut oka to skomplikowane i niepraktyczne, ale po chwili można dojść do wprawy i opisywać delikwenta ciągiem liczb. – To pokazuje, jak bardzo lubowano się w wymyślaniu systemów inwigilacji, kontrolowanie ludzi było prawdziwą pasją – tłumaczy Pawłowicz.



eprasa.pl 9e6501059c

Dalekopis z literami radzieckiego alfabetu używany przez bezpiekę

Szafa z magnetofonami z hotelu Warszawa. Każdy pokój był podsłuchiwany

Przenośny zestaw do otwierania korespondencji. Ten egzemplarz nigdy nie był używany

Moją uwagę zwracają walizka i parasolki z zainstalowanym wewnątrz sprejem. Akcja wyglądała tak. Do osoby, która próbowała się „urwać", podchodził agent i psikał bezbarwną i bezwonną substancją, np. na nogawkę lub płaszcz. Wtedy wkraczał esbek z psem. – Takie zaznaczenie zapachowe wystarczało, wyszkolone zwierze takiego tropu zgubić nie mogło. To pozwalało pójść dokładnie jego śladem – słyszymy kolejną opowieść z cyklu: „O! A tutaj mamy coś naprawdę niezwykłego!".

Ta wystawa uświadamia, jak ogromną machinę stworzono w PRL do inwigilacji obywateli. Ilu pracowników resortu było zaangażowanych w każdorazową akcję śledzenia figuranta. Jeden, który rozpylał zapach, kolejny z psem i następni, którzy przekazywali sobie informacje specjalnym kodem. Historycy nazywają go językiem migowym esbecji. Dotknięcie czoła – „podejdź do mnie". Złączenie rąk z tyłu – „figurant ruszył". Dotknięcie prawej ręki do klatki piersiowej – „zrozumiałem, przyjąłem". Dotknięcie prawą ręką prawego oka – „nie mam figuranta pod kontrolą, szukam go". Dotknięcie brody – „nie podchodź do mnie". Brzmi to wszystko nieco kuriozalnie i wygląda na harcerską zabawę, ale nic bardziej mylnego. Te kody działały i były wykorzystywane. Oczywiście po to, „by Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej".

Jeśli ktoś ma wrażenie, że nie był inwigilowany, to ta wystawa rozwiewa nadzieję. Coś takiego jak poufność korespondencji było całkowitą fikcją. W niewielkiej walizeczce mieścił się przenośny zestaw do otwierania listów. Maszyna na prąd emitująca parę, zestaw skalpeli do podważania kopert, ale także klej i lak, bo otwartą kopertę później trzeba było przecież zamknąć, by „nienaruszona" trafiła do adresata.

## STÓŁ KISZCZAKA

Bezpieka inwigilowała mnóstwo ludzi. Nikt nikomu nie ufał. Nawet będąc naprawdę wysoko we władzach resortów, nie można było mieć gwarancji, że nie założą ci pluskwy. Kolejne pomieszczenie, do którego prowadzi nas dyrektor Pawłowicz, jest zaaranżowane na schron atomowy, w który wyposażone było każde ważne ministerstwo. Na ścianach mapy świata, by można było snuć mocarstwowe plany, a pośrodku ogromny stół. To oryginalny mebel z gabinetu Kiszczaka. Warto się schylić pod blat i zwrócić uwagę na masywne nogi. Z pozoru nic szczególnego. Nie widać, że wewnątrz wyżłobione są otwory na... mikrofony. – „Kontrola podstawą zaufania!". Sami siebie nagrywali, nie wiadomo po co – opowiada historyk.

Wystawa jest zorganizowana poniekąd na próbę. Muzealnicy uważnie śledzą, które eksponaty przykuwają uwagę zwiedzających, to pomoże zdecydować, jak później skomponować ekspozycję stałą. To oczywiście przyszłość, ale zbliżająca się wielkimi krokami. Od historycznej decyzji ministra sprawiedliwości, która powołała muzeum w istniejącym wtedy jeszcze areszcie, minęły niespełna dwa lata. Od dawna na Mokotowie osadzonych już nie ma, w przyszłym roku zaczną się pierwsze poważne prace budowlane. Na początek zostanie wyburzony pawilon „N", w którym do niedawna przebywali szczególnie niebezpieczni więźniowie, m.in. morderca Kajetan P. To budynek najnowszy, bez żadnej wartości historycznej. W jego miejsce stanie jedna z czterech wież, które z hasłami: Bóg, Honor, Ojczyzna, Wolność będą górowały nad byłym miejscem kaźni kilku pokoleń Polaków.

Ekspozycję „Tajne techniki operacyjne PRL-owskiej bezpieki" można obejrzeć codziennie w godz. 9–15, wystarczy przyjść na ul. Rakowiecką 37 i w bramie głównej zgłosić się do strażnika.



eprasa.pl 9e6501059c

# Czy PZU będzie pierwszą polską marką globalną?

*Gospodarczy rozwój kraju i wzrost zamożności Polaków zostały wreszcie dość czytelnie zaplanowane dzięki Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR)*

Głównymi silnikami, które pozwolą szybko skracać dystans Polski wobec bogatych państw, mają być największe firmy, tzw. narodowi czempioni – podmioty, którymi mogą się poszczycić wszystkie bogate kraje. SOR zakłada rozwój firm małych w średnie, średnich w duże, a dużych w narodowych potentatów, których działalność przekracza granice, jest doceniana i zauważana na całym świecie. Proces ten już się odbywa. Najłatwiej go dostrzec na przykładzie PZU, największego polskiego ubezpieczyciela, który dzięki rozszerzeniu swojej działalności i umiejętnemu zarządzaniu staje się właśnie firmą, o której coraz głośniej w Europie i na świecie. W najbliższych dniach przedstawi nową strategię do 2020 r.

Przełom roku to czas podsumowań, które w PZU wypadną bardzo okazale. Już po trzech kwartałach 2017 r. Grupa PZU wypracowała ponad 3 mld zł zysku netto, co oznaczało niemal dwukrotny wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim. Takie wyniki nie mogły ujść uwadze międzynarodowych agencji ratingowych. Amerykańska agencja S&P Global Partners podwyższyła perspektywę ratingową PZU z negatywnej do stabilnej. Analitycy z USA docenili przejrzystość inwestycji Grupy PZU w sektor bankowy, która wzmacnia jej wiarygodność kredytową. Dodatkowym, bardzo mocnym atutem, jaki uzyskało PZU w projekcie globalizowania swojej marki, jest otrzymanie certyfikatu „Member od Llyod's". Stało się to możliwe dzięki nabyciu przez PZU udziałów w Argencie, jednym z syndykatów Llyod'sa. Audytorzy tego najstarszego i cieszącego się największym prestiżem rynku ubezpieczeniowego na świecie poprzedzili przyznanie certyfikatu drobiazgowym audytem Grupy PZU. Polski czempion przeszedł tę próbę wzorowo i tym samym uczynił pierwszy duży krok ku temu, by stać się globalnym graczem, którego wiarygodności nie da się zakwestionować pod żadną szerokością geograficzną.

Międzynarodowe sukcesy PZU naturalnie idą w parze z rosnącą pozycją Grupy na rynku polskim. O sile ubezpieczyciela świadczy skokowa poprawa wskaźników mimo wielu zdarzeń wymagających wypłaty odszkodowań, których nasilenie obserwowaliśmy w Polsce w trzecim kwartale ubiegłego roku.

– Grupa PZU dysponuje 300 mld zł aktywów, które wypracowały ponad 3 mld zł zysku netto po trzecim kwartale 2017 r., tj. niemal dwukrotnie więcej niż w analogicznym okresie 2016 r. Tak wysoka dynamika to zasługa zarówno większej obecności Grupy w sektorze bankowym, jak i poprawy rentowności w podstawowej działalności ubezpieczeniowej. Co ważne, mimo wzrostu szkodowości w trzecim kwartale, związanej głównie z silnymi nawałnicami i opadami deszczu, które nawiedziły nasz kraj, utrzymaliśmy rentowność we wszystkich kluczowych liniach biznesu. Systematyczne inwestycje w fundamenty gwarantujące rozwój PZU, dbałość o bazę klientów oraz utrzymywanie dyscypliny kosztowej sprawiają, że nawet w trudnych rynkowo okresach jesteśmy w stanie efektywnie zarządzać kapitałem i generować wysokie zyski, zachowując przy tym najwyższe standardy świadczonych usług – podkreśla Paweł Surówka, prezes PZU SA.

PZU stara się w sposób jak najbardziej efektywny dzielić owocami swojego wzrostu z klientami, zwłaszcza tymi wymagającymi szczególnej troski. Wspominaliśmy już o zdobyciu przez PZU grudniowej nagrody Insurance Innovation of the month, przyznanej przez EFMA – europejską organizację zrzeszającą bankowych i ubezpieczeniowych fachowców z 3,3 tys. firm. Największy polski ubezpieczyciel został wyróżniony za innowacyjny sposób obsługi klientów Głuchych i Niedosłyszących. PZU jako pierwsza firma w Europie uruchomił w 2017 r. trójstronne połączenia wideo przez internet z konsultantem w języku migowym.

W ubiegłym roku PZU nawiązało też współpracę z Centrum Onkologii w Bydgoszczy, które jako pierwszy ośrodek w Europie Środkowo-Wschodniej stosuje nowatorską metodę podawania chemii w aerozolu pacjentom z przerzutami nowotworów do otrzewnej. Innowacyjny zabieg PIPAC to uznany na świecie sposób leczenia pacjentów z zaawansowanym rozsiewem do otrzewnej raka żołądka, jelita grubego, trzustki, jajnika, wyrostka robaczkowego oraz wielu innych nowotworów jamy brzusznej. PZU finansuje urządzenie oraz koszty zabiegów.

W najbliższych dniach PZU przedstawi strategię działań swojej Grupy na kolejne lata. Szczegółów jeszcze nie podano, ale w PZU zapewniają, że wzrost zamożności Grupy przełoży się na wiele kolejnych wartościowych proklienckich rozwiązań, zgodnie z założeniem SOR, które mówi, że odpowiedzialny rozwój to taki, na którym korzystają wszyscy Polacy.

3/0118/F



eprasa.pl 9e6501059c

# Szyicki półksiężyc

Fot. Shutterstock

JAN ROKITA

*Przełom roku przyniósł falę rozruchów w Iranie, a także ostre retoryczne starcie Donalda Trumpa z tamtejszym reżimem. W sylwestra prezydent amerykański ogłosił (swoim zwyczajem na Twitterze), że: „Iran upada na wszystkich polach", a „wielki naród irański jest od lat prześladowany"*

Powodem kilku kolejnych irańskich tweetów Trumpa stały się napływające wieści o rosnącej od czwartku 28 grudnia fali rozruchów w perskich miastach i związanych z tym aresztowaniach. Kiedy Trump puszczał w świat swoją tezę o „upadającym Iranie", nie było jeszcze wiadomo, że w starciach z perskimi siłami bezpieczeństwa padły pierwsze ofiary śmiertelne. Dopiero 1 stycznia Al-Dżazira, w ślad za mediami perskimi, informowała o co najmniej dwunastu zabitych w kilku miastach na północy kraju. A także o tym, że rozruchy, które rozpoczęły się w Meszhedzie, blisko granicy z Turkmenią, przeniosły się już do stolicy kraju – Teheranu. Meszhed jest nie tylko świętym miastem, gdyż spoczywa tam ósmy szyicki imam Reza, lecz także dużym ośrodkiem akademickim. O wybuch rozruchów jest więc tam łatwiej niźli w stolicy, mocno kontrolowanej przez policję polityczną i obyczajową.

## PODWYŻKI, KORUPCJA, WEWNĘTRZNE SPORY

Zamieszki wybuchły w Iranie jednak nie z powodów politycznych, ale w proteście przeciw zwyżce cen. Nie wiedzieć czemu, symboliczna stała się kwestia rosnącej ceny jajek, a wiadomość, że w krótkim czasie wzrosła ona o 40 proc. (notabene, zdaje się, że podobnie jak w Polsce), długo pokazywała się na tzw. pasku w Al-Dżazirze. Iran nie przeżywa teraz jakiegoś wielkiego kryzysu gospodarczego, a umiarkowanemu politycznie prezydentowi kraju Hasanowi Rouhaniemu udało się nawet jakiś czas temu zdusić hiperinflację, wywołaną długim okresem izolacji kraju i nakładanych nań sankcji.

W ciągu pierwszej kadencji prezydenckiej (2013–2016) Rouhani odnotował faktyczne sukcesy, jak choćby właśnie zdławiona hiperinflacja czy wiedeński układ atomowy z Obamą, który umożliwił otwarcie gospodarki na świat i powrót do eksportu ropy. Ale obecna druga kadencja nie wygląda już tak dobrze, a ceny i podatki poszły w górę, przy dużym bezrobociu (wśród młodzieży ok. 40 proc.). Na dodatek, o ile Obama upatrywał w prezydencie Rouhanim „liberała" pragnącego naprawy relacji Iranu ze światem, o tyle Trump – przeciwnie – nie bawi się w takie subtelności, a Iran traktuje (obok Korei Płn.) jak najgroźniejszego wroga Ameryki i jej bliskowschodnich sojuszników: Izraela i Arabii Saudyjskiej. Narastający w ciągu 2017 r. kryzys w stosunkach z USA, a zwłaszcza nieustanne spekulacje na temat możliwego wybu-



eprasa.pl 9e6501059c

chu wojny, z natury rzeczy nie sprzyjają ekonomii kraju, a dużymi inwestorami zagranicznymi, którym ta sytuacja nie przeszkadza, są dziś głównie Chińczycy.

Iran przeszedł przez wielką falę rozruchów dziewięć lat temu, podczas tzw. zielonej rebelii 2009 r. O ile jednak ówczesny bunt wywołany został oszustwami przy wyborach prezydenckich i miał swoich liderów oraz jasny program politycznej liberalizacji kraju, o tyle obecne zamieszki są spontaniczne, niekoordynowane i mają podłoże socjalne. „Zielona rebelia" została co prawda wtedy stłumiona siłą, ale wymagało to przewlekłej fali represji, która na dobrych kilka lat (co najmniej do wyboru Rouhaniego w 2013 r.) zaciążyła nad polityką kraju.

Obecny chaotyczny bunt, wywołany biedą i drożyzną, powinien być w zasadzie łatwiejszy do siłowego stłumienia przez władze. Ale w obliczu kiepskich perspektyw ekonomicznych może też nieoczekiwanie przerodzić się w socjalną rewoltę i sprowokować ostre walki wewnątrz zamkniętej perskiej elity władzy. Tym bardziej że nie od dziś jest to elita podzielona na walczące z sobą frakcje, które niemal od pierwszej chwili rozruchów wykorzystują je do własnych rozgrywek. Skądinąd jest to ten sam mechanizm władzy, który tak dobrze znamy z dziejów dawnej PZPR.

Widać to wyraźnie, gdy słucha się debat na temat kryzysu perskiego, toczonych w programach Al-Dżaziry. „Twardogłowi" zwolennicy teokracji, związani z przywódcą kraju ajatollahem Alim Chamenei, zarzucają rządowi Rouhaniego, że jest nieudolny, bo nie potrafił przekuć skutków układu wiedeńskiego, przełamującego izolację kraju, na szybki rozwój gospodarczy. Z kolei „liberałowie" bronią Rouhaniego, dowodząc, iż ma on w istocie związane ręce, gdyż (jak się szacuje) 50–60 proc. gospodarki kraju kontroluje nie jego rząd, ale Gwardia Strażników Rewolucji, która wraz z kastą najwyższych kapłanów rozkrada kraj na skalę trudną do wyobrażenia. Istotnie, w międzynarodowych rankingach Iran figuruje na samym dnie wszelkich tabel, a kapłańska elita kraju uważana jest za przykład korupcji niemal doskonałej.

## GLOBALNE ZAGROŻENIE

A wszystko to jest warte uwagi, gdyż idzie nie o jakiś tam kraj azjatycki, ale o państwo odgrywające coraz większą rolę na Bliskim Wschodzie, taktycznie sprzymierzone z Moskwą, w Waszyngtonie uważane za czołowego i groźnego wroga, a na dodatek toczące niemal otwartą religijno-imperialną wojnę z większością arabskich sąsiadów. Kraj, którego armia i finansowane przezeń szyickie milicje odegrały decydującą rolę w wojnie syryjskiej, którą faktycznie wygrały. Regionalne mocarstwo, którego strefa wpływów obejmuje dziś politycznie stracony przez Obamę Irak i politycznie rozchwiany Liban i które jest de facto stroną w okrutnej wojnie toczącej się w Jemenie. Tę tworzącą się perską strefę wpływów król Jordanii Abdullah nazwał kiedyś zręcznie „szyickim półksiężycem" z racji kształtu, jaki przybiera ona na mapie Bliskiego Wschodu.

Głównym wrogiem takiej geopolitycznej przebudowy regionu jest królewska rodzina Saudów, która najchętniej widziałaby amerykański plan prewencyjnego uderzenia na swego śmiertelnego wroga. A także Izrael, który potęgę perską, wcześniej czy później wyposażoną w broń atomową, uważa za groźbę dla swojego własnego istnienia. W takich okolicznościach każda walka frakcyjna w Teheranie, a tym bardziej każda rewolta w tym kraju, przyciąga uwagę świata i nabiera wymiaru polityki globalnej.

Zarówno Donald Trump, jak i jego ministrowie uprawiają zimnowojenną retorykę wobec Teheranu. W połowie grudnia amerykańska ambasador w ONZ Nikki Haley wystąpiła w bazie wojskowej na tle szczątków potężnej irańskiej rakiety, która – według jej słów – została wystrzelona z Jemenu i miała uderzyć w odległą o tysiąc kilometrów saudyjską stolicę Rijad; jednak w locie została strącona. Haley zapowiedziała, że: „Ameryka buduje koalicję, która odeprze Iran". W Teheranie oburzono się wtedy, pryncypialnie twierdząc, że Amerykanie „fabrykują dowody" obecności perskich rakiet balistycznych w rozbitym wojną Jemenie. Ale śledztwo przeciw Iranowi podjęła tym razem także ONZ.

Dwa dni przed teatralnym wystąpieniem Haley, 12 grudnia w Waszyngtonie, zawarta została tajna umowa amerykańsko-izraelska, precyzująca ponoć szczegóły wspólnego przeciwstawiania się potędze perskiej przez oba państwa. Taki przeciek pojawił się w każdym razie kilka dni później w mediach izraelskich i nikt następnie mu nie zaprzeczył. Miesiąc wcześniej następcą tronu saudyjskiego został 31-letni książę Salman, saudyjski „liberał i nacjonalista" (posługując się europejskimi kategoriami), zawzięty wróg potęgi irańskiej i zwolennik modernizacji Arabii Saudyjskiej.

Ale co ciekawe, w politycznej praktyce nie doszło dotąd nawet do zerwania wiedeńskiego układu z Iranem, zawartego przez Obamę, a przez Trumpa nazwanego „najgorszym układem w dziejach USA", choć dla takiej akcji prezydent miałby poparcie republikańskich senatorów na Kapitolu. Widać, że na razie w wojnie z Teheranem retoryka jest o wiele ostrzejsza od realnej polityki. Możliwe, że przedłużająca się rebelia socjalna, przemoc wewnętrzna i walki frakcyjne między szyickimi kapłanami w Iranie staną się zachętą do podjęcia większych kroków przez antyperską koalicję.

> Na razie w wojnie z Teheranem retoryka antyperskiej koalicji jest o wiele ostrzejsza od realnej polityki. Czy przedłużająca się rebelia socjalna, przemoc wewnętrzna i walki frakcyjne między szyickimi kapłanami w Iranie to zmienią?



eprasa.pl 9e6501059c

# Epoka kobiet?

TADEUSZ BRZOZOWSKI

Amerykanie John Gerzema i Michael D'Antonio plon swoich podróży, rozmów i badań zawarli w książce „Doktryna Ateny". Mówi ona o tym, że to właśnie cechy kobiece, takie jak szczerość, otwartość na ludzi, empatia, współpraca czy cierpliwość, mają kluczowe znaczenie przy zmianach świata na lepsze. I to właśnie one, a nie arogancja, siła, bezkompromisowość i przemoc są najbardziej pożądanymi cechami współczesnego skutecznego przywództwa politycznego i biznesowego. Czy więc XXI w. może być czasem kobiet? Niech na to pytanie odpowiedzą kobiety z tej części świata, gdzie żyje ich najwięcej.

## NA POLITYCZNYCH SZCZYTACH

W wielu miejscach na świecie męski konserwatyzm powoli ustępuje przed



eprasa.pl 9e6501059c

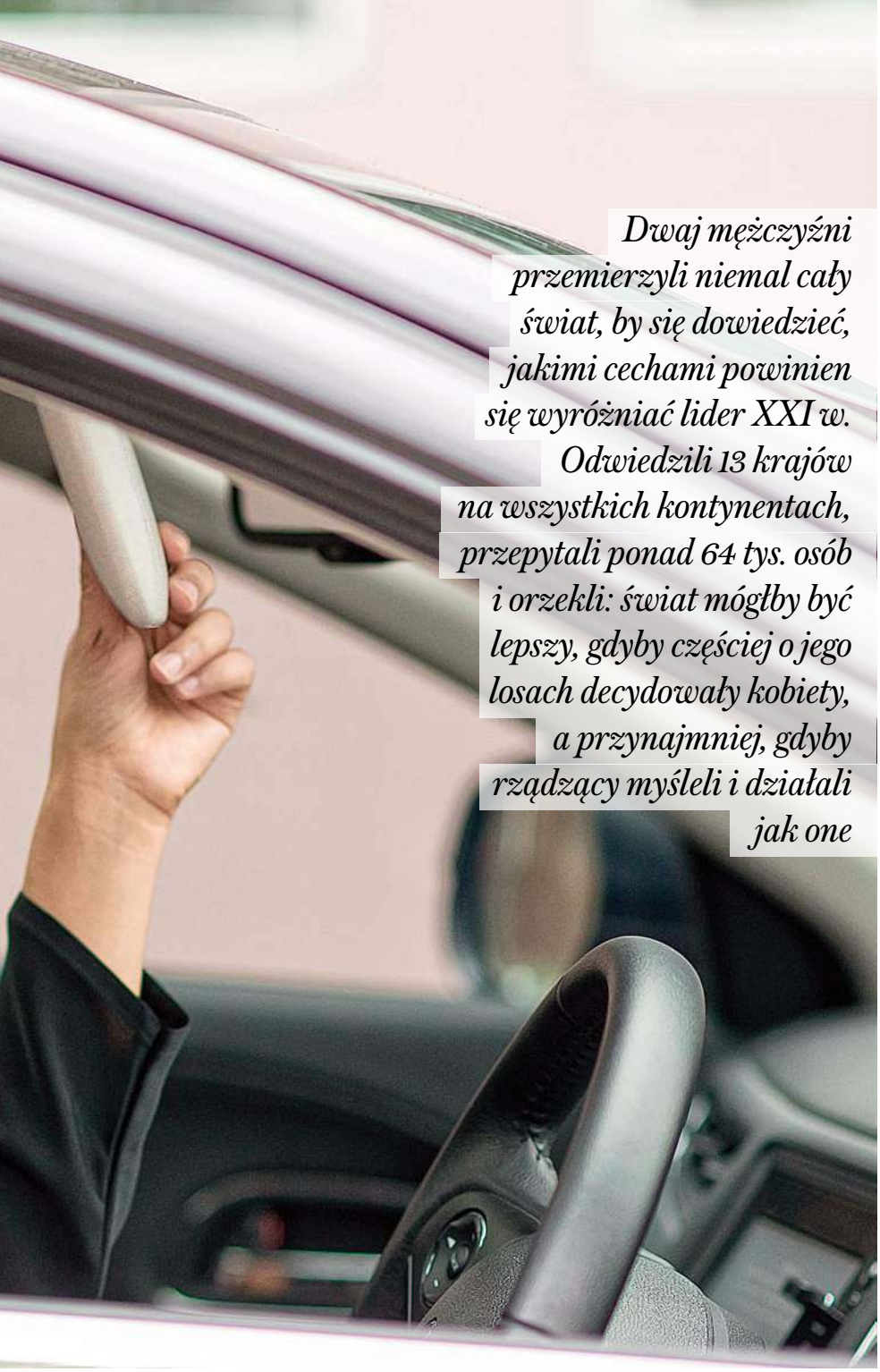

*Dwaj mężczyźni przemierzyli niemal cały świat, by się dowiedzieć, jakimi cechami powinien się wyróżniać lider XXI w. Odwiedzili 13 krajów na wszystkich kontynentach, przepytali ponad 64 tys. osób i orzekli: świat mógłby być lepszy, gdyby częściej o jego losach decydowały kobiety, a przynajmniej, gdyby rządzący myśleli i działali jak one*

Fot. Shutterstock

kobiecym uporem. Król Arabii Saudyjskiej Salman zdecydował właśnie, że jego poddane już wkrótce będą mogły same prowadzić samochód. Wyłomu w skostniałym prawie jednego z najbardziej represyjnych państw świata dokonał jego poprzednik Abd Allah, przyznając 30 kobietom miejsca w radzie królewskiej i – co więcej – dając im czynne i bierne prawo wyborcze, z którego po raz pierwszy skorzystały w 2015 r. Na wybory doprowadzili je jednak ich mężczyźni. Późno? Arabia Saudyjska chętnie nazywana jest monarchią średniowiecznego typu. Po przeciwnej stronie zwykle stawia się Szwajcarię, jedną z najstarszych europejskich demokracji, która prawa wyborcze przyznała kobietom w 1971 r., a jeden z kantonów dopiero w roku 1990, Księstwo Liechtenstein w 1984 r. Takich praw wciąż pozbawione są kobiety w położonym na wyspie Borneo sułtanacie Brunei, a w Libanie o ich dostępie do urn decyduje wykształcenie.

Coraz częściej kobiety sprawują władzę w tradycyjnie patriarchalnych państwach Afryki i Azji. W październiku 2017 r. z funkcji prezydenta Liberii ustąpiła Ellen Johnson-Sirleaf, wybrana w 2005 r., tuż po krwawej wieloletniej wojnie domowej. Była pierwszą Afrykanką, która sięgnęła po tak wysokie stanowisko, jeśli nie liczyć Carmen Pereiry, która w 1984 r. przez trzy dni była głową państwa w Gwinei Bissau. Magazyn „Forbes" uznał Sirleaf za jedną z najbardziej wpływowych kobiet świata. Koniec jej kadencji oznacza, że po raz pierwszy od kilkunastu lat żadne afrykańskie państwo nie jest zarządzane przez kobietę. Niewiele brakowało, aby sytuację tę zmieniła Grace Mugabe, żona odsuniętego w listopadzie bieżącego roku od władzy znienawidzonego przez ludzi prezydenta Zimbabwe Roberta Mugabego. W sąsiedniej Republice Południowej Afryki do objęcia fotela prezydenta szykuje się Nkosazana Dlamini-Zuma, była żona obecnej, równie niepopularnej co Mugabe, głowy państwa. Jej ewentualne zwycięstwo mogłoby zrewolucjonizować Afrykę, dla której RPA jest wciąż niedościgłym wzorem. Do dzisiaj też wspominana jest Caroline Faye Diop, która rozpoczęła afrykańską emancypację, gdy w 1968 r. zasiadła w ławach senegalskiego parlamentu. W 1978 r. prezydent Senegalu powołał ją, ku oburzeniu męskiej części kontynentu, a radości żeńskiej, na stanowisko ministra. Na drugim krańcu Afryki, w Malawi, przez dwa lata – od 2012 do 2014 r. – prezydentem była Joyce Banda. W tym czasie zdążyła sprzedać odrzutowiec swego poprzednika za 15 mln dol., sobie obniżyć pensję o 30 proc. i zaprzyjaźnić się z Madonną.

Kolejne przykłady znajdziemy w Azji. W Indiach 12. prezydentem do 2012 r. była Pratibha Devisingh Patil, która – dla odmiany – na zagraniczne podróże, zawsze w licznym towarzystwie członków rodziny, wydała najwięcej pieniędzy w historii indyjskiej prezydentury. Ten kraj ma długą tradycję obecności kobiet na politycznych



eprasa.pl 9e6501059c

szczytach. Ministrem Mahatmy Ghandiego była Sarojini Nauidu, w latach 70. dwukrotnie stanowisko premiera piastowała Indira Ghandi. W sąsiedniej Birmie funkcję pierwszego doradcy państwa, czyli de facto premiera, pełni od 2016 r. laureatka Nagrody Nobla Aung San Suu Kyi. Między Afryką a Indiami, na maleńkiej wyspie Mauritius, także kobieta Ameenah Gurib jest głową państwa. Niewiele to pomaga tutejszym biznesmenkom, które rejestrując firmę, potrzebują jednego dnia i jednego dokumentu więcej niż mężczyźni. Dwukrotnie w pierwszej połowie lat 90. premierem w muzułmańskim Pakistanie była Benazir Bhutto, zamordowana w 2007 r. Do tej długiej listy należałoby jeszcze dodać wiele kobiecych imion z tej części świata, bo nie brakowało ich ani w Azji – w Bangladeszu, Sri Lance, Indonezji czy Tajlandii, ani w Afryce – w Burundi, Mozambiku, czy w Republice Środkowoafrykańskiej.

## NIE TYLKO „PAPROTKI"

Padają zarzuty, że kobiety na wysokich stanowiskach to zwykle marionetki, w najlepszym razie twarze, które mają polepszać wizerunek skorumpowanego państwa. W dużej mierze to prawda, ale są też kobiety mające realną władzę, zajmujące tzw. męskie ministerstwa. Ngozi Iweala-Okonji dwukrotnie była ministrem finansów Nigerii i ministrem spraw zagranicznych. Wpływową wiceprezydent w muzułmańskiej Tanzanii jest Samia Suluhu Hassan. I ostatni przykład z Półwyspu Arabskiego, gdzie Sheikha Lubna al Kasimi jest pierwszą kobietą ministrem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Swego czasu stała na czele niezwykle ważnego ministerstwa odpowiedzialnego za gospodarkę i planowanie.

A trzeba pamiętać, że w wielu państwach afrykańskich, a zwłaszcza w środowisku muzułmańskim, kobieta nie może rozkazywać mężczyznom, więc opór przed powierzaniem im stanowisk rządowych jest olbrzymi. W arabskich krajach kobietom nie wolno wychodzić z domu, jeśli nie idą do meczetu. Żadnej nie przyszedłby do głowy pomysł, by wybrać się do kina czy restauracji. W Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą wyjść z domu bez ubioru osłaniającego twarz i ciało. Mogą podróżować tylko w towarzystwie mężczyzn. Mąż staje się ich opiekunem, którym wcześniej był brat, ojciec, dziadek lub syn, a bez którego zgody nie mogą pójść na studia, do pracy, wyjechać za granicę, a nawet z miasta. Obyczajowe okowy w tym królestwie pękają wolno, ale nieodwracalnie. Kiedy w 2012 r. na igrzyskach w Londynie pojawiły się zakryte od stóp do głów arabskie sportsmenki, radykalni duchowni okrzyknęli je prostytutkami. Jednak już we wrześniu 2017 r. na stołecznym stadionie narodowym w Rijadzie otworzono sektor przeznaczony dla pań.

Z tej perspektywy patrzeć należy na polityczne kariery oraz to, że kobiety w tej części świata coraz częściej spotkać można w poselskich ławach, nieraz jest ich znacznie więcej niż w dojrzałych demokracjach zachodnich. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich panie stanowią 20 proc. składu miejscowego parlamentu, w Algierii – 50 proc., w Senegalu – 43 proc., w RPA – ponad 40 proc., a w Rwandzie – 61 proc. Dla porównania w amerykańskim Kongresie jest ich mniej niż 20 proc, w Wielkiej Brytanii – 30 proc., a w węgierskiej i japońskiej izbie ledwie 10 proc.

## W KULTUROWYM GORSECIE

Wspomniana Japonia ma jeden z najniższych na świecie wskaźników udziału kobiet w administracji centralnej (znacznie lepszą pozycję mają panie na Filipinach, w Chinach czy Korei Południowej), a z drugiej strony, jeden z wyższych, jeśli chodzi o ich udział w wyborach. Status kobiety w Japonii jest niski, podobnie jak w państwach Bliskiego Wschodu, choć te dwie części świata dzieli cywilizacyjna przepaść. Oficjalnie Japonia premiera Shinzo Abe postawiła sobie za cel zwiększenie do 2020 r. udziału kobiet w zarządzaniu państwem i spółkami prywatnymi do jednej trzeciej, ale skończył rok 2017, a ich pozycja ani drgnęła. Japonii, jak każdej innej gospodarki, nie stać na marnotrawienie potencjału kobiet, dlaczego więc polityka, którą szumnie zapowiedziano jako „womenomics", jest wielką porażką? Za ten stan wini się głównie wielowiekowe uprzedzenia i kulturowe, niezrozumiałe dla przedstawicieli Zachodu uwarunkowania.

– Dowodem zahukania Japonek niech będzie to, że o nasze prawa walczą głównie mężczyźni. Moim zdaniem winny jest też praktykowany w Japonii konfucjanizm, który mężczyznom przyznał miejsce na zewnątrz, kobietom wewnątrz. My miałyśmy być ryosaikenbo, czyli dobrymi żonami i mądrymi matkami. Stare japońskie powiedzenie mówi: kobieta w młodości powinna być posłuszna ojcu, w wieku dorosłym mężowi, na starość synowi. Ta filozofia wciąż jest zakorzeniona w naszym społeczeństwie, bo kiedy np. mówimy mąż, używamy określenia shujin, czyli najważniejsza osoba. W czasach młodości mojej mamy kobieta przed czterdziestką nie mogła swobodnie opuszczać domu, jeśli nie miała ku temu ważnego powodu – wyjaśnia w rozmowie z „Sieci" Yuki, pracownica japońskiej ambasady w Zambii.

Normy kulturowe w życiu politycznym i społecznym Japonii są kobietom nieprzyjazne, wręcz wrogie. Problem ten dotyczy jednak wielu azjatyckich społeczeństw.

– Teoretycznie według konstytucji kobieta ma takie same prawa jak mężczyzna, ale konstytucja sobie, życie sobie. Podobnie jak większość Tajów jestem buddystką, bardzo zaangażowaną. Przed kilkoma laty zrezygnowałam z narzuconej mi przez rodzinę tradycji Therawady i przeszłam do szkoły Nishiren należącej do Mahayany. Wyobraź sobie, że stara, konserwatywna Therawada uczy, że kobieta, aby osiągnąć nirwanę, musi się odrodzić jako mężczyzna. Mimo że Budda nie widział żadnej różnicy między nami, tradycja zrobiła z nas istoty nieczyste i nierówne mężczyznom. Mój francuski mąż najpierw dla żartu, później coraz częściej wykorzystywał ten fakt, aż stało się to nieprzyjemne. Teraz mój kościół to ja – opowiada Anong, Tajka, która od dziesięciu lat mieszka na Mauritiusie z mężem, szefem kuchni jednego z tutejszych wielkich hoteli.



eprasa.pl 9e6501059c

– Choć zachodnia moda już dawno zagościła w Tajlandii, pozostał jeden dość denerwujący zwyczaj, ba, obowiązek noszenia w miejscu pracy czy na uczelni spódnic zamiast spodni. W kraju, gdzie większość ludzi przemieszcza się motorami i skuterami, tworzy to dość krępujące sytuacje, zwłaszcza kiedy jest się pasażerką, bo trzeba siedzieć bokiem do kierunku jazdy – dodaje Anong.

Mieszane małżeństwa Tajek nie zawsze należą do najszczęśliwszych związków. Anong powiedziała mi o szkołach, które na koszt państwa powstają w Bangkoku, gdzie dziewczęta, przyszłe żony Europejczyków czy Amerykanów, uczone są, czego powinny się spodziewać po przyszłych mężach i jak reagować na potencjalnie kryzysowe sytuacje. Zwłaszcza jak nie stać się ofiarą handlu prowadzącego zwykle do prostytucji.

Zaczyna się od propozycji atrakcyjnej pracy w zagranicznym hotelu za kilkaset dolarów miesięcznie, a często kończy przymuszeniem do świadczenia usług seksualnych. Tajlandia od czasów wojny wietnamskiej nieprzerwanie jest jednym z najbardziej popularnych miejsc seksturystyki, w której nierzadko wykorzystuje się dzieci. Ostatnie bardzo nieprecyzyjne dane pochodzą z 2007 r. i mówią o co najmniej 60 tys. nieletnich tajskich prostytutek.

## POWSZEDNIA PRZEMOC

Problem nie ogranicza się do Tajlandii. Światowy handel kobietami i dziewczętami w celach seksualnych to lukratywny biznes przynoszący rocznie co najmniej 100 mld dol. zysku. Coraz częściej zamiast brutalnych i ryzykownych porwań handlarze wybierają przemycanie dziewczyn z wykorzystaniem uwodzicieli udających romantyczne zauroczenie. Większość przeżywa szok po pierwszym gwałcie adoratora i odebraniu paszportu. Handlu ludźmi nie ograniczają granice, kolor skóry ani wyznanie. Według Biura ds. Narkotyków i Przestępczości ONZ jego ofiarami są 152 różne narodowości zidentyfikowane w 124 krajach na całym świecie.

W świecie muzułmańskim gwałt upokarza kobietę podwójnie, bo aby udowodnić swą niewinność, musi przedstawić czterech męskich świadków. Jeśli gwałciciel przekona sąd, że wszystko odbyło się za zgodą kobiety, nie ponosi żadnych konsekwencji. Jeśli natomiast wyprze się jakiegokolwiek z nią kontaktu, a ta nie przedstawi świadków ani dowodów – badania DNA nie są brane pod uwagę – sąd uzna, że przyznała się do cudzołóstwa, co w niektórych krajach kończy się kamienowaniem lub w najlepszym razie publiczną chłostą. W Iranie, w niektórych częściach Afganistanu, w Pakistanie, na terenie tzw. Państwa Islamskiego i do niedawna w Arabii Saudyjskiej nietrudno zasłużyć na kamienowanie. Niewierność czy splamienie honoru rodziny, zdecydowane przeciwstawienie się głowie rodziny albo po prostu pomówienie może się zakończyć tym procederem. Kobietę zakopuje się w ziemi i w wystającą głowę ciska się kamieniami.

Równie źle sytuacja wygląda w Indiach. Surabi jest żoną ambasadora Indii, ale mówiąc o sytuacji kobiet w swoim kraju, szybko zbacza z dyplomatycznej ścieżki. – Przyzwolenia na gwałt nie ma, nowe prawo jest bardzo surowe wobec gwałcicieli. Niestety, jest ich coraz więcej i niewiele pomaga to, że mamy kobietę prezydenta i tysiące żeńskich bóstw, z Boginią Matką na czele. Indie to kraj, w którym kobiety traktowane są jak obywatele drugiej kategorii i w którym codziennością jest przemoc na tle seksualnym. Panie zachęca się do noszenia noży, a premier zarządził właśnie, by wszystkie telefony komórkowe wyposażone były w przycisk bezpieczeństwa powiadamiający operatora o zagrożeniu.

W afrykańskich krajach objętych wojną domową gwałt bywa wykorzystywany jako broń, do zastraszania i utrzymywania w posłuszeństwie miejscowej ludności, do realizowania chorych religijnych mrzonek, jak w przypadku Nigerii, gdzie w 2014 r. islamscy bandyci z Boko Haram porwali 276 uczennic. Życie nastolatek zamieniło się w piekło tylko dlatego, że dziewczęta chodziły do prowadzonej w zachodnim stylu szkoły. Koszmarna sytuacja panuje w Republice Południowej Afryki, gdzie rocznie zgłaszanych jest ok. 50 tys. gwałtów na kobietach, a szacuje się, że policja informowana jest tylko o jednym z dziewięciu przypadków. Również spokojne – zdawałoby się – Zimbabwe i Zambia nie są wolne od brutalnej przemocy seksualnej, zwłaszcza na młodych dziewczętach.

W wielu krajach południa Afryki panuje przekonanie, że seks z dzieckiem chroni przed HIV. – Najczęściej dzieje się to w domach. Nieważne, czy w Lusace, czy na wsi, oczywiście częściej w rodzinach biednych, choć nie ma reguły. Zambijska kobieta, gdy idzie do pracy, zwykle zostawia swoje córki pod opieką innych kobiet – mówi moja zambijska przyjaciółka Suzio i zwraca uwagę na bondo, czyli zwyczaj obrzezywania dziewczynek, kolejny problem nie tylko afrykańskich kobiet. To wciąż w wielu krajach temat tabu, skrywany przed opinią publiczną przez odpowiedzialne za tę brutalną inicjację starsze kobiety tworzące na poły tajne stowarzyszenia. W Afryce najwięcej tych ceremonii przeprowadza się w Sierra Leone, ale też w Kongu, Tanzanii, Ghanie. Na świecie problem dotyczy ponad 30 krajów, oprócz afrykańskich także tych bliskowschodnich, i nieobcy jest imigracyjnym środowiskom w Europie, Australii czy USA.

Według danych ONZ na świecie obrzezaniu poddawanych jest rocznie 2 mln młodych kobiet, najczęściej w wieku 4–15 lat.

Czy XXI w. możemy już ogłosić wiekiem kobiet?

> Japonia ma jeden z najniższych na świecie wskaźników udziału kobiet w administracji centralnej, a z drugiej strony, jeden z wyższych, jeśli chodzi o ich udział w wyborach



eprasa.pl 9e6501059c

# Wesołego nowego roku!

Wszyscy obywatele w napięciu oczekują noworocznego orędzia przywódcy swojego kraju. Takie orędzie przypomina deklaracje wyborcze ubiegających się o elekcję lub reelekcję liderów partyjnych. Nie było inaczej w tegorocznych wystąpieniach szefów rządów i państw Unii Europejskiej. Nas interesują ci najważniejsi, najpotężniejsi, a więc ci, którzy trzęsą naszą wspólnotą, czyli Niemcy i Francja. Reszta starej Europy szarpie się z narastającym kryzysem, zwłaszcza imigranckim. I raczej tego nie ukrywa, gdyż w erze powszechnej komunikacji elektronicznej nie da się już niczego ukryć. Nawet w krajach Beneluksu, czyli trzech minipaństwach, co rusz wychodzą na wierzch skrzętnie skrywane konflikty wewnętrzne. Jak np. to, że Belgii grozi rozpad na trzy państwa, a jednym z nich będzie Bruksela. Ktoś może uznać, że z takich „państw" to można pęknąć ze śmiechu.

Bruksela jako państwo? Miasto Rzym też na początku było miastem-państwem, aż się rozrosło na niemal całą Europę. A jak już się stało mocarstwem, to się rozpadło. Bruksela także będzie miastem-państwem, następnie stolicą państwa brukselskiego, które zacznie się rozpadać, od rubieży poczynając. Tak było z Rzymem, Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego i brytyjskim mocarstwem kolonialnym. Wszystkie padły i do tego stopnia spsiały, że zamiast trząść kontynentem, trzęsą się ze strachu przed muzułmańskim kalifatem.

A poza tym – jak głosi powiedzenie – w domu wszyscy zdrowi, choć nieco poobijani. Mamy nowy 2018 r. i wszystko przed nami. No, prawie wszystko. My, Polacy, mamy już wiele za sobą, przede wszystkim reformy rządu Zjednoczonej Prawicy, korzystne dla gospodarki i dla poprawy bytu obywateli. Przed nami natomiast jest szarpanina z wewnętrzną opozycją i brukselskim establishmentem pod wodzą Angeli Merkel i prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Ich stosunek do polskich reform jest taki sam jak Timmermansa czy Junckera, lecz w swoich orędziach nie skupili się na Polsce, bo robią to za nich ich media oraz politycy różnych opcji, ale zgodnie występujący „w obronie demokracji" w naszym kraju.

Niemcy dowiedzieli się od Angeli Merkel, że wkrótce utworzy „stabilny rząd", który konstruuje już od czterech miesięcy i końca nie widać. Co gorsza, cieszy się coraz mniejszym zaufaniem swoich obywateli, nie ufa jej już 53 proc. Niemców. A byłemu i ewentualnie ponownemu koalicjantowi w osobie Martina Schulza nie ufa aż 67 proc. Nie zdziwię się, jeśli skończy się to przedterminowymi wyborami do Bundestagu. I wówczas może być i śmiesznie, i strasznie, bo w kraju coraz większą popularnością cieszy się antyimigrancka partia Alternatywa dla Niemiec (AfD). Oczywiście propaganda mediów, sterowana z kancelarii Merkel i Macrona, robi wszystko, żeby niemiecki dramat wywołany otwarciem drzwi dla imigrantów ekonomicznych nie wywoływał zbytnich emocji w społeczeństwie i wyglądał niewinnie w porównaniu z łamaniem praworządności przez polski rząd.

W noworocznych życzeniach dla naszego kraju składanych przez lewicę i lewackie media nie brak dobrych rad, np. żebyśmy się pogodzili co do tego, co jest istotą demokratycznego i wolnego państwa, i nie dali sobie wyperswadować „swojej proeuropejskiej pasji". Proeuropejską pasję zademonstrował przywódca SPD Martin Schulz, zapowiadając przekształcenie do 2025 r. Unii Europejskiej w Stany Zjednoczone Europy, a państwa, które nie wyrażą na to zgody, będą się musiały wynieść z UE. Pomysł Schulza spotkał się z reprymendą ze strony chadecji – CDU i CSU – która jest przeciwna tej chorej skądinąd idei. Odpór dał wybitny polityk i wieloletni działacz CDU, przewodniczący Bundestagu, niepełnosprawny po przeprowadzonym na niego zamachu, Wolfgang Schäuble i oświadczył, co następuje: „Ludzie wszędzie w Europie najwidoczniej odczuwają potrzebę znalezienia oparcia w narodowo-państwowej tradycji". Błędem byłoby „odebranie im tego poczucia bezpieczeństwa i narodowych więzów".

*Merkel będzie tworzyć rząd, a Macron w orędziu noworocznym ogłosił dalsze zacieśnianie przyjaźni i współpracy francusko-niemieckiej*

Merkel będzie tworzyć rząd, a Macron w swoim orędziu noworocznym ogłosił dalsze zacieśnienie przyjaźni i współpracy francusko-niemieckiej i zapowiedział, że Francja nadal będzie przyjmować uchodźców. Zapowiedział również „demokratyzację" Europy poprzez „demokratyczne konferencje", dzięki czemu obywatele będą mieli więcej do powiedzenia na temat przyszłości Europy. Nam nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć Berlinowi, Paryżowi i Brukseli wesołego nowego roku.



eprasa.pl 9e6501059c

# Z Lucyferem nie ma żartów

Doczekaliśmy się niebywałego wystąpienia profesor nadzwyczajnej, etyczki i filozofki, a także feministki Magdaleny Środy, które jeden z forumowiczów skomentował pytaniem: „Kto rozdawał takim ludziom doktoraty?”. Kto? Nie do końca wiadomo, ale Magdalena Środa jest córką marksistowskiego socjologa prof. Edwarda Ciupaka, który jednak się nawrócił i przed śmiercią przyjął sakramenty. Czy jego córka też się nawróci? Wszystko możliwe, wszak jak trwoga, to do Boga. A z Lucyferem nie ma żartów.

A ma się czym trwożyć pani profesor całkiem nadzwyczajna. Ona pała tak straszną nienawiścią do konserwatywnej Polski, że jej zwolenników nazwała „gnidami”. Na Facebooku, co zacytował skwapliwie portal Wirtualna Polska, napisała: „Różne gnidy cieszą się popularnością”. A dlaczego są gnidami? Bo przez nich „przyzwoitość jest nazywana zdradą, zniewolenie wolnością, konformizm służbą, hucpa i pycha godnością, kompromitacja – wstawaniem z kolan, rydzykomania – chrześcijaństwem...”.

Można rzec, kobieta straciła kontakt z rzeczywistością. Dla kogo to napisała? Dla tych łobuzów, co pod wpływem jej jadu demolują biura posłów PiS? A może dla chamów i im podobnych prymitywów, co lżą dziennikarki telewizji publicznej? Przecież nie dla normalnych obywateli, którzy stanowią zdecydowaną większość narodu i popierają dobrą zmianę, a wielu się z niej cieszy. Za kogo uważa się pani profesor? Za moralny autorytet postkomunistycznej ekipy, spanikowanych prominentów III RP? Bo przecież nie młodzieży ani tym bardziej ludzi znających świat i czerpiących z dobrych zagranicznych wzorów, a nie z awansu społecznego, który umożliwił komunizm ambitnym pseudointeligentom. Wielu z nich nie dysponuje nawet codzienną ogładą, bo skąd niby mieli ją brać. W domu się tak mówiło: „Ty gnido!”. Może nie?

***Krystyna Grzybowska***


polecamy
WSKLEPIKU.PL

**KRÓTSZE RAMIĘ MOSKWY**
Lech Kowalski

Organa WSW były typową bezpieką wojskową, policją polityczną, która na co dzień ściśle współpracowała z bezpieką cywilną. Niniejsza monografia obejmująca lata 1957–1990, wiedzie od kołyski bezpieczniackiej po resortową emeryturę, wszechstronnie dokumentując działalność wojskowych służb specjalnych Polski Ludowej. Ukazuje zasady funkcjonowania formacji, przedstawia kadrę dowódczą i motywy jej postępowania, ułatwiając zrozumienie pozornie niezwiązanych ze sobą mechanizmów transformacji po roku 1989 r.

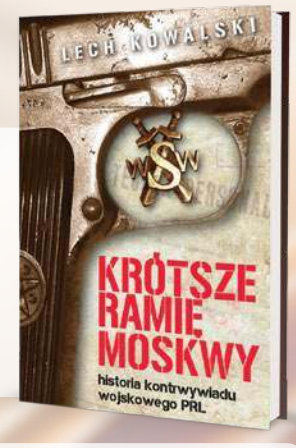


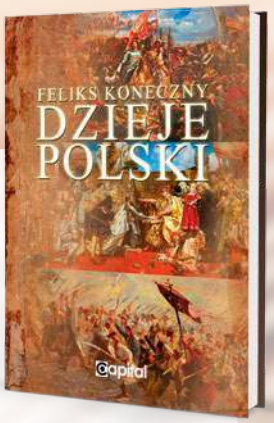


**DZIEJE POLSKI**
Feliks Koneczny

Praca profesora Feliksa Konecznego jest jedną z najciekawszych i najbardziej przystępnych pozycji książkowych opisujących nasze dzieje. Autor z należytą starannością bada wydarzenia, które miały największy wpływ na naszą historię. Opisuje dzieje Polski od początków powstawania państwa aż po czas rozbiorów.

**ARYSTOKRACJA. POWOJENNE LOSY POLSKICH RODÓW**
Agnieszka Lewandowska-Kąkol

Rody, które na trwałe zapisały się w historii Polski. Nazwiska, które znamy z podręczników; wielcy bohaterowie, wodzowie, kanclerze. Zawsze – w pierwszych szeregach, kiedy nadciągały dziejowe zawieruchy. Nadszedł jednak czas, gdy kataklizm zmiótł polskie rody arystokratyczne z areny dziejów chyba bezpowrotnie. Osiem rozdziałów o wielkich polskich rodach arystokratycznych: Braniccy, Czartoryscy, Czetwertyńscy, Dzieduszyccy, Krasiccy, Potoccy, Tarnowscy, Zamoyscy.

AUTOPROMOCJA

**Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:**
**22 836 54 45**


eprasa.pl 9e6501059c

# Polacy biedni czy bogaci

*Europa nie pamięta już biedy w łachmanach i głodzie, takiej jak z początków XX w. Polska też bogaci się szybko, ale ma jeszcze sporo do nadrobienia*

EWA WESOŁOWSKA

To, że Polska poczyniła spore postępy w walce z biedą, widać nie tylko gołym okiem, lecz również w danych. Z informacji Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w 2016 r. w tzw. skrajnym ubóstwie żyło 4,9 proc. Polaków, czyli o 1,6 proc. mniej niż w 2015 r. Nieźle wypadamy także w badaniach Eurostatu: odsetek osób dotkniętych tzw. deprywacją materialną i społeczną w 2016 r. w Polsce wyniósł 12 proc. i był niższy niż we Francji, w Belgii czy Wielkiej Brytanii.

Warto podkreślić, że jeszcze w roku 2014 odsetek ten wynosił w Polsce 20 proc., a więc przez dwa lata spadł o 8 pkt procentowych. Szybciej z biedą walczyły jedynie Malta (-12,4 pkt), Łotwa (-9,5) oraz Węgry (-9,1). Jedynymi krajami, w których w omawianym okresie sytuacja się pogorszyła, były Szwecja (+0,1 pkt) oraz Belgia (+0,9).



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Shutterstock

## BIEDA PO EUROPEJSKU

Warto przy tym zaznaczyć, że Eurostat nie mierzy biedy wysokością dochodów ani wartością majątku trwałego. Stworzył po prostu listę dóbr czy usług, bez których trudno dzisiaj funkcjonować, by nie zostać wykluczonym społecznie, zawodowo czy kulturowo.

Czego zatem brakuje biednemu Europejczykowi? Na przykład mięsnych posiłków, co najmniej tygodniowych wakacji, ciepła w mieszkaniu, własnego samochodu, garderoby, dwóch par butów, dostępu do internetu. Nie jest to więc bieda w łachmanach i głodzie, czyli taka, jaką Europa pamięta np. z XIX czy początków XX w. W „biedzie XXI" żyje niemal połowa mieszkańców Rumunii i Bułgarii, ale też np. co trzeci Grek.

A gdzie w Europie żyje się najlepiej? Tu nie ma niespodzianki. W Szwecji i Finlandii jest najmniej osób, które zmagają się z tak określonymi niedostatkami. Tam procent biednych jest cztery razy mniejszy niż u nas.

## POLSKA WALCZĄCA

Skuteczna walka z biedą w naszym kraju to m.in. efekt poprawy sytuacji na rynku pracy, ale też programów unijnych i społecznych uruchomionych przez rząd PiS. To przede wszystkim 500+, ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi, programy dotujące żłobki i przedszkola. Trzeba także wspomnieć o podwyżkach płacy minimalnej i godzinowej oraz zmianach (wprowadzonych i tych wprowadzanych) w prawie pracy. Niestety w dalszym ciągu dużą bolączką polskich rodzin są niskie wynagrodzenia. Bo choć GUS wylicza, że średnia płaca wzrosła o 7 proc., to nadal prawie 1,5 mln Polaków pracuje za 2,1 tys. zł brutto, czyli za pensję minimalną.

Zestawienia Eurostatu z początku 2017 r., porównujące dane z 22 krajów, w których obowiązuje płaca minimalna, nie pozostawiają złudzeń. Różnice są gigantyczne, a Polska zajmuje w tym zestawieniu ósme miejsce od końca. Najgorzej zarabiają Rumuni: 275 euro (1,1 tys. zł), Łotysze i Litwini – 380 euro (1,5 tys. zł) oraz Czesi – 407 euro (1,7 tys. zł). Nasza minimalna nieznacznie wyprzedza węgierską i słowacką. Daleko nam jednak do mieszkańców Luksemburga, którzy za swoją miesięczną pracę muszą otrzymać co najmniej 1 999 euro (8,3 tys. zł). Nieźle zarabiają też najgorzej uposażeni Irlandczycy: 1 563 euro (6,5 tys. zł) czy Niemcy: 1 498 euro (6,2 tys. zł). Polscy przedsiębiorcy wstrzemięźliwość w podnoszeniu wynagrodzeń tłumaczą niską wydajnością pracy mierzoną produkcją sprzedaną na jednego mieszkańca. Częściowo to prawda, ale czy nasza wydajność naprawdę jest trzy-, czterokrotnie niższa niż Holendrów lub Irlandczyków?

Na eliminację biedy i podniesienie standardów życia potrzeba czasu, lecz również mądrych polityków i urzędników, którzy tworzą dobre prawo motywujące do dobrej pracy za godziwą płacę. Potrzeba też kapitału dziedziczonego z pokolenia na pokolenie, dobrze redystrybuowanego. W Polsce kapitał prywatny został doszczętnie zniszczony po wojnie. Upaństwowiono nie tylko zakłady energetyczne, transport, koleje czy fabryki, lecz i kamienice, małe zakłady przetwórcze, sklepy. Dopiero po 1991 r. kapitał prywatny zaczął być tworzony na nowo. Z wielką determinacją tysiące Polaków otwierały stragany na ulicy, potem sklepy, własne firmy handlowe i usługowe. To prawda, że nie zawsze zgodnie z etyką i prawem: przeszliśmy przez lata dzikiego kapitalizmu, gdy sprytniejsi, silniejsi, bogatsi zagarniali większość wypracowanego majątku, słabszym, mniej przedsiębiorczym zostawiając ochłapy w postaci minimalnych wynagrodzeń oraz śmieciowych umów.

To właśnie wtedy stworzono pseudoetos pracy, wymagający od pracowników absolutnej dyspozycyjności, aktywności po kilkanaście godzin na dobę, poświęcenia rodziny, czasem zdrowia, w imię budowy lepszego, dostatniejszego świata.

## GOSPODARKA I PRACA

Ten wielki wysiłek milionów Polaków przełożył się na gospodarkę. Między rokiem 1990 a 2015 produkt krajowy brutto na jednego mieszkańca Polski wzrósł 7,3-krotnie: z 1 731 dol. (w ówczesnych cenach bieżących) do 12,5 tys. dol. W tempie tego wzrostu pobiliśmy wszystkie państwa OECD i całej Europy.

Tyle że średnia PKB per capita dla UE to 32 tys. dol. O 20 tys. dol. więcej niż w Polsce. Dystans, który dzieli statystycznego Polaka od mieszkańca krajów zachodniej Unii, jest więc nadal ogromny. Istnieją nawet wyliczenia wskazujące, że przy zachowaniu 4-procentowego tempa wzrostu PKB dorównywanie bogactwu Niemców potrwa ok. 50 lat.

Owszem, w Polsce są ludzie bardzo zamożni, których standard życia i majątek nie różnią się specjalnie od bogaczy w Niemczech, we Francji czy w Szwajcarii. Z tym że w naszym kraju stanowią



eprasa.pl 9e6501059c

oni garstkę. Tę elitę określa się mianem HNWI (z ang. High-Net-Worth Individuals – wysoka wartość majątku netto). To osoby mające płynne aktywa o wartości minimum 1 mln dol. Tych w Polsce jest zaledwie 41 tys. Dla porównania w Wielkiej Brytanii to ponad 2 mln osób, w Niemczech i we Francji – po 1,6 mln, a w dużo mniej licznych od nas Czechach – ok. 33 tys.

Nasi rodzimi bogacze budzą sporą ciekawość i emocje. Od czasu do czasu media piszą o ich luksusowych domach, pałacach, samochodach, zagranicznych posiadłościach, ale ich majątki to tak naprawdę kropla w morzu w porównaniu z fortunami Billa Gatesa czy Marka Zuckerberga. Nawet jeśli nasz miliarder kupuje pałac za 50 mln zł, nijak ma się to do domu twórcy Microsoftu, którego budowa kosztowała 63 mln dol.

## ĆWIERĆ MILIARDA NA RODZINĘ

Nie popadajmy jednak w kompleksy. Znacznie lepiej wypadamy w rankingach majętności, gdy bierze się pod uwagę nie tylko wysokość zarobków czy też to, co mamy na kontach i w różnego rodzaju instrumentach finansowych, lecz również to, co posiadamy w nieruchomościach, pojazdach albo majątku związanym z prowadzeniem działalności gospodarczej. Z raportu opublikowanego przez Narodowy Bank Polski wynika, że przeciętna polska rodzina posiada majątek wart 256,8 tys. zł.

Największy udział w bogactwie Polaków ma mieszkanie (posiada je 76,4 proc. ankietowanych gospodarstw) oraz samochód (63 proc.). Gorzej za to z oszczędnościami: statystyczne gospodarstwo ma uciułane ok. 8,6 tys. zł.

Jak wyglądamy na tle Europy? Biorąc pod uwagę, że majątek przeciętnego polskiego gospodarstwa to równowartość 61,7 tys. euro, jesteśmy lepsi od Niemiec, gdzie majątek gospodarstwa domowego jest szacowany na 51,4 tys. euro. Kłopot jednak w tym, że nasi zachodni sąsiedzi w przeciwieństwie do nas nie inwestują tak chętnie w nieruchomości (tylko 44,2 proc. właścicieli gospodarstw to jednocześnie właściciele domów czy mieszkań, w których żyją). Reszta je wynajmuje, lokując pieniądze w różnego rodzaju bezpieczne instrumenty finansowe. Tylko nieliczni lokują środki w akcje spółek czy fundusze kapitałowe. Największym powodzeniem cieszą się tzw. Rürup-Rente, instrumenty dotowane przez budżet państwa w postaci ulg podatkowych. Niemcy odkładają też na zwykłe konta bankowe, bo choć są one nisko oprocentowane, okazują się bezpieczne i umożliwiają szybki dostęp do pieniędzy. Przeciętny Niemiec systematycznie odkłada 10 proc. swoich miesięcznych dochodów (178 euro). Więcej w Europie odkładają jedynie Francuzi (12,1 proc.). Powyżej 10 proc. plasują się jeszcze Belgowie i – co ciekawe – Słoweńcy.

> Największy udział w bogactwie Polaków ma mieszkanie (posiada je 76,4 proc. ankietowanych gospodarstw) oraz samochód (63 proc.)

## OD CZEGO ZALEŻY BOGACTWO

Wracając do raportu Narodowego Banku Polskiego i majątku gospodarstw domowych w UE – znacznie więcej od nas mają np. mieszkańcy Luksemburga (397,8 tys. euro) czy Cypru (266,9 tys. euro.) NBP wyliczył również, że gromadzeniu majątku sprzyja wykształcenie. Osoby z papierami uczelni, będące głównymi żywicielami rodzin, dysponują majątkiem o wartości 343,6 tys. zł, podczas gdy osoby z wykształceniem podstawowym – 151 tys. zł. Nie bez znaczenia jest także wiek. Największy majątek (304,5 tys. zł) gromadzą ci w wieku od 45 do 64 lat.

Różnice w posiadaniu zarysowują się wyraźnie, jeśli chodzi o formę zatrudnienia. W zdecydowanie lepszej sytuacji materialnej są osoby prowadzące własną działalność gospodarczą. Ich majątek analitycy NBP wyliczyli na 783,6 tys. zł rocznie. Z kolei pracujący na umowach o pracę lub umowach cywilnoprawnych mają zaledwie 201,6 tys. zł. Bardziej zasobni są też mieszkańcy wsi. Przeciętna wartość gospodarstwa rolnego jest szacowana na 366,1 tys. zł, natomiast miejskiego – na 216 tys. zł. Skąd te dysproporcje? Mieszkańcy wsi częściej (86 proc.) niż w miastach (72 proc.) są właścicielami nieruchomości, poza tym częściej prowadzą działalność gospodarczą, a to – jak pokazuje raport – wiąże się z wyższymi dochodami.

Pisząc o zamożności Polaków, warto wspomnieć o zadłużeniu gospodarstw domowych. Obecnie jakiegoś rodzaju pożyczki czy kredyty ma ok. 37 proc. gospodarstw, z czego niemal 23,5 proc. rodzin spłaca kredyty hipoteczne. W sumie mają one do spłaty prawie 400 mld zł, a przeciętna wysokość jednego kredytu wynosi 104 tys. zł. Nasze długi hipoteczne to jednak nic w porównaniu z innymi krajami. W Polsce stanowią one ok. 19,5 proc. wartości PKB, a np. w Holandii czy Danii – aż 107 proc. Wysokie są także długi hipoteczne Szwedów (93 proc. wartości PKB) oraz Cypryjczyków (86 proc.).

## MAJĄTKOWA PRZEPAŚĆ

Raport NBP wyliczający majątki gospodarstw domowych dowiódł jeszcze jednej rzeczy: rozwarstwienie w Polsce jest znacznie większe, niż wskazywały to dane Eurostatu. Z wyliczeń NBP wynika, że majątek netto 10 proc. najbiedniejszych rodzin nie przekracza 2 tys. zł. A gdy zsumuje się ich majątek netto, okazuje się, że jest on ujemny, bo wartość kredytów czy chwilówek przewyższa wartość wszystkiego, co posiadają.

Na drugim końcu drabinki społecznej znajduje się 10 proc. najbogatszych gospodarstw domowych, których przeciętny majątek jest wart co najmniej 879 tys. zł. One zgromadziły w sumie aż 2,3 bln zł. Aby zaliczać się do ultrabogatego 1 proc. społeczeństwa, trzeba mieć majątek wart aż 2,8 mln zł. Wystarczyło zatem ćwierć wieku, by między Polakami pojawiła się taka przepaść majątkowa, jaka w innych krajach europejskich tworzyła się przez stulecia.



eprasa.pl 9e6501059c

*Hit tygodnia*

# ASUS NovaGo

NovaGo to kolejny laptop wyglądający całkiem sympatycznie. Sprzęt, jakich jest pełno w każdym sklepie z elektroniką. Czyżby? Nowy produkt firmy ASUS ma jedną bardzo wyróżniającą go rzecz, mianowicie procesor Snapdragon 835. Co w tym dziwnego? – ktoś zapyta. Ano to, że NovaGo jest pierwszym laptopem, do którego włożono procesor przygotowany do działania z architekturą ARM, czyli taką, jaką mamy w smartfonach. Modyfikacji musiał ulec również system operacyjny Windows 10 (Windows 10 S z możliwością darmowej zamiany na Windows 10 Pro do połowy przyszłego roku), ale – jak widać (przynajmniej na zdjęciach) – wszystko poszło jak trzeba. Co prawda na laptopa musimy poczekać do początku nowego roku, ale to już niedługo. A co poza tym ma NovaGo? Ekran dotykowy o przekątnej 13,3 cala i rozdzielczości 1 920 × 1080 pikseli, 4 lub 8 GB pamięci RAM, 64 lub 256 GB miejsca na dane, akumulator ma wystarczać na ok. 20 godzin pracy, przynajmniej tak mówi producent. Cenowo NovaGo niestety nie wygląda aż tak zachęcająco: wersja 4 GB pamięci RAM i 64 GB pamięci na dane to wydatek 599 dol., wersja 8 GB/256 GB – 799 dol. **zapowiedź**

**Plusy i minusy**

+ zanim nie trafi do testów czy na rynek, trudno orzec; może zastosowanie Snapdragona 835?
– cena wydaje się nieco za wysoka jak na tej klasy sprzęt

## Huawei Honor 7x

Premiera europejska tego smartfona odbyła się kilka tygodni temu, teraz czas na polską premierę. To dobra informacja dla wszystkich tych, którzy muszą wypróbować co jakiś czas nowy telefon, tym bardziej że cena 7x jest całkiem atrakcyjna – 1 299 zł. Czym może zachęcić propozycja chińskiego producenta? Smartfon ma 5,93-calowy ekran o rozdzielczości 2 160 × 1 080 pikseli i dość nietypowe proporcje 18:9, 8-rdzeniowy procesor HiSilicon Kirin 659, 4 GB RAM i 64 GB pamięci wewnętrznej z możliwością rozszerzenia za pomocą kart micro SD do 256 GB. Do tego całkiem przyzwoita bateria o pojemności 3 340 mAh, która powinna starczyć na dwa dni (przynajmniej tak twierdzi producent). Zwolennicy fotografii smartfonowej powinni być zadowoleni: pierwszy to podwójny aparat (2 i 16 Mpix), drugi – 8 Mpix z trybem panoramy. Honor 7x może się też okazać całkiem dobrą propozycją dla tych, którzy chcieli kupić Huawei Mate 10 Lite, ale był on nieco za drogi. **cena: 1 299 zł**

## BenQ MX611, MW612 i MH606

Firma BenQ zaprezentowała trzy modele niezbyt drogich projektorów, przeznaczonych zasadniczo do zastosowań biurowych. Urządzenia w zależności od modelu wyświetlają obraz o rozdzielczości od 1 024 × 768 do 1 920 × 1 080 pikseli i cechują się jasnością od 3,5 tys. do 4 tys. ANSI lumenów. Dzięki takim rozwiązaniom jak SmartEco można wydłużyć działanie lampy o 10 tys. godzin, a przy zastosowaniu innego trybu – Lamp Save – można zyskać kolejne 5 tys. godzin pracy lampy. Projektory dysponują złączami VGA, S-Video, RCA, HDMI (z MHL), mini jack, USB typu A, USB typu mini B, RS232, IR. Zestaw powinien się sprawdzić w zdecydowanej większości przypadków. **premiera**

*Przygotował* ***Paweł Gadaczek***



eprasa.pl 9e6501059c

# W stronę startujących w biznesie

*„Start-up", jako termin nowoczesnej i innowacyjnej firmy rozpoczynającej działalność, już na dobre zagościł na rynku*

Polskie start-upy należą do jednych z najdynamiczniej rozwijających się w naszej części Europy. W tegorocznym głównym zestawieniu Deloitte Technology Fast 50 Central Europe uplasowały się 22 firmy z Polski, a 19 z nich w kategorii „Technology Fast 50", 3 trafiły do podkategorii „Wschodzące gwiazdy". Stąd konieczność otoczenia opieką polskich firm startujących, w tym zaoferowanie im właściwego sposobu finansowania po to, aby nie zniknęły z rynku.

## NIE TAKI STRASZNY START

Do prowadzenia działalności gospodarczej, nawet takiej, w której pokłada się największe nadzieje, nie wystarczy sama promocja. Nie każdy, kto rozpoczyna działalność, może liczyć na udział w coraz gęściej powstających akceleratorach, tym bardziej że niejednokrotnie tworzą je firmy (koncerny), które poszukują nowoczesnych, wyspecjalizowanych rozwiązań dla swojej branży. Ci, którzy z kolei mają pomysły inne, muszą sobie radzić sami, czyli pozyskać odpowiednie środki potrzebne do uruchomienia działalności i dalszego jej prowadzenia do czasu, aż ruszą pełną parą. Jednym z takich sposobów – na dodatek najpopularniejszym – może być kredyt. Jednakże to, że banki oferują start-upom kredyty, nie oznacza, że instytucje finansowe nie potrzebują odpowiedniego zabezpieczenia. W przypadku start-upów może to być trudne, ostatecznie to firmy – a w zasadzie mikrofirmy – które dopiero się rozkręcają.

## Z BANKU NIE SAM KREDYT

Ostatnią nowością wśród ofert finansowania, której zadaniem jest wsparcie każdego, kto chce wdrożyć swój pomysł na prowadzenie biznesu w życie, jest propozycja Banku Pekao SA. Bank ten zawarł bowiem z EFI (Europejski Fundusz Inwestycyjny) umowę, która umożliwi start-upom uzyskanie kredytu z gwarancjami Funduszu w ramach programu EaSI (EU Programme for Employment and Social Innovation – Program na rzecz zatrudnienia i innowacji społecznych na lata 2014–2020). Wspomniana umowa otwiera drzwi firmom działającym nie dłużej niż dwa lata do otrzymania zabezpieczenia – nawet w 80 proc. – kredytu (kapitału i odsetek). Jak podkreślił Tomasz Styczyński, wiceprezes Banku Pekao SA, oceniając ten nowy produkt w ofercie banku: „Dzięki umowie z EFI otwiera się w Banku Pekao S.A. zupełnie nowa jakościowo era w finansowaniu dla start-upów. Teraz młode firmy, które nie zdążyły jeszcze zbudować kapitałów, a jednocześnie potrzebują wsparcia w początkach działalności, mogą uzyskać kredyty, a o gwarancję zatroszczy się bank we współpracy z UE. Dla banku to też ogromna korzyść, bo dzięki gwarancjom zmniejsza się ryzyko finansowania start-upów i możemy otworzyć się na młode firmy".

Realizacja porozumienia zakłada dwie umowy, pierwsza z nich na kredyty inwestycyjne do kwoty 100 tys. zł, a druga na kredyty w rachunku bieżącym do 20 tys. zł. Oba produkty przeznaczone są dla start-upów i właśnie w obu przypadkach są one zabezpieczane przez Europejski Fundusz Inwestycyjny do wysokości 80 proc. zarówno kapitału, jak i odsetek. Przyznany limit portfela sięga 60 mln zł, przy czym na kredyty inwestycyjne przydzielono 25 mln zł, a pozostałe 35 mln zł na wspomniane kredyty w rachunku bieżącym do zbudowania w okresie pięciu lat. Sam bank to specjalista i niekwestionowany lider finansowania ze wsparciem. Bank Pekao SA został wyróżniony przez Krajowy Punkt Kontaktowy ds. Instrumentów Finansowych Unii Europejskiej przy Związku Banków Polskich i Ministerstwie Rozwoju tytułem „Lidera Rynku Instrumentów Finansowych UE w Polsce" w kategorii banków komercyjnych, a także za wynik X-lecia. W efekcie udziału banku w dystrybucji i promocji programów finansowych do ponad 13 tys. krajowych małych i średnich firm trafiło 2,6 mld zł.

Fot. Shutterstock

1/0118/F



eprasa.pl 9e6501059c

# Docenisz różnicę

Bank Pekao S.A. to Twój partner w codzienności. Pomagamy Ci działać, bo wiemy, że zmiany są dobre, ale jeszcze ważniejsze jest wsparcie, które je ułatwi. Bank Pekao S.A. to polski bank, który sprawi, że docenisz różnicę!

Bank Pekao

Bank Pekao S.A. | www.pekao.com.pl | 801 666 555 (opłata wg cennika operatora)

eprasa.pl 9e65

BOSCY Z SERIALU „RODZINKA.PL"

# Nie ma jak u mamy

Sympatyczna telewizyjna „Rodzinka.pl" doczekała się książki kulinarnej. W niej Natalia Boska – niemal idealna: mama, żona, pani domu, ale też kobieta pracująca zawodowo oraz przyjaciółka – w otoczeniu najbliższych mogła zdradzić sekrety rodzinnej kuchni. A jak to pod okiem zorganizowanej bohaterki być powinno, książka została jasno rozplanowana. Najbardziej oczywisty podział, na dni tygodnia, przyniósł dopełnione listami zakupów oraz radami przepisy potraw, które preferują członkowie familii, a także osoby z nimi zaprzyjaźnione.

Możemy się więc dowiedzieć, po co najczęściej sięgają do lodówki bracia: średni Kuba, Kacper i najstarszy Tomek. Jakie potrawy lubi Ludwik Boski i co chętnie widziałby na stole, gdy rodzinę odwiedza przyjaciel domu Marek; a na co umawiają się z Natalią jej przyjaciółka Maria i koleżanka Viola. Równie ważne okazują się smaki trzech dziewczyn: Zosi, szkolnej koleżanki Kacpra oraz Agaty i Pauliny konkurujących o względy Kuby m.in. sernikiem „Owocowy las" czy czekoladowymi łódeczkami.

Ludwik najchętniej oswaja poniedziałki jajkami sadzonymi na bekonie (by żółtka nie zmieniły koloru, soli je na sam koniec). Natalia szykuje do pracy energetyczną sałatkę nicejską. Jako zorganizowana pani domu dzień wcześniej, wieczorem, gotuje jajka oraz mrożoną fasolkę (którą skrapia oliwą przed wstawieniem do lodówki). Rano musi tylko pokroić warzywa i spakować je do pudełka.

Kacper i Kuba po przyjściu z zajęć, zwłaszcza w pochmurny, chłodny dzień, chętnie sięgają po krem z dyni na ostro. Natalia złagodziłaby smak zupy, rezygnując z chili oraz dodając mniej imbiru i w wersji light śmietanę zastępując jogurtem. Dla całej rodziny szykuje warzywne risotto. Na bulionie, „ponieważ podczas wolnego gotowania zmienia on smak ryżu i powstaje aksamitny, naturalny sos otaczający ziarna". Masło i parmezan dodaje w odpowiednich proporcjach (1:1) – konsystencja potrawy jest wtedy idealna.

Risotto to oczywiście jedna z wielu potraw, których przepis podaje książka „Gotuj z Rodzinką.pl" (wyd. Dream Books), w Boski wtorek podkreślając zalety zdrowego jedzenia, a w futbolowe środy sugerując domowe czipsy warzywne, ale też ulubione leniwe Kacpra na szybko. Babskie czwartki to z kolei m.in. sałatka light z surimi obok... cynamonowej szarlotki prosto z pieca. Piątkowe chwile we dwoje podkreśli np. „krewetkowe szaleństwo z sosami". Rodzinną sobotę można zacząć od pachnącego malinami soku z buraka i jabłek, a niedzielny obiad uświetnić cytrusową kaczką. Boscy z pewnością mają wiele smakowitych sposobów na spotkania w kuchni i przy stole.

*Notowała:* ***Jolanta Gajda-Zadworna***

## Warzywne risotto od serca

**Składniki:** 3/3 szklanki ryżu do risotto, 1 papryka czerwona, 1 papryka żółta, 2 cukinie, 2 średnie cebule, 3 ząbki czosnku, 1/2 szklanki białego wina, 1 l bulionu, 1/2 szklanki startego parmezanu, 2 łyżki natki pietruszki, 2 łyżki masła, sól, pieprz do smaku, 1/2 łyżeczki tymianku, 1/2 łyżeczki ostrej papryki, 1 opakowanie groszku mrożonego

**Przygotowanie:** W głębokiej patelni lub garnku podsmażamy drobno posiekane cebulę i czosnek. Smażymy przez jakieś 5 min. Następnie dodajemy ryż, chwilę wszystko podsmażamy i dolewamy wino. Czekamy, aż wino odparuje, dodajemy wszystkie warzywa i przyprawy (oprócz natki pietruszki i parmezanu). Potem dolewamy po trochu gorącego bulionu warzywnego i trzymamy na małym ogniu bez przykrycia, co jakiś czas mieszamy. W miarę wchłaniania dolewamy bulionu, aż ryż będzie praktycznie miękki. Wyłączamy i dodajemy natkę pietruszki, masło oraz część parmezanu. Wszystko mieszamy. Przekładamy na talerze i posypujemy resztą parmezanu.

Fot. Mat. prasowe



eprasa.pl 9e6501059c

Fot. Shutterstock

SŁODKO-SŁONY

# Z mleczkiem kokosowym w dal

ANNA MONICKA

Gdy mój tata domaga się gotowania grochówki lub fasolówki, to znak, że wkraczamy w najgłębszą zimę i że ciało domaga się czegoś konkretnego. Ferie to jedyny chyba moment w roku, kiedy mogę zaryzykować i zajadać się strączkowymi, które mają to do siebie, że nieco rozdymają, zwłaszcza jeśli dodamy do nich wkładkę mięsną w postaci wędzonego żeberka. Moczenie, wymienianie wody w garnku, gotowanie bez przykrycia – wszystkie te fasolowo-grochowe triki nie wystarczą, jeśli ktoś ma wrażliwy żołądek. Trzeba się z tym pogodzić i tyle. Chyba że... skusicie się na mały eksperyment. Tak mały jak ziarenko soczewicy. To hinduska zupa dal – taka dalekowschodnia fasolówka, pachnąca i rozgrzewająca, po której nie puchnie brzuch. A do tego robi się ją błyskawicznie, bo soczewicy nie trzeba moczyć. No i łyżka stoi w niej dęba, tak jak trzeba.

Potrzebujemy opakowania czerwonej lub zielonej soczewicy (ja wolę czerwoną), jako dodatku – opcjonalnie – specjalnej drobniutkiej fasoli mung do dalu (tę gęstą zupę można zresztą zrobić także z samej fasolki, którą kupicie w sklepach z jedzeniem egzotycznym), imbiru, czosnku, curry, ostrej papryki, cebuli, pomidorów, soku z cytryny albo mleczka kokosowego (i z jednym, i z drugim smakuje wyśmienicie; ot, po prostu jedni wolą smaki kwaśniejsze, a inni słodsze). Zapomniałabym o czarnuszce i czarnej gorczycy – popularnych w Indiach przyprawach, dających energię i wewnętrzne ciepło.

Najpierw podsmażamy dobrze wypłukane ziarna soczewicy i fasolki na maśle ghee, aż zaczną strzelać, dodajemy poszatkowane cebulę, imbir i czosnek, po kilku minutach rozgniecione pomidory. Całość zalewamy bulionem warzywnym. Gotujemy pod przykryciem pół godziny, dosypujemy przyprawy (kumin, kolendrę, kurkumę), podlewamy cytryną lub mleczkiem kokosowym, na koniec posypujemy siekaną kolendrą. Podajemy z grzankami czosnkowymi lub podpłomykami.

Całkiem inny – mniej delikatny – dal przyrządzimy z ciecierzycy, którą najpierw trzeba namoczyć, a potem zagotować. Gdy jest miękka, smażymy na patelni na maśle klarowanym cebulę, czosnek, starty imbir, garam masalę, kurkumę, żółtą gorczycę, dodajemy posiekane pomidory, ciecierzycę, mleczko kokosowe, sól i gotujemy na patelni, aż zgęstnieje. I zupa gotowa. Smacznego.

WINNICA MAZURKA

Winsky Wine'n'Whisky Bar, Warszawa, ul. Wioślarska 10

Fot. Materiały prasowe

# Wisła winem płynąca

ROBERT MAZUREK

Zasadniczo piszę tu o winach, nie o miejscach, w których się je pije. Owszem, zrobiłem wyjątek dla wyjątkowego krakowskiego Krako Slow Grill z Lipowej 6f (nieustająco polecam), ale nic poza tym. A teraz mnie zmogło i znów muszę.

Od razu słowo wyjaśnienia: warszawski Winsky Wine'n'Whisky Bar (jak widać, cokolwiek tandetny obyczaj nazywania barów z angielska spłynął tu Wisłą, pardon, Vistula River) to knajpa młodziutka, ledwie półtoramiesięczna, więc może się jeszcze zepsuć. I uprzejmie proszę mnie wtedy nie bić.

Ale jak na razie zapowiada się obezwładniająco. Powody? OK, mają chwaloną kuchnię, ale nie dla jedzenia tam się chodzi. A dlaczego? Ponad 300 win na miejscu i następne w drodze! Nie robi wrażenia? Powinno, bo to potężny wybór. Pal licho liczbę butelek, lecz tu są autentyczne rarytasy. Wspaniałe gruzińskie pomarańczowe wina z kwewri („Wbrew pozorom to się sprzedaje" – zapewnia szefowa Monika Frendl), co najmniej kilka bardzo dobrych sherry (porto i madera w drodze!), niezłe wina z Polski, a oprócz tego choćby pyszny Dingac z Dalmacji, jeśli nie wypiłem ostatniej butelki. Optymizm budzi to, że Winsky nie powiedział ostatniego słowa i szuka kolejnych producentów, także whisky, bo połączenie wina i whisky ma być znakiem firmowym tego miejsca.

Drugi powód mego entuzjazmu to ceny. Znajdziemy tu wina za tysiąc złotych, ale są i za czterdzieści kilka (za butelkę w barze), co jak na stolicę jest ceną fantastyczną. Niskich marż szefostwo obiecuje pilnować. I jeszcze jedno – bardzo wielu win można spróbować, nie trzeba kupować butelki w ciemno.

Wreszcie, last but not least, położenie: centrum miasta, bulwar nad Wisłą, widok psuje tylko Stadion Narodowy vis-à-vis, ale i tak jest dobrze. Ech, gdyby nie praca, zamieszkałbym tam na stałe.

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka



eprasa.pl 9e6501059c

# Wstręt kata

PIOTR SKWIECIŃSKI

*Ostatnio z narastającą fascynacją wczytuję się w Ławrentija Pawłowicza Berię*

Tak jest, w tę personifikację zbrodni NKWD. Nigdy bym sam siebie o takie coś nie podejrzewał, ale co robić.

Chodzi przede wszystkim o świadectwa z ostatniego okresu jego życia, kiedy w króciutkiej epoce zwanej „Stoma Dniami Berii", po śmierci Stalina w '53 roku, niemal samowładnie rządził imperium. O to, jak wtedy, z jaką pogardą i agresją, odnosił się do bolszewizmu. Do partii oraz ideologii, której służył całe życie. I do jej wyznawców.

Najwyraźniej te emocje były w nim tak silne, że potężniejsze od instynktu samozachowawczego. Bo nie potrafił ich opanować. I nie potrafił przestać dawać temu wyrazu. Co najmniej weredycznie, a może wręcz już poza granicą obsesji. Choć musiał wiedzieć i widzieć, że to samobójcze.

Można by tu zacytować wiele jego pochodzących z ostatnich miesięcy życia (i pewną liczbę wcześniejszych) wypowiedzi odnoszących się do socjalizmu (czy przynajmniej do jego ówczesnej, radzieckiej wersji). Zupełnie wprost mówiących albo czytelnie sugerujących, jakie miał zdanie o tym systemie. Część tych wypowiedzi można uznać za sfałszowane na potrzeby procesu, w którym dawni koledzy Berii skazali go na śmierć, bo im zagrażał. Jest ich jednak tyle i pochodzą z tak różnych źródeł, że nie sposób tak potraktować wszystkich.

Ale zgubiła go zbytnia szczerość nie tylko w tej konkretnej dziedzinie. Także stosunek do Rosjan i ich patriotyzmu. Mówienie o możliwości oddania Kuryli, Kaliningradu i Karelii, czyli obszarów wcielonych nie tylko do ZSRR, lecz i do republiki rosyjskiej, uderzało wszak boleśnie w ów patriotyzm. A co w takim razie powiedzieć o odradzaniu przez Berię Ukraińcom planów świętowania rocznicy unii perejasławskiej, w której wyniku ich kraj zjednoczył się z Rosją?

Podkreślmy – nie chodzi tu tylko o to, co Beria robił. O jego polityczne działania, jak wycofywanie się z NRD czy narodową rewitalizację republik nierosyjskich i próbę oparcia się na nich. O dążenie do marginalizacji partii komunistycznej. Można przecież dużo robić, milcząc. I w ten sposób, jak mówi rosyjskie przysłowie, dalej się zajedzie. Po bardzo doświadczonym polityku śmiertelnie groźnego, totalitarnego państwa, w dodatku wieloletnim szefie służb specjalnych, intuicyjnie spodziewalibyśmy się postępowania zgodnie z taką filozofią. A tu nie. On nie tylko działał, lecz i mówił. Robił wiele, ale mówił jeszcze więcej. Jakby celowo prowokacyjnie. Jakby sam chciał sprowokować swój los.

Wystawia to temu demonowi, oczywiście, złe świadectwo jako politykowi. I skłania do pytania o przyczyny.

Żeby właściwie zobrazować to, co przez swoje sto dni Ławrientij Pawłowicz wyprawiał, a zarazem spróbować pojąć ten fenomen, trzeba użyć wyrazu, który dotąd jeszcze nie padł w tym tekście. Ten wyraz to „wstręt".

Ze słów i z zachowań Berii – takich, jakie wyłaniają się ze znanych nam świadectw – emanuje bowiem przede wszystkim wstręt właśnie. Wobec i radzieckiej ideologii, i chyba narodu rosyjskiego, i zdaje się w ogóle „radzieckich ludzi". I w ogóle całej otaczającej go materii Związku Radzieckiego.

Trudno to pojąć. Kusi, by zinterpretować to jako, po prostu, finalny przejaw pierwotnej cechy tego człowieka, za jaką można uznać mizantropię. Głęboka, zakorzeniona niechęć do ludzi jako do podłego gatunku, wręcz pogarda dla niego, w połączeniu z własną wrodzoną brutalnością tłumaczyłyby i całościowy fenomen Berii, na tle pocztu szefów Czeka–GPU–NKWD wyróżniającego się specyficznym rysem osobistego okrucieństwa (wielokrotnie – czego mógł uniknąć i czego jego poprzednicy unikali – osobiście uczestniczył w torturowaniu więźniów), i jego zdumiewający koniec.

Ale myślę, że tego końca nie pojmiemy, ograniczając się do takiej interpretacji. Moim zdaniem trzeba ją uzupełnić, odwołując się do bardzo pierwotnego pojęcia.

Oto Berii najwyraźniej, mówiąc zwykłym językiem, się ulało. Po prostu, będąc człowiekiem bardzo inteligentnym, a przy tym nieskończenie cynicznym, cierpiał katusze, musząc przez długie dekady udawać oddanie ideologii – a w miarę postępów procesu rusyfikacji komunizmu również narodowi – której i któremu od jakiegoś momentu służył jedynie z wyrachowania. Oddając cześć czemuś, co coraz bardziej obrażało jego inteligencję. I kiedy umarł Stalin, którego się bał, ale zarazem uważał za wielkość, w dziwny sposób jakoś samą przez się będącą usprawiedliwieniem systemu, ulało mu się. I już dalej tak nie mógł.

Bo poczuł (albo nagle, albo było to ukoronowanie procesu – tak czy inaczej, musiało to być wstrząsające doświadczenie), że świat, który budował, do którego przynależał integralnie, jest mu pod każdym względem obcy i wręcz wstrętny. Podobnie jak wstrętni i obcy są zapełniający ów świat ludzie.

Zapłacił za to najwyższą cenę.

Był skończonym zbrodniarzem. Jeśli jest piekło, to z pewnością tam trafił. A przecież, myśląc o owym ulaniu się, trudno się powstrzymać przed spojrzeniem na niego z innej perspektywy.

Zwłaszcza człowiekowi dojrzałemu.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl 9e6501059c

LOKAL DLA AWANTURNYCH

# Komu potrzebna niepodległość

To znaczące machnięcie ręką, gdy ktoś zaczyna mówić o niepodległości – to najlepsze osiągnięcie pedagogiki Michnika, która w Polsce trwa od kilkudziesięciu lat. Jednak w PRL o niepodległości skrycie marzono, wielu twierdziło tylko, że „Ruscy są zbyt silni". W III RP Michnik i TVN wmówili wielu Polakom, że niepodległość to przestarzała klątwa, a dążyć mamy do nowoczesności, nawet za cenę niepodległości.

***Witold Gadowski***

Przez cały okres III RP media i środki publiczne przeznaczone na tworzenie oraz kreowanie idei znajdowały się w rękach ludzi, którzy z sentymentem traktowali PRL i z obrzydzeniem myśleli o polskich tradycjach niepodległościowych. Byli tu obcy, jeżeli nie genetycznie, to na pewno mentalnie. Nic nie pojmowali z odruchów i wartości, które były oczywiste dla Polaków. Brzydzili się tym... Gdyby przyjąć punkt widzenia właściwy dla środowiska Michnika, należałoby stwierdzić, że istnienie narodu polskiego jest nieznaczącym przypadkiem, ba, szkodliwym wypadkiem na drodze do ukształtowania się „światłej i postępowej Europy".

Dla komuchów, którzy wyleźli z czasów sowieckiej okupacji, i dla ich neomarksistowskich kumpli Polska była czymś, co chcieli zadeptać, unieważnić, chcieli traktowania polskości jako wstydliwej choroby. Tak niewiele brakowało, a udałoby się im – za pomocą medialnej przemocy – zagonić nas do rezerwatów i zmusić do okadzania ich postnowoczesnych bożków. Zmiana rządów przyszła w samą porę, jeszcze można było popruć im tę „koronkową robotę". Było już groźnie – stała przeciwko nam jedyna w swoim rodzaju machina: za nasze pieniądze budowali swoje powodzenie, obrażali nas i pouczali, a my mieliśmy jedynie kłaniać się im w pas.

Zadajmy sobie jednak pytanie: skoro oni byli jedynie złośliwą naroślą na polskości, to zastanówmy się nad tym, czy Polska (taka, jaką sobie wbrew przemocy Michników i Walterów wymarzyliśmy) jest obiektywnie możliwa, potrzebna i czy bez niej los naszej części świata, jej dzisiejsze oblicze wyglądałyby inaczej? Można zapytać też: czy polskość i Polska są jedynie przypadkiem w dziejach?

Odpowiedź przychodzi sama: Polska potrzebna jest Polakom, a Polaków dobry Pan Bóg ukształtował i poruszył do działania nie z kaprysu ani przypadku, tylko do realizacji bardzo określonych celów. Ktoś będzie sarkał, że oto – w takim myśleniu – odradza się jakiś nieprzytomny mesjanizm. Spójrzcie jednak na Europę i znajdźcie dziś kraj choćby w części taki jak Polska, tak głęboko zanurzony w katolicyzmie.

Dziś polskie zadanie, polski sens i cel istnienia rysują się same... Widzicie to?!

# Noworoczne postanowienia

Jak co roku o tej porze obserwuję wzmożony ruch na pływalni. To efekt świątecznego obżarstwa i noworocznych postanowień. Obiecujemy sobie solennie zadbać o kondycję fizyczną, przeczytać zaległe książki, zrealizować odkładane projekty. Nielicznym to się nawet udaje. Chciałbym, aby takie noworoczne pożyteczne postanowienia powzięli też nasi rządzący. I żeby – oprócz standardowych obowiązków władzy (czyli dbałości o gospodarkę, obronność, służbę zdrowia, edukację etc.) – były to skuteczne oraz innowacyjne działania.

***Lech Makowiecki***

W tym roku w Unii Europejskiej nastąpi przesilenie kryzysu migracyjnego i związane z tym apogeum ataków na Polskę (vide: art. 7). Tej bitwy nie wygramy na racjonalne argumenty, RE jest impregnowana na zdrowy rozsądek. Czytelny przekaz kierować należy zatem do zachodnich społeczeństw, bo tylko one mogą wymusić zmiany (wymianę?) swych „elit". I tu w sukurs może nam przyjść popkultura! Ogromny sukces animowanego filmiku „Niezwyciężeni" (o naszej historii i heroizmie Polaków, produkcji IPN) wytyczył już kierunki działań. Czekam na podobny przekaz, który rozprawiłby się z „polskimi obozami koncentracyjnymi", „polskim antysemityzmem" i z wmawianymi nam ksenofobią, rasizmem i nietolerancją. To ogromne pole do popisu dla MKiDN, PISF, NCK, PFN czy TVP.

Obawiam się, że jubileusz stulecia odzyskania niepodległości zdominowany zostanie przez rekiny show-biznesu, biegłe w wyciąganiu państwowych dotacji i grantów. Ich kosztowne, ale nudne, tandetne i często obrazoburcze produkcje mogą obrzydzić Polakom „bogoojczyźniany" patriotyzm.

Od dwóch lat alarmuję, że tegoroczny FPP w Opolu powinien zorganizować godny koncert premierowych piosenek o Polsce, z udziałem najlepszych odtwórców patriotycznych ballad, rocka czy hip-hopu! Co drugi czwartek prowadzę w radiowej Jedynce muzyczny program prezentujący całe spektrum „wyklętych" bardów i pieśniarzy. Ale w Opolu zapewne znów będą królowali Zenek Martyniuk z Marylą.



eprasa.pl 9e6501059c

PRZEZ ŚWIETLIK

# Twardoch na puszczy

Kiedy sięgam po książki poświęcone starożytności, to z reguły po to, by odpocząć od współczesności. Kilkudniową poświąteczną przerwę postanowiłem spędzić z „Chwałą Aten" Anthony'ego Everitta poświęconą ateńskiemu polis. Na okładce kolorowa reprodukcja obrazu z Akropolem, autor to jakiś znany historyk, pisarz, wykładowca, profesor, a nawet były sekretarz brytyjskiej Akademii Sztuki. Zapowiadało się dobrze. Niestety, okazało się, że Everitt ma swoje pasje, które niekoniecznie podzielam. Z uporem osła – czy to pisząc o Atenach, czy o Sparcie, czy o mitologii, czy innych cywilizacjach mających z Grekami do czynienia – szacowny historyk musiał snuć swoje dość pretensjonalne dywagacje na temat życia seksualnego, z uwzględnieniem technik szczególnie. Nie to, żebym był jakiś szczególnie pruderyjny, ale Everitt skupia się niemal wyłącznie na stosunkach homoseksualnych. A jak to robił Achilles, a jak Ateńczycy, a jak Spartanie, a jak Aleksander Macedoński. Momentami można odnieść wrażenie, że te rzekome przytulanki odegrały większą rolę kulturotwórczą niż attyckie wazy, jońskie kolumnady albo wojny z Persją. Po prostu jest to klucz do zrozumienia historii starożytnych Aten.

Nie to, żebym od razu postulował oznaczanie literatury pisanej przez tego rodzaju pasjonatów jakimiś specjalnymi znaczkami czy ostrzeżeniami, jak na płytach z wulgarnymi tekstami albo produktach nikotynowych. Ale mam dość poważną wątpliwość, czy autor „Chwały Aten" skupił się właśnie na tym, co najważniejsze. Może Everitt uznał, że aby zyskać poklask recenzentów, trzeba być modnym. A może – i wydaje mi się to bardzo prawdopodobne – po prostu głodnemu chleb na myśli. Jest obsesjonatem i wszędzie widzi to, co najbardziej lubi. To niestety dość powszechna przypadłość u nałogowców. Pewien mój znajomy, niegdyś mocno nadużywający, chwalił się, że w jakiejś islamskiej mieścinie, gdzie za alkohol można było zakończyć żywot, zdołał za pośrednictwem taksówkarza zakupić butelkę dżinu. Tak to już jest z nałogami.

*Zastanawiam się, czy to ciągłe narzekanie na upadek demokracji, nie ateńskiej, ale naszej, rodzimej, nie stało się po prostu nałogiem*

Zastanawiam się, czy to ciągłe narzekanie na upadek demokracji, nie ateńskiej, ale naszej, rodzimej, też nie stało się po prostu nałogiem. Są ludzie, którzy nie są w stanie przetrwać bez gadania o totalitaryzmie. Lewicowy tygodnik „Kultura Liberalna" przeprowadził wywiad z pisarzem Szczepanem Twardochem, znanym z tego, że zależnie od zmian poglądów, a to z prawej, a to z lewej odbija się zawsze od ścian. Od pewnego czasu jest przy ścianie lewej i chyba już tam zostanie, bo nawet ją gdzieniegdzie przebił. Twardoch całkiem przytomnie, jak na siebie, zauważył, że jazgot o tym, jak to upada w Polsce demokracja, rodzi się totalitaryzm i tym podobne, jest nieprawdziwy. PiS nie podoba mu się z miliona powodów, ale rozumie, że rzekomy koniec demokracji to, po pierwsze, bzdura, po drugie, tego rodzaju hasła szkodzą stronie „liberalnej", czytaj lewackiej.

Na to na tych samych łamach wywołana została Agnieszka Holland. Na zdroworozsądkową uwagę przeprowadzającego wywiad Łukasza Pawłowskiego, że radykalizm ocen wykańcza ich stronę, Holland się mocno obruszyła. Jak się okazuje, te działania są wręcz niedostateczne, demokracja umiera, lud wybrał klatkę, Kaczyński to potwór, a Polacy jako społeczeństwo są „do d...". W tym samym czasie pani Róża Thun w niemieckiej telewizji pokazała dokładnie, jak wygląda mechanizm „potępiania Polski". Najpierw pani Róża, pan Donald i reszta towarzystwa biegają się skarżyć, a potem jesteśmy wszyscy potępiani jako dziki lud. Ale po co się samemu obnażać, pani Różo? Nałóg, nic innego. Po prostu trzeba gadać o faszyzmie, rąbać po własnym kraju, by oddychać.

Co więc z tym zrobić, panie Twardoch, byście wygrali? Skoro można przekonać narkomana, by odstawił szprycę, to może i tych „antyfaszystów" da się naprawić. To pytanie do psychiatrów, pracowników ośrodków pomocy, psychologów, terapeutów. Tych oczywiście, którzy jeszcze sami nie zwariowali.

**Wiktor Świetlik**
*Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia*

epras ol 9e6501059c

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

# Bułeczki Gowina

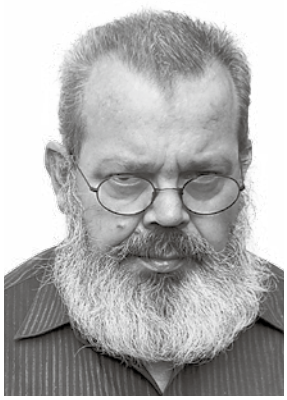

***Aleksander Nalaskowski***

Rok 2018, który właśnie wyszedł z bloków startowych i nabiera rozpędu, może się okazać różny dla różnych. Może być czasem dalszych, istotnych zmian w naszej rzeczywistości. Zbyt wiele niewiadomych, aby wróżyć. Przejdę do sedna. Otóż rok 2018 może się stać początkiem zapaści polskiej nauki. A to za sprawą nieszczęsnej i wprowadzanej na siłę tzw. ustawy 2.0, a prościej – „ustawy Gowina". Ma ona charakter szkodniczy i próbuje przemocą (tak, przemocą!) zmienić miejsce pobytu nauki z pracowni, w której rysuje się mapy, na manufakturę, w której produkuje się koła do wozów drabiniastych. Nauka, która zajmuje się sprawami najczęściej mało zrozumiałymi dla większości obywateli, ma teraz na ich oczach, niemal natychmiast, przekładać się na lepsze smartfony, alternatywne paliwo do aut czy wydajniejsze technologie budowlane. Jarosław Gowin stworzył bowiem system etykiet, którymi teraz będzie się oznaczało tych pożytecznych i darmozjadów. Tych, którzy opatentują nowy kształt szyn kolejowych, i tych, którzy bez powodu (za pieniądze podatnika!) zajmują się jeszcze literaturą czy filozofią. Nieświadomych uświadamiam, że najbardziej opłacalna na świecie jest zbrojeniówka, czyli fizyka, chemia, biologia, informatyka...

*Gołym okiem widać, że nauka dla ministra jest o tyle ważna, o ile służy władzy*

Segregacji uczonych dokonujmy zatem na wstępie. Profesorka od gramatyki historycznej nie tylko prochu nie wymyśli, lecz nawet scyzoryka, a więc jest niepotrzebna. Gramatyką nikt wojny nie wygra. Matematyk może zostać kiedyś kryptologiem, no to jeszcze damy mu pożyć; biolog może wynaleźć sposób namnażania pasożytów, którymi można będzie truć konserwy wroga, dostanie grant; chemik usprawni działanie cyjanku potasu – duży grant; fizyk – no, tu nie ma żartów – grant, laboratorium etc. Oczywiście w grupie uhonorowanych dobrymi etykietami znajdą się też ekonomiści, bo zajmują się profesjonalnie ludzką chciwością i potrafią tak pokręcić w głowach, że nawet bankom zaufamy i pochwalimy każdy wzrost podatków. Medycy, w najlepszej wierze, poprzez swoje odkrycia uszczęśliwią wszystkich chorych, a szczęśliwi są władzy potrzebni jak tlen. Władzy nie idzie wszak o zdrowie podwładnych, ale o ich poczucie, że czują się dobrze, że ktoś o nich dba. Gołym okiem widać, że nauka dla ministra Gowina jest o tyle ważna, o ile służy władzy. Aby była posłuszna, trzeba ją po prostu sobie kupić. Kupić jednych, a sprzedać drugich. A w zasadzie nie sprzedać, tylko wystawić na targ niewolników. Furda kulturoznawstwo, wszelkie filologie (zwłaszcza klasyczna), etnografia i antropologia! Nowy uczony dla nowej Polski. Socjologia, psychologia, pedagogika będą o tyle potrzebne, o ile wydobędą z siebie dość potencjału manipulacyjnego, czyli będą w stanie wygenerować broń. Dodajmy, niezwykle groźną i zawsze o wydłużonym działaniu. Pewnie znajdą się tacy, którzy tak przeorientują własne zainteresowania i badania, aby nie odpaść od Gowinowej klamki oraz skarbonki. Ale co z resztą?

Historia daje pewne wskazówki. Oto w 1985 r., podczas wizyty w Paryżu, Jaruzelskiego spotkały liczne afronty ze strony władz Francji, będące wręcz manifestacją tego, że tak naprawdę twórca wojny przeciw Polakom jest na Zachodzie persona non grata. Ówczesny rzecznik rządu, którego można swobodnie zaliczyć do przestępców stanu wojennego, Urban, poinformował wkrótce potem, że w polskich szkołach w poważnym stopniu ograniczy się naukę języka francuskiego. Miała to być kara dla Francuzów! Po 1989 r. aż niemal do połowy lat 90. romaniści byli na rynku edukacyjnym prawdziwym rarytasem! A filologia romańska do dzisiaj zmaga się ze skutkami tamtych decyzji. Czy tak chcemy? Tym razem jednak skala zniszczenia będzie daleko, daleko większa.

Jeśli dobrze się przyglądnąć mającej wejść ustawie o nauce i szkolnictwie wyższym, to wyraźnie widać jej dwie warstwy. Pierwsza i najważniejsza, i ta, o którą naprawdę idzie, to zmiana paradygmatu nauki z obszaru, w którym się myśli, na obszar, w którym się wymyśla, z obszaru, w którym się poszukuje, aby znaleźć, z obszaru, w którym się za wszelką cenę chce wynaleźć. Kto chociaż trochę zna historię nauki światowej, ten wie, że to zupełnie obce sobie obszary. I to jest clou tego żałosnego pomysłu żałosnego projektodawcy. A drugie dno to szum informacyjny, szum decyzyjny. W nim to są uczelnie flagowe czy badawcze, uczelnie trzeciej ligi, listy czasopism punktowanych (tutaj widoczna jest wyraźnie ingerencja kogoś, kto nie miał o tym zielonego pojęcia), habilitacje wdrożeniowe i inne, odebranie władzy radom wydziałów (w imię demokratyzacji uczelni!) i inne bakalie.

Na razie nie wierzę w nowe „chrupiące bułeczki", którymi niegdyś chciał nas raczyć jakiś komunistyczny minister. Jeszcze nie zjadłem chleba, który mam.



eprasa.pl 9e6501059c

ROBERT MAZUREK

# Manifest wariata

Siedziałem za stołem w telewizji i miałem się tam właśnie mądrzyć, gdy speszona pani podbiegła i spytała: „Przepraszam, panie redaktorze, ale jak pana podpisać? Publicysta, felietonista?”. „To może dziennikarz?”. „No wie pan, tu nikt nie chce być podpisywany »dziennikarz«, to zbyt pospolicie”. „To może napiszcie myśliciel?” – zaproponowałem za Francem Fiszerem, ale spotkało się to tylko z salwą śmiechu.

Ale ja jednak poproszę, jak Franc, by mnie tego myśliciela wyryli na nagrobku. Także dlatego, że chyba właśnie przestałem być publicystą politycznym. W zamierzchłych czasach publicysta politykę poznawał, rozmawiał z ludźmi, analizował, a potem oceniał. Oczywiście przykładał do tego swoje poglądy, wrażliwość, ale pisał uczciwie, jak jest. A potem przyszło zlodowacenie i wyginęliśmy.

Dziś, w czasach wyborów między mafią a sektą, jak chce tego Kazik Staszewski, znacząco się wszystko uprościło. Dziś nie jest ważne, co się pisze, ale kto to pisze. Niestety – i tu zła wiadomość dla dziennikarzy – nie liczysz się jako jednostka, bo rola publicysty to rola chórzysty. A przecież każdy dziennikarz chce jakoś zostać zauważony, prawda? Sposób jest jeden – trzeba pisać na przekór. Nie na przekór sobie, ale otoczeniu, wtedy masz cytaty. „Prawicowy dziennikarz ostro o Kaczyńskim”, „Konserwatywny publicysta bezlitośnie kpi z dobrej zmiany” – cieszą się wirtualne onety. I odwrotnie, każde wyjście poza lewicowy szereg zostanie docenione przez braci z prawicy.

Kiedyś był też inny sposób, czyli można było pisać to samo co kumple z obozu, tylko dosadniej, mocniej. Niestety, odkąd znany publicysta, felietonista i dramaturg – zaiste dramaty to jego specjalność – Zbigniew Hołdys napisał, że „Kaczyński to chuj” (i tu uwaga dla wrażliwszych PT Czytelników, tak napisał artysta, to tak zostawiamy), zabawa się skończyła. Po prostu przewrócił stolik i szachownica do szamba wpadła. Szacun.

*Mogę sobie nosić żółte buty w czerwone kropki i udawać, że mnie w nich do kostek, bo przecież nie napiszę, że do twarzy*

No niby można jeszcze próbować, że „Tusk to ch... zatęchły” albo że „Ta pani to zwykła k...”, ale ani to uroku, ani zwięzłości, ani oryginalności nie ma. Więc koniec.

To znaczy nie koniec, można jeszcze udawać, że nic się nie stało, pisać pomimo. To jednakowoż wymaga zadęcia w surmy bojowe i stanięcia w pełnym rynsztunku. Wybór jest klarowny – albo bronisz demokracji, albo Polski. Nie ma, że w pakiecie to taniej. Nu, nu, nu, nic z tych rzeczy, to się wyklucza. Chcesz demokracji i wolności – marsz w Wigilię pod Pałac Prezydencki. Polskę kochasz? To pamiętaj, poczucie humoru cię zgubi, trzeba tromtadracją przeciwnika załatwić, a zamiast mizerykordią paskiem z TVP Info go dobić.

Próbowałem się z koniem kopać, ale dość, nie da się. Demokracja przetrwała tyle lat, to i beze mnie sobie poradzi. Polska też się obroni, choć nie przede mną, więc może stanę z boku. Tym bardziej że towarzystwo obrońców demokracji cokolwiek szemrane, a ci, co najgłośniej krzyczą, by pilnować Polski, nader często mylą ją ze swoim portfelem. No ale co ja tam wiem.

– Ty to masz dobrze – westchnął strapiony kolega po piórze. – Jesteś wariatem, wszystko ci wolno. – Owszem – odrzekłem – pracowałem na to dwadzieścia pięć lat, to mnie wolno. Jasne, są skutki uboczne, do Pałacu Prezydenckiego nie wpuszczą, na debatę intelektualistów nie zaproszą, a przecież ja tylko półidiotą jestem, dałbym radę. No ale nie, tu profesor się skrzywi z politowaniem, tam pani z towarzystwa wzrok odwróci, trudno, klamka zapadła.

I w tym moim domu wariatów bardzo mnie dobrze i zupełnie nietłoczno. Mogę więc sobie nosić żółte buty w czerwone kropki i udawać, że mnie w nich do kostek, bo przecież nie napiszę, że do twarzy. I tak, przyznam szczerze, bycie wariatem to fantastyczna sprawa. Że też ja się tak późno zorientowałem!

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

# Zegarki na Wiejskiej

*Jerzy Jachowicz*

Rosną szanse ul. Wiejskiej w Warszawie na to, by na stałe zajęła poczesne miejsce w historii polskiego parlamentaryzmu. Tu swoje siedziby mają Sejm i Senat. W obrębie Sejmu mieści się budynek należący w części do Kancelarii Prezydenta. W jego podziemiach, w obszernej stołówce, przedstawiciele naszej elity społeczeństwa, nie tracąc czasu ani nie trwoniąc publicznego grosza w drogich restauracjach, spożywają skromne, ale pożywne posiłki w porze obiadowej.

Aby pozostawać w stałej gotowości do przejęcia władzy w Sejmie, Platforma Obywatelska w bezpośredniej bliskości parlamentu wynajęła na siedzibę swojej partii jedno z pięter w słynnej kamienicy przy Wiejskiej 12a, w której od początków PRL mieści się wydawnictwo „Czytelnik", a w jej podziemiu nie mniej słynna kawiarnia.

To właśnie tutaj latem ubiegłego roku, kiedy w Sejmie trwały burzliwe spory wokół ustaw o reformie wymiaru sprawiedliwości, kwiat polskiego sądownictwa, czekając na rozpoczęcie obrad sejmowych, skorzystał z gościnności Platformy i schronił się w jej siedzibie przed ulewnym deszczem. Media prawicowe to przypadkowe oberwanie chmury cynicznie wykorzystały do rozsiewania plotek o spiskowaniu władz sądownictwa z politykami PO w celu zablokowania reformy. Tego rodzaju wstrętne sugestie są po prostu podłością.

Niezależnie od pięknej przeszłości Wiejska wkrótce zapisze nową kartę bliskich, choć pośrednich, relacji z parlamentarzystami. Na początku stycznia otwiera podwoje salon Grand Time z zegarkami najlepszych marek, gwarantujący bogaty wybór pod kątem designu i funkcjonalności.

W salonie wprowadzono duże ułatwienie dla nabywców. Na metkach oprócz ceny zawarte są wskazówki, jaki zegarek winien być dla posła czy senatora satysfakcjonującą gratyfikacją za daną usługę. Dla przykładu: „Wygrana przetargu powyżej 0,5 mln zł", „Przyjęcie dziecka na wyższą uczelnię bez egzaminu" itp.

Ta nowość pozwoli także parlamentarzystom, po wstąpieniu do salonu, poznać aktualne prawa rynku. Bo transparentność wszędzie jest bezcenną wartością.

CO MNIE JUŻ ŚMIESZY

# Wigilia z konstucją

*Katarzyna Łaniewska*

Nie, to nie jest błąd drukarski ani autorski. To świadome użycie dziwnego słowa.

Wielu polityków, dziennikarzy, ludzi z tytułami profesorów i mecenasów używa zwrotu, że w Polsce coś jest „niekonstucyjne". Jeżeli niekonstucyjne, a wynika to z grubszego zeszytu w okładce, na którym napisane jest „konstytucja", i jeżeli z tej konstytucji się czerpie, to powinno się mówić: niekonstytucyjne. Wszyscy sobie skracają, żeby tylko dopaść drugiego rozmówcę w wielkim zacietrzewieniu. A czy to niekonstytucyjne, czy niekonstucyjne, to jest im absolutnie wszystko jedno. I tak jej artykułów w większości nie znają ani nie wiedzą, co w tej okładce jest schowane.

Konstucją posługują się przedstawiciele różnych grup, które poszukują w Polsce demokracji. 24 grudnia postawili – sądzę, że za zgodą władz Warszawy – stół (długi, a jakże) przykryty białym obrusem. Na środku stołu leżała konstytucja (lub – jak oni wolą – konstucja) w biało-czerwonej okładce. To był jedyny biało-czerwony akcent tej demonstracji. Dość ubogo było przy ich stole wigilijnym. Spotkanie miało wytknąć prezydentowi, że działa niekonstytucyjnie czy niekonstucyjnie, podpisując ustawy o zmianach w sądownictwie. Na stole nie było talerzy. Nie mogli tradycyjnie zostawić jednego dla kogoś zabłąkanego i głodnego. Nie widziałam, czy krążył tam pan Kijowski z puszką. Może by zebrał datek. Po składce na niego wiemy już, że mu na święta wystarczy. A co z sylwestrem?

To smutne, stół wigilijny, polska tradycja, służy do – pożal się Boże – wytknięcia prezydentowi, że działa wbrew konstytucji. Siedzących przy stole nikt nie przeganiał. Jak nie ma dekoracji, to niech sobie siedzą. Co się będzie policja interesowała. Nie wiem: czy ta konstucja to miała być opłatkiem? Nie sądzę, by się nią między sobą dzielili. W partiach opozycyjnie totalnych, które miały zacząć mieć totalne propozycje, nadal jedyną, jaką wydukali, jest odsunięcie PiS od władzy. Nie obalili PiS. Ani w starym, ani w nowym roku im się nie uda. Dobra zmiana zacznie przynosić nowe dobre efekty, czego sobie i wszystkim myślącym rodakom życzę.



eprasa.pl 9e6501059c

## *Przeczytaj* wSIECI HISTORII

Naród polski do zlokalizowania nie jest raczej koło Kijowa czy nawet na tzw. Kresach, ale jest jak najbardziej na Opolszczyźnie, na Śląsku i na Pomorzu – *z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jan Żaryn*

Polskie Państwo Podziemne z okresu II wojny światowej było zjawiskiem unikatowym, ale niekoniecznie oryginalnym. Przy jego tworzeniu odwoływano się do pomysłu na „Tajemną Polskę" z czasu powstania styczniowego – *pisze Wojciech Lada*

Rząd Mazowieckiego miał szansę przejść do historii jako gabinet dokonujący zerwania z peerelowską przeszłością. Czy ją wykorzystał? – *pyta Przemysław Waingertner*

Po 13 grudnia 1981 r. „Solidarność" rozpoczęła falę druków konspiracyjnych. Pokoleniowa zdolność konspiry doprowadziła do pojawienia się pism nieocenzurowanych. Wiele prac drugiego obiegu traktowało o Piłsudskim – *pisze Adam S. Lewandowski*

Wigilijna bitwa pod Łowczówkiem zamyka szczęśliwą siódemkę działań legionowych z 1914 r. Rosjanie zostali powstrzymani – *przypomina Krzysztof Jabłonka*



eprasa.pl 9e6501059c

***Zawistowski prezentuje: Sześciu króli***

***Wycinki z przeszłości***

Portal wPolityce.pl, zawsze pilnujący polskich dat, pamiętał o rocznicy śmierci Romana Dmowskiego, zmarłego 2 stycznia 1939 r. w Drozdowie, na ziemi łomżyńskiej. A w naszej rubryce przytaczamy relację z pogrzebu tego męża stanu, zamieszczoną w popularnym piśmie „Na Szerokim Świecie". Czytamy: „Pogrzeb odbył się w Warszawie przy olbrzymim udziale publiczności, tak, że pochód orszaku żałobnego z katedry św. Jana na cmentarz na Bródnie trwał od godz. 12-tej w południe aż do zmierzchu. Szły delegacje i organizacje uroczyście, wieńców niesiono przeszło sto. Trumnę ze zwłokami śp. Romana Dmowskiego przeniesiono do katedry jeszcze o 7-mej rano, tylko przy udziale rodziny i najbliższych przyjaciół, potem odprawiono nabożeństwo. Trumnę otaczały wieńce, kwiaty i mnóstwo sztandarów; trzymali przy niej straż przedstawiciele organizacji. Oddziały Hallerczyków, Dowborczyków, Sokołów itd. maszerowały w pochodzie". Redakcja „Na Szerokim Świecie" podsumowywała: „Ogół polski widział w Nim jednego z naczelnych szermierzy o sprawę polskiej niepodległości, w której ukształtowaniu wziął wybitny udział".

POGRZEB ROMANA DMOWSKIEGO

Grób śp. Romana Dmowskiego można dziś łatwo odnaleźć na Cmentarzu Bródnowskim, zawsze leżą na nim świeże kwiaty.

***(mk)***

# Na dobry początek!

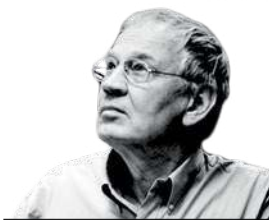

***Leszek Długosz***

Drodzy Czytelnicy, obfitego w radosne chwile i dobre owoce, nowego roku! No to pędzimy w tym zaprzęgu 2018! Na położonej na końcu dobrze resorowanej ósemce. W stronę nieskończoności... *naczelnik okienka z wierszem – L.D.*

Na dobry początek przypomnienie (może i zaskakujące?) autorstwa jednego z najznamienitszych Gospodarzy „ojczyzny – polszczyzny".

***Aleksander Fredro 1793–1876***
***Ojczyzna nasza***

*Na długich górach czarne świerki rosną,*
*Z wiatrem północy szumią pieśń żałosną,*
*A dołem, dołem, jak wzrok sięgnąć może,*
*Złocistych kłosów kołysze się morze;*
*Na morzu wyspy kwiecistej murawy*
*I rozproszone, jak wędrowne nawy,*
*Gdzieniegdzie domki bieleją z poddasza...*
*To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!*

*Ciemne błękity mleczna droga dzieli,*
*Ziemia spoczęła w zroszonej pościeli,*
*Czasami tylko koń zarży na stepie*
*Lub na jeziorze ptak skrzydłem zatrzepie,*
*Czasami tylko spływa z gór jak struga*
*Trąby juhasa nuta smętna, długa:*
*Obudza czujność i napaść odstrasza...*
*To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!*

*Zima pokryła pola, lasy, skały,*
*Nad strumieniami zawisły kryształy;*
*Po srebrnych wstęgach przez białe doliny*
*Suną się sanie, jak szare godziny;*
*Liszka na słońcu czerni się z daleka,*
*Gromada ptasząt pod strzechę ucieka,*
*A dym w słup bije, w obłok się rozprasza...*
*To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!*

*Dworek przy drodze, na słupach wystawa,*
*Wrota otworem, na dziedzińcu trawa,*
*Studnia z żurawiem, gołębnik przy stronie,*
*Za gumnem w kwiecie bielą się jabłonie;*
*Krzyczy na słotę paw w stercie schowany,*
*A na lamusie klekocą bociany,*
*Gospodarz wita, do domu zaprasza –*
*To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza!*

*Gdzie jeszcze mężne nie wygasło plemię,*
*Co za swych ojców wiarę, mowę, ziemię*
*Ciągle nadstawia piersi, serca, głowy*
*Na miecze wrogów, najeźdźców okowy,*
*Co póty działać, walczyć nie przestanie,*
*Póty żyć będzie, póki tylko stanie*
*Jednego męża, jednego pałasza –*
*To Polska!... Polska!... To Ojczyzna nasza.*


| CENNIK PRENUMERAT* | OKRES PRENUMERATY | | |
|---|---|---|---|
| | 3 miesiące | 6 miesięcy | 12 miesięcy |
| SIECI | 69 zł | 129 zł | 229 zł |
| wSIECI HISTORII | 21 zł | 39 zł | 75 zł |
| pakiet SIECI i wSIECI HISTORII | 84 zł | 158 zł | 280 zł |

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej




eprasa.pl 9e6501059c

OD A DO ZYBERTOWICZA

# Bilans godności?

Nawet zdecydowany, ba, zawzięty krytyk (krytyczka?) dobrej zmiany red. Ewa Siedlecka przyznaje w „Wyborczej", że PiS „spełnił obietnicę wyborczą 500+. Duża część społeczeństwa, która była marginalizowana, zyskała nie tylko poprawę bytu, ale też poczucie godności i podmiotowości".

## CZYIMŚ KOSZTEM?

Zastanówmy się, czy paliwem sprzeciwu wobec polityki Prawa i Sprawiedliwości może być to, że poprawa bytu jednej części społeczeństwa wiąże się z jednoczesnym wzrostem poczucia marginalizacji innych grup społecznych.

## CZY ISTNIEJE STAŁA PULA GODNOŚCI?

Życie społeczne to (także) gra. Sporo osób się na takie ujęcie oburza, ale może być ono poznawczo owocne. Może dać dystans wobec naszych uprzedzeń, lęków i utopijnych często nadziei; pomóc dostrzec rzeczy, które przy innym (bardziej fundamentalistycznym) podejściu umykają.

Gry, jak wiadomo z teorii, mogą być np. o sumie zerowej. Jest tak wtedy, gdy korzyści jednej ze stron wiążą się ze stratami kogoś innego. Na przykład w efekcie wojny przesuwane są granice: ktoś zyskał, ktoś stracił. Ale społeczeństwo nie musi toczyć gier o sumie zerowej. Dzięki rozwojowi gospodarczemu istnieją gry o sumie dodatniej. Handel może przynosić korzyści wszystkim uczestnikom, dzięki niemu rosnąć może dobrostan ogółu.

## USZCZERBEK

Gdy zapoznaję się z wypowiedziami przedstawicieli środowisk przeciwnych obecnej władzy, to często mam wrażenie, iż słyszę głos ludzi, których godność i podmiotowość doznały uszczerbku.

*Dojrzałość polega też na przyjęciu do wiadomości, że jakiś świat się skończył! Że społeczny prestiż nie jest dany raz na zawsze, ale trzeba o niego mozolnie zabiegać*

I pewnie czasem tak faktycznie jest. Oto niektóre środowiska biznesowe wraz z ich otoczką towarzyską przestały być zapraszane na imprezy, gdzie robi się „deale". Ileś tysięcy ludzi odwołano z nieźle płatnych stanowisk kierowniczych w administracji publicznej i spółkach skarbu państwa. Oni i ich kręgi towarzysko-biznesowe mają utrudniony dostęp do niektórych zleceń, zamówień publicznych, projektów, grantów. Stare dojścia często przestały działać. Byłym funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa znacząco obniżono emerytury. To wszystko przekłada się na poważny uszczerbek w podmiotowości... konsumenckiej. Tej podmiotowości, jaką rodziny kupujące wcześniej w wiejskim sklepiku na zeszyt, uzyskały dopiero dzięki programowi 500+.

Ale odsunięci od władzy i przywilejów – i sympatyzująca z nimi część wyborców – cierpią z powodu jeszcze innego uszczerbku. Takiego bardziej symboliczno-moralnego.

## WYŁOM W GŁÓWNYM NURCIE

Oto poglądy, opinie, wizje państwa polskiego, które przez większość lat transformacji ustrojowej w Polsce były spychane na margines, często opatrywane pieczątką „oszołomstwo", teraz są obecne w przestrzeni komunikacyjnej głównego nurtu. Wielu osobom trudno to znieść.

Przez lata rządów PSL-PO dominujące media dawały spójny w zasadzie przekaz. Pamiętam, gdy pewnego wieczoru oglądałem programy informacyjne Polsatu, TVN i TVP, wszędzie słyszałem (podobnie jak w Polskim Radiu i radiach komercyjnych) tę samą melodię. Inny obraz rzeczywistości wyłaniał się dopiero po włączeniu TV Trwam. Od roku 2015 proporcje istotnie się zmieniły. Wiele osób to boli, uraża ich godność. Nie chcą słyszeć o Polsce innej od tej, która im pasowała.

Przeciwnikom Prawa i Sprawiedliwości nie wystarcza, że miłą dla ich uszu narrację nadal oferuje TVN, Polsat, liczne portale i rozgłośnie komercyjne. Boleją, że w TVP (której z obrzydzeniem nie oglądają – nie jest to zwykłe nieoglądanie, lecz nieoglądanie wysoce ideowe) dominuje obraz świata, który jest tak bardzo nieprawidłowy.

Wygląda tak, jakby godność dzisiejszej opozycji politycznej została urażona przez zaskoczenie tym, iż rzeczywistość społeczna okazała się mieć inny kształt niż dopuszczany przez wyobrażenia tej grupy; wyobrażenia kształtowane przez idee importowane i uznawane za jedynie słuszne.

## DOJRZAŁOŚĆ I ZMIANA

Tymczasem dojrzałość polega też na przyjęciu do wiadomości, że jakiś świat się skończył! Że społeczny prestiż nie jest dany raz na zawsze, ale trzeba o niego mozolnie zabiegać.

***Andrzej Zybertowicz***

Autopromocja x2



eprasa.pl 9e6501059c

# TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

# 50 książek w prezencie

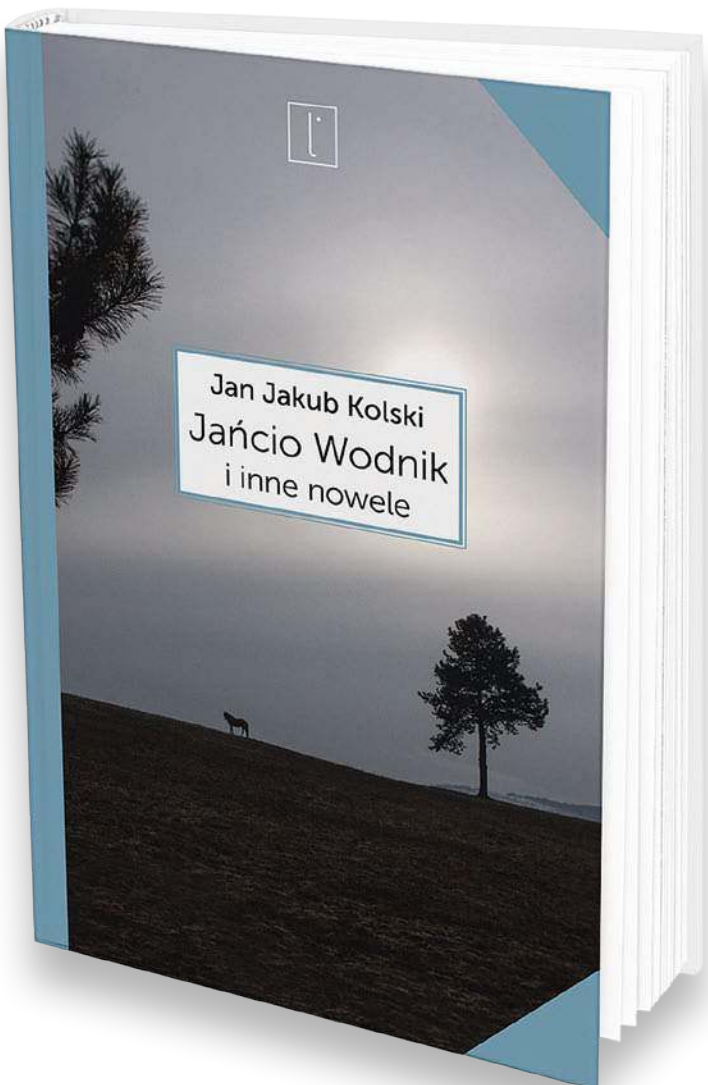

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA WSIECI HISTORII ZA **75 ZŁ**, A KSIĄŻKĘ „JAŃCIO WODNIK I INNE NOWELE" O WARTOŚCI **39,90 ZŁ** OTRZYMASZ GRATIS!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

**ZAMÓW JUŻ DZIŚ!** | tel. 22 616 15 70 | PRENUMERATA@FRATRIA.PL WWW.WSIECI.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 78 1750 1325 0000 0000 2103 8946, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna wSH i pełne dane teleadresowe do wysyłki.

eprasa.pl 9e6501059c

# W POLSCE PL

Oglądaj na żywo

CYFROWY POLSAT NA POZYCJI **196**

## W INTERNECIE:

- www.wPolsce.pl
- www.wPolityce.pl

eprasa.pl 9e6501059c